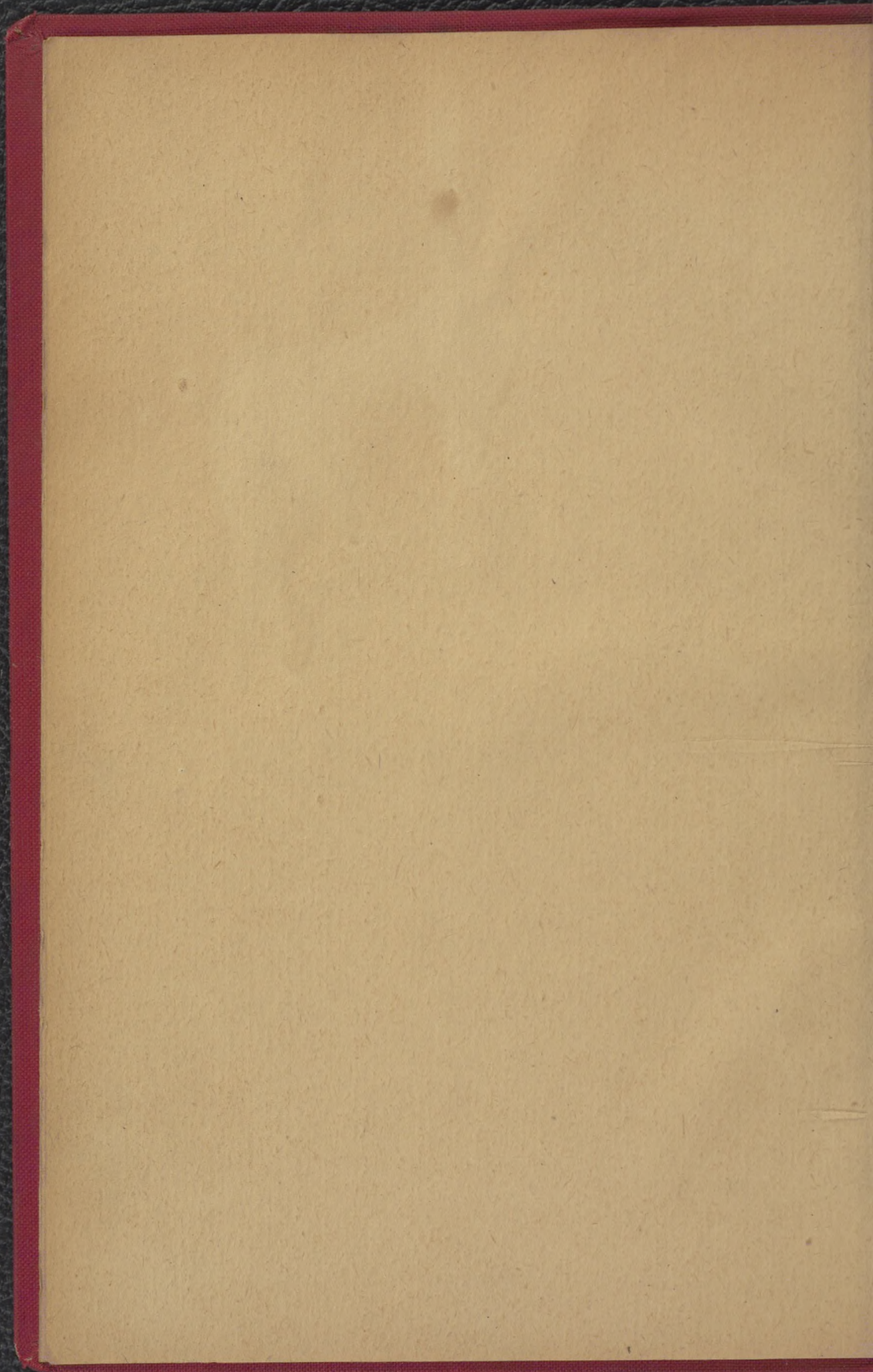


II.386.940



J. I. KRASZEWSKI

SZALONA

POWIEŚĆ

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „KURIER” — POZNAŃ PL. WYSPIAŃSKIEGO 1

J. KRASZEWSKI

SZALOMA

POWIEŚĆ



II.386.940

1967 K 745 / 135

H. Jankowski

Było to w samą wigilię Bożego Narodzenia roku 18... Śnieg sypał jak to on czasem umie z zasępionego płowu nieba, powoli, spokojnie i polatując w powietrzu, gęsty, mięciuchny jak puszek, i układał się na ziemi, na gałęziach drzew, na krzewach i zeschniętych roślin łądych, coraz wyraźniej zarysowując ich kształty na ciemnym jednostajnym obłoku, rozciągającym się nad całym widnokresem.

Cisza była w powietrzu prawdziwie zimowa, której żaden znak życia nie przerywał, nawet wrony, które opieszale się przesuwały ponad wierzchołkami drzew, leciały nieme i smutne.

Godzina była zaledwie druga po południu, a już zdawało się, że zmierzch nadchodził, tak gęsta zasłona mroków wisiała nad zachodem.

Dwór w Zamiłowie, na Wołyniu, w okolicy Cudnowa i Lubaru położony, nad skalistym brzegiem rzeki, wydawał się ze swym sadem i drzewami otaczającymi, z budowlami do niego należącymi, jakby zimowa kartka z albumu wydarta... Stare tło niebios doskonale uwydatniało wszystkie pobielone szczegóły krajobrazu. jasno wychodzącego na nim, które tylko spadający śnieg jakby z napół przezroczystej ukazywał zasłony.

Dwór stary z dachem wysokim, przy którym się ów niskim wydawał, ogromne topole i lipy, długie pokrycia szop, stodół i obór, nawet ogrodzenia i krzewy przy nich malował śnieg przylegając, czepiając się gałązek i ciężarem swym uginając je ku ziemi.

Z kominów dworu i kuchni podnosiły się do góry kłęby siniego dymu, którego barwa doskonale się zlewała z kolorytem niebios i całego krajobrazu.

W podwórzu, na gościńcu, w dali na drodze wiodącej do wsi, nawet około gospody w środku jej stojącej, nigdzie widocznego życia nie było śladu; dym z kominów świadczył tylko, że się ludzie do chat pochowali i nie wymarli.

Od dwudziestu czterech godzin, prawie bez ustanku sypał ten

śnieg spokojny, a zalepione niebo nic a nic się nie rozjaśniło; prorokowano większą jeszcze śnieżycę, która, szczęściem bez wiatru, równo spadała na ziemię, wróżąc doskonałą i trwałą sannę, bo ją poprzedziły mrozy, które grunt nawet błotnisty i oparzeliste moczary stężyły. Myśliwi cieszyli się zawczasu doskonałą ponową.

W wielkiej izbie dworu Zamiłowskiego zmierzch się już zawczasu czuć dawał. Była ona obszerna, choć trochę niska i ze staroświecka niewytwornie przybrana w sprzęt wygodny. Wejrzawszy na nią, domyśleć się po niej było można ludzi spokojnego żywota, którym u siebie dobrze było, tak że tu nic zmienić nie potrzebowali i nie chcieli. Stół, krzesła, kanapy, co najmniej wiek już jeden na bożym świecie przebyły, ale poszanowane trzymały się krzepko i fizjognomia ich nie raziła tak jakby nowych a nieszykownych przybyszów. Na ścianach bez wielkiego rozmysłu tu i ówdzie porozwieszane obrazy, niżej i wyżej, jak przyszła niegdyś fantazja, miały już swe miejsce oznaczone pajęczynami i pyłem, które choć służba kiedy niekiedy obmiatała, wracały na dawne legowiska. Tak samo i wszystko co tu było zdawało się z wieków przyrosłe do miejsca i nieruchomo zadumane.

Obarów parę wystawiały Chrystusa i Matkę Boską, inne były bardzo starymi wizerunkami ludzi dawnego kroju i stroju, nic a nic do dzisiejszych nie podobnych, tak już zczerniałymi, że z niektórych tylko części twarzy przeglądały, a płótna powydymane, popękane miejscami, popielatą warstwą pyłu przysłonięte, ledwie w ramach trzymały.

Nie tykał ich nikt przez poszanowanie od czasu jak raz próba oczyszczania przedsięwzięta z pomocą cebuli, jednemu z pradziadków zaszkodziła.

Po kątach dużej gościnnej izby było komódek z bronzami, stoliczków, różnych gracików dużo, a na każdym z nich pomniejszych szkatuleczek, zegarków, skrzyneczek, koszyków, porcelany pełno; bo w obyczaju widać miejscowym być musiało co raz gdzie postawiono, zachowywać do zniszczenia. Niektóre z tym zabytków dosyć były postarzałe, inne pootłukane, inne zdawały się niekoniecznie potrzebne i wcale nie przyozdabiające, ale miały za stare zasługi prawo przytułku i chleb, a raczej pył łaskawy.

Jednostajne życie tego pocziwego dworu starego piętnowało się nawet w wygiętej, czystej, choć starej podłodze jego, na której rozeznac było można zwykle, w różnych kierunkach wydeptane ścieżki, nieco więcej wgłębione. Trzy okna przysłonięte firankami wychodziły stąd na podwórze jedno w głąb i ku ogrodowi. Wszystkie opatrzone były na zimę jak należy, podwójnymi szklami, mchem i piaskiem w pośrodku.

Po salce tej przechadzał się z rękami w kieszeniach, z głową nieco do góry podniesioną, pięknego, wesołego dosyć oblicza męż-

czynna niemłody, siwy, wąsaty, ubrany ze staroświecka, w butach do kolan i kapocie szarej z cienkiego sukna. Głowa to była jakby z jednego z tych starych portretów wyjęta, nie naszych czasów, lat dawnych, innego autoramentu.

Każdy wiek tworzy sobie fizjognomie właściwe. Niegdyś, mimo walk, niepokojów i twardych prób losu, wielki spokój ducha i męstwo piętnowały się majestatyczną na licu pogodą. Z tych wąsatych rycerskich twarzy starych wizerunków, których żywoty były jednym bojem i nieustannym męczeństwem, patrzy spokój taki, jakby się im śmiała szczęśliwość od urodzenia do zgonu. Nie widać w nich co cierpieli, bo znosić to umieli jako prawi bojownicy Chrystusowi i prawie dzieci ofiarnej ziemi.

Krzyże Pańskie błogosławiono, ramionami się nie uginały pod nimi, siła było wielka, płynąca z głębi. Na dzisiejszych twarzach wypieszczonych dzieci wieku widać konwulsje jego, chorobę, słabość, niecierpliwość. Twarze są potargane, niespokojne, wystraszone, gniewne, wyzywające, nieszczęśliwe. Widać z nich, że im mało tego co daje życie... żeby im nigdy dosyć nie było...

Stary pan, Chorąży niegdyś Latyczowski (bo w tamtych stronach mieszkał za młodu), Eliasza Dorohub należał widocznie do ludzi przeszłości, a i z terażniejszością się godził. Sześć dziesiątków lat na nim wcale znać nie było; trzymał się prosto, wyglądał zdrowo, czoło miał pogodne i niezmarszczone, a choć Chorążstwo nosił tytułarne, powiatowe i w wojsku podobno nie służył, coś w nim jakby żołnierskiego było.

Obok przeze drzwi jejmość ze swym dworem stół do wigilii przygotowywała, uścielano siano, ustawiano snop w kącie, ludzie się krzątali i chodzili, a Chorąży sam pozostawszy dumał, niekiedy pochylając się w oknie i spoglądając na gościniec oznaczony kołkami i drzewkami, na którym nic widać nie było. Spodziewał się nim pewnie gościa na wigilię, a choć do pierwszej gwiazdy było daleko, zdał się już niespokojnym trochę; zdradzał się coraz częściej, ledwie na kilka stał widać było coraz mniej wyraźnie drzewek wysmukłych pniaki.

W domu około trzeciej już dobrze zmierzchało...

Z drugiego pokoju w białym czepku jeszcze rannym i ubraniu domowym, w fartuchu do góry podgarniętym, z kluczami u boku, wysunęła się pani chorążyna, zarumieniona ze zmęczenia, z oczyma błyszczącymi i twarzą tak jasną jak mężowska. Jejmość młodszą była znacznie od męża, dosyć jeszcze świeżą, niewielkiego wzrostu, okrągłuchłą, a wesołe usposobienie śmiało się jej na ustach i oczach. Niegdyś musiała to być blondynka, bo miała jeszcze duże oczy niebieskie, i włosy posiwiące, gdzieniegdzie płowy odcień ozłacał. Wchodząc powoli jedną ręką w bok się trzymała, jak gosposia rada z siebie i spokojna o to, że uroczysta ucztą wieczorna wstydu jej nie uczyni.

Spojrzała na męża, który się ku niej obrócił.

— Cóż jegomość tak sumujesz chodząc — odezwała się głosem śpiewnym i miłym — w okienko spoglądasz...

Choraży zbliżył się i w czoło ją pocałował.

— Czyż to dziw Elżusi? albo to jejmości serce nie bije do tego samego, co mnie?

Rozśmiała się jejmość i pokazała piękne jeszcze zęby białe, które ją młodszą czyniły na oko niż była.

— Tylko się niepokoić nie trzeba, nie trzeba niecierpliwić — rzekła. Ewaryst będzie w sam czas.

— Ale bo i księdza nie ma dotąd? — odezwał się Choraży.

— Śnieg miecie okrutny choć spokojny — dodała Chorażyna, spoglądając ku oknu. Gdzie drogi wysadzane, tam łatwo sobie radę dać, ale na równinach, w stepie!

Pokręciła głową.

— Sanna się już ustała doskonała — mówił Choraży — koniom nie ma co ciągnąć, bo grudy wielkiej nawet nie było.

— A no do wieczora jeszcze daleko — przerwała jejmość — przyjadą w porę. Choćby się też i poczekało z opłatkiem!

Choraży się uśmiechnął i pociągnął ku oknu, a jejmość weszła żywo do jadalni, gdzie właśnie przy dozorze ładnego dziewczęcia wielki obrus, tylko na podobne uroczystości dobywany, starannie służący z panną rozciągali na sianie. Panienska tak samo jak chorażyna, po domowemu jeszcze była ubrana skromnie, ale jej i z tym dosyć było do twarzy. Nazwaliśmy ją ładną, inaczej bowiem wdzięku jej młodocianego, świeżego określić trudno. Piękną się nazwać nie mogła, brzydką nie była, a miała w sobie to, co sympatycznie usposabia i pociąga, coś dobrego i miłego w twarzyczce okrągłej, rumianej, parą żywych oczek rozpromienionej, uśmiechniętymi usteczkami rozweselonej, roztropnej i łagodnością serdeczną tchnącej. Figurka jej przystawała do twarzy i godziła się z nią (bo nie zawsze natura wszystkie części swojego dzieła dobiera harmonijnie), była tak zręczna, giętka, ładniuchna jak panny Madzi świeży buziaczek, jeszcze dzieciennego wyrazu, a mimo niego poważny i już myślący.

Ustała z zajętego miejsca dla Chorażyny, aby jej pokazać jak obrus leżał; spojrzwały na siebie zaspokojone. Zwieszało się go tyle, ile było potrzeba, siana nie nakładł Pius za wiele, a tam gdzie się garby okazywało, panna Salomea naciskała je i wygładzała ręką, Pius spod spodu wyciągał. Wszyscy przy tej czynności mieli oblicza tak zamyślane głęboko, tak przejęte tym co spełniali, jakby zadanie ustania stołu było niezmiernej wagi. Panna Salomea, niemłoda już ale czerstwa i zdrowa sługa jejmości, brała tu prym przed Piusem, milczącym i akomodującym się jej wejrzeniom i ci-

chym rozkazom. Pius był także nie dzisiejszym sługą, a jeśli nie rówieśnikiem Chorążego, to o lat nie wiele od niego młodszym, równie jak on czerstwym, a z powodu stanu kawalerskiego jeszcze nawet okazującym pewne do resztki młodości pretensje.

— Już jegomość o Ewarysta się turbuje — cicho szepnęła Chorążyna do panienki — chociaż nie ma czego, bo ja pewna, że przybędzie w porę. To tylko niedobrze, że Ewaryst do ostatniej godziny podróż odłożył...

— A bo się tam w Kijowie nie rozpuszczają wcześniej, a drogi kawał, i kto wie jaka tam droga? — prędko odezwała się Madzia.

Obie jakoby się zmówiły, spojrzały na zegar stojący w jadalni; odwieczny szafiasty stróż porządku na cyferblacie zciemniałym z białego jakiegoś kruszcu wskazywał, że było już po trzeciej.

— Wigilia, gdyby jak — dodała Madzia — — nie gotowa by była przed piątą.

Zaczął się zastawianie stołu.

Wśród ciszy panującej we dworze, leciuchny szmer sanek przesuwających się po śniegu doleciał do uszu Chorążyny, która wyjrzała. Mąż jej stał w oknie przypatrując się, ale że zaraz nie wyszedł na spotkanie do sieni już to zdawało się zapowiadać, iż nie Ewaryst spodziewany przybywał. I nim ku drzwiom pośpieszył gospodarz, wszedł donośnym głosem wesołym witając słuszny mężczyzna w sukni długiej czarnej, oznaczającej duchownego.

— Niech będzie pochwalony!

Zaledwie Chorąży odpowiedział, gdy ksiądz Zatoła dodał już z podobną intonacją!

— Pokój temu domowi!

— I temu kto mówi.

Głosy się krzyżowały wesołe.

— A pana Ewarysta, nie ma? — zapytał duchowny, ściskając się z gospodarzem.

— Dotąd nie ma!

Ksiądz aZtoła był w sile wieku mężczyzna, zdrowy, ospowatej, czerwonej, wesołej twarzy, której wyraz tak samo jak Chorążego malował wielki pokój duszy, z małą przymieszką jakiegoś niby szyderstwa z marności tego świata.

— Ależ syptel — odezwał się ksiądz — jeszcze kilka godzin, a kopno będzie.

— Ja myślę, że to i Ewarysta opóźniło, bo w stepie, na polach, miejscami już śnieg grubo leżeć musi, a miękki jak puch.

— Pada jak z rękawa, bez najmniejszego wiatru — odezwał się gość; sanna będzie doskonała, byle się trochę utarła, i powinnować panom, bo wywózka zboża pójdzie łatwo...

— Jeżeli sanna potrzyma — odrzekł Chorąży — ja już nie jeden

taki rok pamiętam, że się na Gody (Boże Narodzenie) słało jakby miało trwać wieki, a koło Nowego Roku deszcz poszedł.

— A! mało co nie bywało! — zaśmiał się ksiądz — ale Pan Bóg łaskaw, źle nie będzie...

Pius wyprostowany, w nowym surducie, wniósł światło, bo już w pokoju dobrze ciemniało, gdy sanie pod ganek... i w domu wszystko drgnęło...

Był to ów tak spodziewany pan Ewaryst, który w chwilę małą już wpadł żywym krokiem do pokoju i schylił się ojcu do kolan, gdy ten go za szyję chwyciwszy, do piersi swych ciągnął.

Chłop był jak wołyńska pszenica, niby kłos bujny na silnej łądodze, mężczyzna w całym znaczeniu wyrazu, silny, zdrów, piękny, z wyrazem czystej pewnej, siebie młodości, na licu pocziwie rozjaśnionym w tej chwili radością niezmierną, jaką wlewa widzenie najdroższych swych i kąta najmilszego, rodzinnego, gniazdo, w którym się zrosło, z którego się uleciało.

Ewaryst podobny był do ojca, ale coś z matki miał w uśmiechu i spojrzeniu, jakby się w nim zlały dwie dusze rodzicielskie w jedną. Miło nań spojrzeć było i ojciec też nie posiadał się z radości, i matka płakała, wybiegłszy do niego, i ks. Zatoka, z pobożnym weselem, ze złożonymi rękami patrzył na ten obraz szczęśliwości najczystszej, najpiękniejszej na ziemi, żadną nie skalanej myślą ni namiętnością czarną.

Słowa z ust wylatywały, rwały się, płątały, nie była to rozmowa, był gwar jakiś ucieszny, weselny, jakby usta w tej chwili strzymać nie mogły milczenia, wyrazy przerywały uśmiechy, nie słuchano pytań ni odpowiedzi, cieszą się sobą...

Starym Chorąstwu łązy z oczów płynęły, ocierali je ukradkiem...

Potrzeba było dość długiej chwili na to, aby się uspokoiły te serca. Chorążyna wybiegła kończyć ubranie i myśleć o wigilii, Ewaryst siadł z jednej strony przy ojcu, a ks. Zatoka z drugiej, ale stary patrzył tylko na syna.

Wśród tej sceny noc się zrobiła zupełna, a choć coś na niebie księżycą było i śnieg świecił trochę, światła już mało dalej oczy dojrzały.

Godzina wieczery się zbliżała i domownicy ściągać zaczęli, a Ewaryst szedł serdecznie ich witać. Pierwszym z nich był stryjeczny brat Chorążego, zubożały pan Paweł, wcale do niego nie podobny, zgięty w pół, schorzał, stary z odwróconymi u oczów czerwonymi powiekami, które ciągle ocierał. Ten, że nie mógł mówić głośno, bo i na zadyszkę cierpiał, cicho ściskając Warysia błogosławił. Za nim wciągnął stary ekonom Otrobowicz, wierny sługa domu, krzyczący głośno, a zachrypły i potrzebujący odkaszliwać ciągle, drab zamaszysty, wąsaty, śmiały, ale wobec Chorążego pokorny i uniżony aż do zbytku.

Od jadalnego pokoju wysunęła się naprzód pani Zbińska, zwana tu pospolicie Sędzią, daleka krewna samej pani, podstarzała kobiecina z różańcem na rękę i wystrojona już jak na wigilię, z głową nastrzępioną wstążkami, mówiąca głosikiem miodowym i śmiejąca się ciągle. Siedziała ona tu na łasce u krewnych, bo wszystko straciła wielką naiwnością i nieopatrznością swoją, i tu jej teraz nawet strzec musiano, aby pierwszy z brzegu furfant, korzystając z łatwowierności, ostatku nie zabrał..

Na ostatek żwawo wybiegła panna Madzia, także sierotka na opiece tego domu zostająca i, jak brata, wesoło, serdecznie przywitała pana Ewarysta, rozpoczynając z nim zaraz rozmowę o podróży, w której się i inni, oprócz p. Pawła, wnieśli. Ten tylko z trudnością głowę podnosząc, krwawymi oczyma przypatrywał się chłopcu i usta mu drgały, ale mówić się nie zebrał. Ani by też cichego jego głosu dosłyszano wśród powszechnego gwaru.

Z sąsiedniej jadalni biło już pozapalane światło do wieczery, stół był gotów, gdy i Chorążyna z opłatkami na talerzu, przystrojona w suknię jasną, liliową, ukazała się w progu.

Zacząło się łamanie chlebem pańskim, życzenia i uściski, łamanie w koło, bo wszyscy się chcieli z sobą rozłamać, a coś powiedzieć z serca i do serca. Zbińska płakała dziękując dobrodziejom, płakał pan Paweł ściskając brata, który się musiał schylić do niego: Madzia też miała łzy w oczach..

W izbie jadalnej czekał na opłatek cały zastęp domowników, aż do najmniejszego chłopięcia, wszystkich Chorągwo obesłi podając im opłatek i każdy do kolan się im kłaniał, mrużąc jak mógł i umiał z ruska i z polska życzenia na Chrystusowe Narodziny.

Pius stary z opłatkami w ustach natychmiast począł roznosić na przemiany polewkę migdałową i barszczyk postny. Rozmowa potoczyła się wesoło a ochotnie o zimie, o święcie, o roku nowym, który nadchodził i *de politis*, bo u nas bez tego nic — świat nas tak obchodzi, jak gdybyśmy my go wielce obchodzili!! Otrobowicz miał ważną wiadomość, iż dla kawalerii owies zakupowano, co miało oznaczać niechybną wojnę, a ks. Zatoka mówił, że słyszał o sucharach, co potwierdzało wróżby owsiane. Chorąży przypominał, iż zawsze czasu wojny na zboże się ceny podnoszą, co dla gospodarzy rzecz pożądana.

Cudnowski Aron jeździł już za kupnem, ale ile za parę dawał, nikt z pewnością powiedzieć nie umiał. Sprzeczano się trochę, Chorąży zapowiadał, że w tym roku trzymać się będzie z ceną, bo w przeszłym się pośpieszył.

Wyszła tedy na stół i stara maksyma, że pierwszego kupca odpychać nie należy, zwłaszcza gdy są przykłady zmywy handlarzy między sobą.

Tymczasem Ewaryst o podróży swej z Kijowa, opowiadał panu Pawłowi. Chorążyna spytała go czy przywiózł co od Bałabuchy.

Szczupaki, okonie, leszcze i karasie, pierogi z kapustą, łamańce z makiem, kutia, wszystkie potrawy podaniowe z kolei się ukazywały, a ks. Zatoka dawał dobry przykład używania daru Bożego, bo jadł i pił, aż się gosposia radowała. Prawda, że, jak zareczał, a wierzyć mu było można, od rana nic w ustach nie miał. Było to jego zwyczajem w wigilię nie jeść do wieczery, a w W. Piątek pościć o chlebie i wodzie.

Butelczyna starego węgierskiego przysłała na ostatek dla konkokcji i z resztką jej, po wyciągnięciu spod obrusa przepowiedni jaki len będzie w tym roku, przeszli wszyscy do salonu.

Tu na ostatku idący pan Ewaryst spotkał się z Madzią, schylił się jej do ucha nieznacznie i szepnął:

— Coś ci mam powiedzieć, ale ni czas, ni pora?

Zdziwiło się dziewczę mocno i, wcale niepomieszane, podniosło oczy na pana Ewarysta, z tym spokojem, który świadczył, że żadne oprócz braterskiego uczucia, w sercu jej nie powstało.

Ewaryst też mówiąc to nie wyglądał na rozmarzonego, rzecz się widocznie tyczyła czegoś im obu nic tak bliskiego, aby się potrzebowali płonąć i mieszać.

— Mnie? cóż to może być? — zapytała uśmiechając się wesoła panienska — tajemnica jakaś?

Spojrzała w tej chwili na kuzynka, na którego twarzy spostrzegła, że to co miał jej powiedzieć nie musiało być wesołe. Strwożyła się nieco.

— Nic bardzo złego? — spytała...

— Bardzo złego, nie — odpowiedział żywo chcąc skończyć Ewaryst — ale niespodzianego coś, no... później.

Z krótkiej tej słów zamiany widać było, iż Chorążyc z Madzią był dobrze, poufale, lecz tylko po bratersku.

Gdy w jednym kątku bawialni około butelki się skupili starsi, Chorążyna ze Zbińską i Madzią zasiadła na kanapie, powołując syna, aby się jej spowiadał z całego swojego życia w mieście. Wprawdzie po kobiecemu i po macierzyńsku szczególnie wypytywała o warunki powszedniego życia, o wygody, o godziny snu, pracy i spoczynku, lecz można było się domyśleć z tej na pozór obojętnej rozmowy, że instynkt matki byłby jej dał łatwo odgadnąć co stało poza tym, co rządziło myślą i sercem.

Ewaryst nie potrzebował ani się tacić z niczym, ani odpowiedzi swych ważyć mówił śmiało i otwarcie, bo nic tacić i niczego się wstydzić nie potrzebował. Z wesołością studencką opowiadał matuli, jak to się urwisowsko i po młodemu żyło w tym mieścisku, którego oboje państwo Chorąstwo nie lubili.

Ani tego wczora, ani nazajutrz nawet, Ewaryst nie miał zręczności rozmówić się z Madzią na osobności, może też nie bardzo się z tym śpieszył.

Kilka razy dziewczę go zaczepiało. — A cóż ta tajemnica? Coś mi to pan miał powiedzieć?

— Będzie na to czas, znajdziemy chwilę stosowniejszą, to długa historia — odpowiadał jakby wahając się chłopak.

Madzia, nie okazując najmniejszego zniecierpliwienia, ruszała jednak ramionami i pomrukiwała sobie.

— Ciekawa rzecz — co też to może być?

Pierwszy dzień Bożego Narodzenia upłynął nie rozwiązawszy zagadki. Dwóch szlachty z okolic Lubaru, obowiązanych panu Chorążemu, przybyło w gościnę. Madzia i pan Ewaryst ciągle byli prawie zajęci, pomagając starym w przyjęciu.

Madzia jako nieodrodne dziecko Ewy była trochę zaciekawioną, lecz parę razy spróbowałszy dobyć tajemnicę z kuzynka nareszcie musiała powiedzieć sobie, iż rzecz była zapewne niewielkiej wagi.

Na drugi dzień sami zostali Chorągwo; Ewaryst już się był przed nimi wypowiedział z najglówniejszych spraw swych i myśli i pod wieczór z Madzią znaleźli się w sali jadalnej, pustej, sam na sam, jakby umyślnie dla poufnej rozmowy.

Ewaryst sam ją rozpoczął.

Zwykle śmiały sposób jego mówienia i żwawość dowodząca, że się nad tym co miał mówić nie potrzebował namyślać długo, trochę się zmieniły, co uderzyło Madzię.

— Dawno miałaś wiadomość od siostry? — zapytał nie bardzo odważnie, oglądając się dokoła.

Jakby jednego wspomnienia tego dosyć było dla strwożenia wesołej Madzi, twarzyczka jej, dotąd promieniejąca, pobladła, zmieniła się i słowo zamarło na ustach. Potrzebowała czasu na odpowiedź przychodzącą jej nie łatwo.

— Od siostry — powtórzyła spuszczać oczy, od siostry? Pan Ewaryst wie, że od Zoni prawie nie miewam wiadomości nigdy... Mogę powiedzieć, że jej nie znam...

— A — dodała ciszej — ja sierotą będąc, choć mi w domu naszym nigdy się to uczuć nie dało, tak bym była pragnęła zbliżyć się do niej! wiedzieć coś więcej! niestety! Tej w życiu pociechy podobno nigdy mieć nie będę.

Jakeśmy się rozstały dziećmi jeszcze, gdy mnie wzięli państwo moi najlaskawsi na opiekę, a Zonię zabrała pani Ozereńkowa, ledwie kiedy, z dala coś się o niej dowiem, a i listów nawet nie pisuje. Siostry jesteśmy, a jak obce!

Podniosła oczy na pana Ewarysta i spytała:

— Mów pan, może wiesz co o niej?

Ewaryst stał zdając się namyślać, patrzył na biedne dziewczę, które zasmucił pytaniem i wyrzucał sobie, iż postąpił jakoś niezręcznie.

Natura jego szczerą i otwartą nie dozwalała mu kunsztownego obrotu nadać rozmowie, krótko więc pomyślawszy, znalazł najwłaściwszą odpowiedź od razu tym, na co chciał był przygotować Madzię.

— Nie będę nic w bawełnę obwijać — rzekł — bo nie umiem. Zonia jest w Kijowie.

Usłyszawszy to, drgnęło dziewczę i przysunawszy się bliżej, zawołało natrętnie.

— Widziałeś ją! zmiłuj się! mów! Jaka ona jest? gdzie? Czy uchowaj Boże nie stało się co złego? — Ewaryst znowu na próżno się namyślał i ważył chwilę.

— Ozereńkowa umarła, rzekł powoli.

— Więc ona została sama, bez opieki? może bez żadnego sposobu do życia? A panie Ewaryście, zaklinam was, mówciez mi prawdę całą, nie tajcie nic! — Ja mam męstwo, bo mam wiarę...

Ośmielony tymi słowy, Chorążyc począł otwarciej.

— Posłuchajcież jak to było. Nie nowina u nas w Kijowie wiedzieć na niektórych odczytach kobiety. — Madzia przerwała żywo

— Gdzie? na jakich odczytach? cóż to są za odczyty?

— Po prostu na lekcjach naszych profesorów — tłumaczył Ewaryst — kobiet młodych wiele teraz nawet uczęszcza na takie, na których by ich się spotkać nie spodziewało. Nię ma w tym nic złego, ale że nowość i że potrzeba się wcisnąć na lekcje pomiędzy samą trzpiotowatą młodzież — odwagi wiele musi mieć, kto się na to waży.

A! Boże! — wykrzyknęła Madzia, bledniejąc i przysłuchując się z coraz żywszym zajęciem.

— Na jednej lekcji — mówił dalej Ewaryst — w pierwszych ławkach zobaczyłem panienkę, która mnie szczególnie zajęła; naj-

przód bardzo piękną i pełną rozumu twarzyczką, trochę zeszepeconą krótko obciętymi włosami!

Madzia sobie oczy zakryła... Ewaryst spostrzegł, że włosy te ją strwożyły i dodał prędko.

— Ale proszę sobie nie wyobrażać, żeby w tym było coś nadzwyczajnego... Bardzo wiele młodych panien chodzi z krótko ostrzyżonymi włosami. Przyczyną mody być może potrzeba, bo kto sobie sam służy, ten z długimi włosami wiele by tracił czasu...

Madzia westchnęła.

— Trzeba przyznać, że Zonia, gdyż ona to była, ma śliczną twarzyczkę, pełną inteligencji, życia, odwagi prawie męskiej — mówił dalej Ewaryst. Zainteresowała mnie niezmiernie. Zacząłem się dopytywać, kto była. Gdy mi nazwisko powiedziano, gdym się jeszcze imienia dowiedział, byłem już pewien, że jest siostrą waszą. Postanowiłem, bądź co bądź, się z nią poznać, aby wam przywieźć od niej wiadomość.

Tu wstrzymał się znowu Ewaryst, Madzia zrozumiała, że się namyślał nad dalszym ciągiem opowiadania i kładąc dłoń mu na rękę — dodała.

— Proszę otwarcie! mówcie, nie oszczędzając mnie; przecież Bóg łaskaw, może tak bardzo złego nic nie ma.

— Ja — złego nic nie wiem — odparł Ewaryst — ale że mi się dziwną wydała i ona i jej życie...

Przerwał sobie nagle i dodał.

— Trzeba o tym pamiętać, kochana Madziu, gdzie i jak się wychowywała, a przy tym i temperament jej i usposobienie wcale od waszego różne...

Westchnienie łzawę prawie wyrwało się z piersi biednej Madzi.

— Mów, panie Ewaryście, zaklinam was, ciekawą jestem, a więc jeszcze niespokojną — nic mi nie taj...

— Ażebyś mnie lepiej zrozumiała — począł Chorążyc — muszę ci dodać to, że w naszym studenckim świecie, jak we wszystkich innych, są dwa prądy i dwa światy. Jeden idzie sobie zwolna krokiem mierzonym ku światłu, oglądając się, aby po drodze głowy nie rozbić, drugi pędzi gorączkowo, na oślep, niedobrze wiedząc dokąd, choć w najlepszej wierze, iż ku dobru, ku jasności, ku prawdzie goni. Ja, moja Madziu, należę do ludzi spokojnych i nie chcących się awanturować; inni szturmem zdobywają lub pragną opanować wielki cel jaki mają przed sobą.

Dowiedziawszy się o Zoni, gdzie jej szukać miałem, poszedłem na Padoł do niejkiej pani Heliodory Paramińskiej, u której ona mieszkała. Tylko, Madziu moja, ani się dziwuj, ni wykrzykuj desperacko, gdy ci powiem, jak ją zastałem.

Powiedziano mi, że tylko wieczorem znaleźć ją mogę. Trafiłem do domku Agafii Prochorówny Sałhanowej, który mi wskazano. Tu gospodyni zaprowadziła mnie sama do pani Heliodory. Z przed-



pokoju już niesworny gwar jakiś i rozmowa bardzo głośna nieprzyjemnie mnie uderzyła. Zawahałem się czy wniknąć i poprosiłem starej Agafii, aby pannie Raszkównie oznajmiła, że się ktoś z nią chce widzieć. Weszła, ja zostałem za drzwiami. Słyszałem jak mnie meldowano i śmiały, dźwięczny głosik zawołał.

— No, to może przecie tu wejść! — Śmiech wesoły towarzyszył tym wyrazom.

Duży pokój na dole, do którego wszedłem, znalazłem pełen dymu od papierosów i cygar... Zza obłoków jego zobaczyłem na kanapie siedzącą kobietę, średnich lat, dosyć przystojną, z głową odkrytą i włosami tak postrzyżonymi jak u Zoni, palącą papierosa i rozprawiającą żywo bardzo z kilku młodymi ludźmi otaczającymi stolik. Kilku innych siedziało w głębi na krzesłach. Zonia spodziewając się jakiegoś gościa wyszła była nieco ku niemu. I ona trzymała cygaretkę w ręku...

Spojrząwszy na jej minkę śmiała i wyzywająca, przykro mi się zrobiło. Postąpiłem nieśmiało krok ku niej i powiedziałem, kto jestem.

A! bardzo miło mi poznać pana! odparła podając rękę po męsku. Przypomniałem się jej z kuzynowstwem, roześmiała się.

A! co tam! pokrewieństwo! odparła śmiało, wszyscy ludzie są sobie braćmi, a przynajmniej być powinni. Prosiłem, aby mi dała poznać gospodynię.

— Heldusiu — zawołała zwracając się do niej — pan Ewaryst Dorohub.

Towarzystwo otaczające panią Heliodorę już ją musiało o mnie objaśnić na swój sposób, gdyż dosyć zimno zostałem przyjęty. Znałem z daleka wszystkich tych panów jak oni mnie, należeliśmy do tych przeciwnych obozów, o których wspomniałem, więc nie miałem u nich łaski.

Zonia także przyjęła mnie bardzo chłodno, dosyć jej było popatrzyć na mnie, aby poznać to, o czym gospodyni podszeptęto, że należałem do ciemnych.

Uśmiechnął się Ewaryst. Madzia, choć smutnie pożerała każde jego słowo, nie zupełnie zdawała się je rozumieć.

— Towarzystwo przed chwilą tak wrzaskliwe, ciągnął dalej Chorażyc, umilkło prawie, szeptano po cichu.

Dawano mi do zrozumienia, że tu był niezbyt pożądanym gościem.

Nie zważając na to, zacząłem wypytywać Zonię, głos zniżywszy, o nią samą. Sądziłem, że jej to będzie znośniejszym, ale na pierwsze słowo odpowiedziała mi głośno.

— Przepraszam — przerwała smutnie Madzia — ale opisz że mi jak ona wygląda; ja chcę ją widzieć...

— Najprzód powiem, że jest bardzo, bardzo ładną. Oczy ciemne, śmiało patrzące, czoło dosyć wysokie, nosek mały, usta jakby nadą-

sane i dumne; piękne włosy, choć niemiłosiernie obcięte, ale bujne, przy tym figurka zręczna, silna z ruchami trochę męskimi.

— Ale ja jej jeszcze nie widzę! — zawołała Madzia — jakże... ona jest...

Piękna i śmiała! — powtórzył Ewaryst uśmiechając się — choć w kobiecie zawsze mnie taka jakaś rubaszność razi, jej z tym do twarzy. Ma w sobie coś sympatycznie usposabiającego, szlachetnego, otwartego... niepodobna się nią nie zająć...

Ale słuchajże dalej — mówił Ewaryst. — Gdym ją spytał co się stało z Ozereńkową: umarła poczciwa Sędzina, rzekła wzdychając i jej winnam, że się bardzo o przytułek i przyszłość nie potrzebowała kłopotać. Zapisała mi co miała, z tym przybyłam do Kijowa. Chcę się uczyć, będę się starała móc sobie na życie zarobić sama i nikogo już nie potrzebować...

Słyszając to pani Heliodora, siedząca na kanapie, dodała:

— A już to z Zoni, z jej odwagi i pracowitości to doprawdy, przykład drugim brać, to kobieta!

Szmer otaczających potakiwał tym słowom — Zonia się uśmiechała pogardliwie.

— Nie macie mnie z czego chwalić — odezwała się — na bezrybiu i rak ryba, tak też i ja. Gdzie wszystkie kobiety albo za piecem siedzą, lub się kogoś za poły trzymać muszą, wyglądam na osobliwość wielką, a w tym dziwu nie ma, tak być powinno. Dostyć nas już niewolnicami było i sługami.

— Ach, Boże mój! — przerwała Madzia załamując ręce i cała we łzach. Ewaryst się zatrzymał i po chwili kończył opowiadanie w krótszych wyrazach.

— Jednym słowem, moja Madziu, Zonia się zupełnie wyemancypowała... Przyjęła mnie całkiem jak obcego i na tym się prawie skończyła nasza znajomość z nią. Spotykaliśmy się często, zaledwie mi raczyła główką kiwnąć zdala i zaraz się odwracała. Nie chciałem być natrętnym, tylko na wyjezdne zbliżyłem się raz do niej, pytając: czy nie zechce napisać co do ciebie albo ci co kazać powiedzieć. Uśmiechnęła się na to.

— Jeśli pan chcesz mów jej, niech u nikogo na łasce nie siedzi, niech niczyją nie będzie niewolnicą, niech przyjeżdża tu, uczy się i wyrobi się na człowieka! Powtarzam ci jej słowa...

Ażeby odmalować wrażenie jakie całe to opowiadanie uczyniło na Madzi, potrzeba by przypomnieć wychowanie jej w tym spokojnym, patriarchalnym starym zamiłowskim dworze, do którego żadna nigdy nowa myśl się nie wcisnęła, gdzie wszystko nowe było uznawane złym, zepsutym i psującym, gdzie świat jeszcze toczył się odwieczną wybitą koleją...

Madzia słuchała ze zgrozą i rozpaczą w sercu. Zonia zdała się jej zgubioną. Rozplakała się tak, że do swojego pokoiku uciec mu-

siała. Ewaryst pożałował prawie, że jej smutną o siostrze przywiózł wiadomość.

Nie było to jednak bez celu.

Zonia, mimo swej ekscentryczności, a może przez nią samą zajmowała go mocno, chciał, spodziewał się przez siostrę wpłynąć na nią.

Dnia tego Madzia, mając oczy od płaczu czerwone, wcale się już pod pozorem bólu głowy, nie pokazywała, a Chorążyna przypisując go potrawom świątecznym skazała ją na wszystko leczący na wsi rumianek...

Gdy rano potem wyszła trochę blada, a Ewaryst mógł się do niej przybliżyć, najprzód starał się ją natchnąć męstwem i wytłumaczyć, że Zonia wcale nie była winną, że okoliczności popchnęły ją na drogę, na której odwaga i charakter poczciwy nie dadzą się jej obłąkać.

— Zrób jedno, odezwał się w końcu, napisz do niej jak do siostry, nie dając jej poznać, że ci ją odmalował trochę zdziaczałą i dziwaczną, napisz jej od serca długi list. Jestem pewny, że on na niej uczyni wrażenie.

— A! mój panie Ewaryście — odparła Madzia, pokornie ręce składając. Pisać! ale czyż ja potrafię tak napisać do niej, by mój list... A! nie! nie! ja pisać! nie umiem. Gdybym ją widzieć mogła, klęknąć, zapłakać, uściskać, to by może poskutkowało, ale pisać! Nie! nie!

Jednakże myśl podana przez Ewarysta utkwiała w niej. Innego dnia zapytała go, jakby to należało pisać.

— Zupełnie tak jakbyś do niej mówiła — odparł kuzyn. — Nie trzeba nic a nic wyszukiwać, nic a nic układać, dozwoleń sercu, żeby dyktowało, a choćby wyrazy nie szycowały się bardzo udanie, list przemówi do niej, serce uderzy...

Spojrzała na niego Madzia i ruszyła ramionami.

— Ale ja listy piszę okropnie! dodała. Gdzie to tam kobiecie brać się do pióra!

Z tym się rozeszli, lecz ktoby był podpatrzył Madzię zaryglowaną siedzącą w swoim pokoiku wieczorem przy łojowej świeczce, myślałby, iż zakazany jaki bilecik pisze, tak go i łzami skrapiała i porywała się do pióra namiętnie i rzucała je rozpaczliwie, kilka ćwiartek leżało zasypanych literami, z których znaczna część była pokreślona potem i pozamazywana.

Po tej do pół bezsennej nocy powiedziała nazajutrz spotkawszy się z Ewarystem.

— Próbowałam pisać, ale co to warte? Na nic. Gdybym mogła pojechać do Kijowa, byłoby wcale co innego.

— Wiesz przecie, że to być nie może — przerwał Chorążyc — a przeze mnie list posłać, jakikolwiek bądź potrzeba koniecznie.

— Koniecznie? — zapytała Madzia.

— Cóż by to znaczyło, gdybyś wiedząc o niej ode mnie, słowem się nie odezwała? — odparł Ewaryst.

— Ale i ona mogła napisać do mnie? — nieśmiało odezwała się Madzia.

— Mogła, i nawet myśl tę jej podawałem, ale...

— Cóż ona powiedziała?

— My się nie znamy, jesteśmy sobie zupełnie obce, co ja do niej pisać będę? Kłanaj się jej pan odemnie jeśli chcesz...

I że ona tak mnie zbyła, nic w tym dziwnego, wedle jej pojęć nie ma nic złego w odpowiedzi. Gdybyś ty się okazała obojętną moja Madziu...

— To, napiszę! — odezwało się dziewczę posłuszne.

Przez cały ciąg pobytu Chorążycy u rodziców trwały i narady o ten list i ciche o Zoni rozmowy.

Panu Dorohubowi jednak i Chorążynie nie mówiono nic o Zoni, ażeby ich tym nie martwić na próżno.

Po Trzech Królach traf przyniósł szlachcica spod Wasilkowa, z okolicy właśnie, w której Ozereńkowie mieszkali. Pani Chorążyna, która się Madzią zaopiekowała, zawsze pamiętała o jej siostrze i utyskiwała nad tym, że ją zabrała Sędzina, nazywała to nawet rozbójem i gwałtem, gdyż miała zamiar obie sieroty wychowywać razem.

Szlachcic pan Weryha, daleki krewny Chorążego, miał sprawę w okolicy i zwyczajem szlacheckim u krewnego obrał sobie fundum. Wieczorami rozmawiano o najrozmaitszych sprawach i ludziach, byle czas jakkolwiek przepędzić. Chorążyna nie mając już o co spytała o Ozereńkową.

— A cóż tam Sędzina Ozereńko, nie wiecie co się u nich dzieje?

— Sędzia zmarł, to pani Chorążyna pewnie wiesz. Sędzinie po nim nie wiele zostało, a ładu u nich nigdy nie było. Biedowała, chorowała, gryzła się, no i zmarło się też jej nie tak dawno.

Dorohubowa ręce załamała.

— A z wychowanicą jej, siostrą naszej Madzi, cóż się stało? — zawołała z przestraczem.

Szlachcic dziwną zrobił minę.

— Ozereńkowa jej podobno zostawiła po sobie wszystko co tam było... choć niewiele tego się zebrało... Pojechała z tym, słyszę, do Kijowa.

Stary wesa pogładził, uśmiechnął się i nie dokończył. Widząc wchodzącą Madzię, Chorążyna dała mu znak, aby milczał. Niespokojna potem schwyciła Ewarysta do kąta.

— Słuchajże co Weryha powiada, szepnęła mu — wszak to Zonia podobno po śmierci Ozereńkowej, której się zmarło, pojechała do Kijowa. Czyż ty tam o niej nic nie słyszał?

Ewaryst tak był przyzwyczajony mówić przed rodzicami prawdę, iż w pierwszej chwili zarumienił się i zmieszał. Kłamać nie mógł, a całej prawdy mówić nie chciał.

— Słyszałem, że ma być w Kijowie i że się czegoś uczy, sposobi do czegoś... dobrze nie wiem, odparł Chorążyc... Chciałem się nawet o niej dowiedzieć coś więcej, ale mi trudno było i czasu zabrakło.

— A! to nie do darowania doprawdy — odezwała się matka łagodnie. — Przecież to siostra rodzona Madzi. My nie możemy ją tak opuścić. Sama jedna, nie mająca żywej duszy na świecie, toż to marnie przepaść może! To się nie godzi! My byśmy ją wzięli!

Ewaryst znalazł się w trudnym położeniu, nie mogąc wyjaśnić, dlaczego wziąć ją nie było podobna. Dodał tylko, że za powrotem się dowie o niej więcej, że słyszał, iż była u jakiejś pani itp.

— Nic że ty o tym nie mów Madzi, aby się nie martwiła — dodała Chorążyna — ja się z jegomością naradzę, a trzeba coś na to zrobić, aby biedna dziewczyna nie przepadła...

Rozmyślał już Ewaryst, czy ojcu nie powiedzieć prawdy całej, gdy Chorążyna, uprzedziwszy go, już się z nim naradzała i postanowiono, aby ona syna odprowadziła do Kijowa dla zabrania Zoni. Stary Dorohub nie czynił najmniejszej trudności w przyjęciu jej pod swą opiekę, znajdował tylko, że kto wie czy to dla Madzi dobrym będzie, gdy nie wiadomo jak wychowana siostra do jej towarzystwa przybędzie. Chorążyna trafną znalazła tę uwagę.

— To prawda — rzekła — że po wychowaniu u tych Ozereńków nic bardzo dobrego się spodziewać nie można, ale natura pocziwa nie powinna się była dać zepsuć.

— Zepsuta czy nie — odparł Chorąży — zawsze ona inaczej pewnie wygląda niż pocziwa Madzia, starsza od niej o rok: nie bez tego, żeby na nią nie wpływała. Możemy jej nie wyratować, bo już w tych latach przerabiać ją trudno, a Madzi zaszkodzić. Niech no jejmość pomyśli dobrze.

Myślano, roztrząsano, spierano się po troszę dni następnych, a że i Ewaryst brał udział w rozmowach nie trudno mu było zmienić matki postanowienie, a przynajmniej wykonanie jego odroczyć. Zgodzono się na to, ażeby Ewaryst powróciwszy starał się bliżej dowiedzieć coś o Zoni i doniósł czy Chorążyna ma po nią przyjeżdżać albo w inny sposób starać się jej być pomocną.

Tym sposobem wszystko zostało w zawieszeniu. Madzia tymczasem ogromny swój list do siostry przygotowywała.

Rzeczą było dziwną, że ona co pióra nigdy nie trzymała w ręku, chyba dla przepisania jakiej recepty gospodarskiej, modlitewki, albo zanotowania bielizny, idącej do prania, gdy raz popróbowwała tej rozmowy z siostrą na papierze prawie namiętnie się nią zajmowała i wszystkie wolne godziny jej poświęcała. Biegała zamykać

się w swoim pokoiku, bazgrała, przepisywała, poprawiała, odczytywała, popłakiwała przy tym i los tego pisma tak ją obchodził jak nigdy jeszcze nic w życiu.

Prawda, że sieroctwo zwiększało przywiązanie do siostry i troskliwość o nią, że to serce piszące było miłości pełnym ku nieznannej, biednej, opuszczonej Zoni, lecz i tajemnicze działanie myśli oderwanej od człowieka, wracającej doń w odzieży słów, niby dziecięcia własnego odzywającego się do rodzicielki przyczyniało się też do wrażenia jakie list na nią wywierał

W wigilię wyjazdu Ewarysta arkusiki-były odczytane raz jeszcze, ponumerowane, poskładane i zapieczętowane jak najforemniej Madzia w sekrecie oddała je drżącą ręką Chorążycowi, prosząc, aby, uchwaj Boże, nie zgubił, a postarał się koniecznie o odpowiedź, żeby się o Zonię dowiedział i szczerą im o niej napisał prawdę. Sama pani myśląc o biednej sierocie popłakiwała; serdecznie pragnęła ją zabrać do siebie, a lękała się razem nie już utrapienia i niepokoju w domu, lecz wpływu siostry roztrzęsionej na Madzię. Tak ją sobie wyobrażała pani Chorążyna, wiedząc, że ów dom Sędzięgo Ozereńki był bardzo otwarty, gościnnie ożywiony do zbytku, a o tym co się tam działo za żywota jego, różnie jakoś mówiono

Domek Agafii Sałhanowej na Padole sięgać musiał prastarych czasów, a przynajmniej budowano go wedle ich tradycji i obyczaju. Właściwie rzekłszy było to dwór wiejski przeniesiony do miasta. Cały z drzewa niepospolitej grubości, mocno i porządnie swojego czasu stawiony, składał się z długiego korpusu, zwróconego ku ulicy siedmią czy ośmią oknami biało obramowanymi na tle zciemniałym bierwion sosnowych, i z dosyć długiego parkanu wysokiego, który opasywał dziedziniec obszerny z szopami i składami. Szerokie wrota przytykające do dworu wiodły do środka. Dom nie miał innego wejścia od ulicy. Sałhanowie mieli oprócz podwórze, stajen i składów, które wynajmowali, sad jeszcze rozległy z tyłu, owocowe drzewa i ogród warzywny. Właścicielką terazniejszą tej pięknej posiadłości była stara Agafia Sałhanowa, wdowa po zamożnym kupcu, mająca syna jedynka, który gdzieś w innej prowincji w służbie rządowej niepoślednie zajmował stanowisko. Kobieta była prosta, pobożna, ciekawa, nie mająca ani wielkich trosk na głowie, ani zajęcia koło domu, więc wszystko ją żywo obchodziło na co patrzała. Jedyną część swojego dworku, którą wynajmować była zwykła, nie spuszczać się na kontrakty, oddawała z kolei różnym lokatorom, z którymi zawsze łączyły ją węzły inaczej nazwać się nie mogące, chyba związkiem uprzejmej ciekawości. Stara Agafia miała zwyczaj siadywać godzinami u swoich, jak ich zwała, postojalców, gawędę z nimi prowadzić, trochę im służyć i pomagać, nade wszystko zaś starać się być wtajemniczoną w ich myśli i sprawy.

Niegdyś bardzo piękna, ale bardzo uboga, zostawszy żoną bogatego kupca, choć do dobrego bytu nawykła, nie nauczyła się dumać, ni pożądała wydawać się z pańska. Chodziła w chustce jedwabnej na głowie, w sukni bardzo prostej, odziana prawie jak sługa, pufaliła się chętnie, w braku innego towarzystwa, nawet z furmanami, którym wynajmowała stajnie swoje, byle mieć z kim pogawędzić, pośmiać się i mieć od kogo postyszeć coś nowego. Tak samo teraz skrętnie przysłuchiwała się staruszka pani Heliodorze, mają-

cej u niej mieszkanie, aby do jej towarzystwa wstęp uzyskać i z ludźmi być. A że tu żwawa i wesoła uczeszczała młodzież, którą staruszka lubiła, nieraz się podejmowała służę wyręczyć z samowarem, aby potem stanąć i posłuchać jak się to śmiało i gwarzyło.

Rozumiała, czy nie to co mówiono stara Agafia, ale ją sam dźwięk mowy, samo jej brzmienie wesołe, twarze rozjaśnione, urywane i pochwytywane słowa niezmiernie bawiły. Lubiała Heliodorę, ale stokroć więcej przywiązała się do Zoni, nieomal jak do dziecięcia i dla patrzenia tylko na nią gotową była na największe ofiary.

Dobre to było serce niewieście, które choć pełne miłości dla syna oddalonego, dla męża zmarłego, nie czuło się jeszcze nią nasyconym, potrzebowało powszedniego chleba — miłości bliźniego — i nie przebierało w niej, byle nie głodnieć.

Agafia stara właśnie rozmowę jakąś wesołą dokończywszy z parobkami, którzy pod wieczór z jej podwórza wychodzili, i pożegnawszy ich stała w ciepłej, futerkiem podszytej ohrejduście u wrót swoich i rozpatrywała się dokoła, gdy się ku nim zbliżył przystojny człowiek.

Gospodyni ze swą pomarszczoną, zawsze uśmiechającą się twarzą, której bardzo regularne rysy wyrazem dobroci uderzały, zajmowała sobą tak furtkę służącą do wejścia, iż przybywający nie pozdrowiwszy minąć jej nie mógł.

Staruszka zaś nadto była na rozmowę łakomą, aby mogła przepuścić przychodzącego, nie popróbowałszy coś z niego wyciągnąć.

— A do kogo to paneczku idziecie? zapytała. Ja tu gospodyni, ja tu wszystkich znam, a was jakoś nie widywałam?

— Chciałbym się widzieć z Zonią Raszkówną — rzekł przybywający, który był nie kim innym jak Ewarystem. — Jest w domu?

Stara przypatrywała się bacznie stojącemu przed nią, ale się nie śpieszyła go wpuścić.

— Z Zonią Raszkówną? powtórzyła z uśmiechem. Znacie ją? prawda! to panienska jakiej drugiej na całym Kijowie nie ma. Kochane dziecko. O! ja ją jak córkę kocham...

Ewarystowi trudno było się zebrać na odpowiedź, a stara mówiła, spoglądając mu w oczy.

— Oj! dla was chłopców to niebezpieczna czarownica! Kto ją zobaczy, aby raz, zapomnieć nie może, dosyć, aby spojrzeć.

Pokręciła głową.

— Ho! ho! ale z nią nie łatwo! Piękna jak anioły niebieskie, ale śmiała jak huzar... A u niej dzielne słówko rzec, jak orzech zgryźć...

Ewaryst słuchał nie przerywając.

— Jest w domu? — zapytał.

— A jest! jest! — odparła Agafia, ja jej sama zaniostałam lampkę, bo ona ciągle się grzebie w tych papierach i książkach, po których jej nic, tylko młodość marnuje, biedactwo, a dość jej tej kraszy co

ma, aby sobie los zrobiła, na co jej więcej! Ale to dziecko ciekawe, a kto się takim raz urodził, nigdy spokoju mieć nie będzie.

Unikając dłuższej we wrotach rozmowy, Ewaryst ruch zrobił jakby chciał wejść, mimo staruchy.

— Czekażże — rzekła — toż tak nie będzie, bo i nie trafisz do niej po ciemku, ja was poprowadzę.

— Juźci ja do niej, kiedy sama jest pójść nie mogę — rzekł Chorążyc — poprosicie ją do gościnnej izby... kiedyście łaskawi.

— Cóż to myślicie? — odparła Agafia — ona się złąknie u siebie przyjmując studenta? E! e! nikogo się ona nie boi i o nic nie dba... Tam gdzie jest was przyjmie...

Stara powoli, skinawszy na Ewarysta, pominęła furtkę, przez podwórze zawróciła do dworu i weszła do ciemnej sieni.

— Idźcie za mną w ślad — dodała — bo na prawo drzwi do lochu, nie jeden co ich nie zna zaczął się o zawiasy i wpadł...

Z sieni zwrócili się na prawo, do jeszcze ciemniejszego korytarczyka i stara Agafia pomruczawszy coś otworzyła drzwi, Ewaryst stał w progu dosyć dużego pokoju, z wielką prostotą umeblowanego. Na lewo była ogromna perkalem zbrukanym dosyć okryta sofa, a przed nią duży stół zarzucony papierami i książkami, kilka krzeseł drewnianych różnego kształtu rozstawianych było dokoła stołu. Na prawo duża szafa, koło niej komoda, na ścianach półki czyniły podobniejszym do studenckiej niż do panińskiej kwatery...

Na jednej z półek, z pośrodku książek wyglądała dziwacznie trupa głowa, na której umyślnie rzucono biały czepeczek. Świeży ten stroik na żółtej kości wyglądał jak smutne szyderstwo...

Na wielkim stole paliła się lampka, przed nią siedziała ze spuszczoną głową, z rozrzuconymi włosami Zonia, która posłyszawszy otwierające się drzwi podniosła twarzyczkę z brwiami zmarszczonymi.

— Gościa wam przyprowadzam — odezwała się stara — choć gość nie w porę gorzej Tataru, ale to dobrze, że was od tych waszych książek oderwie.

Zonia nie podnosząc się z krzesła usiłowała poznać oznajmionego jej, tak jakby mu chciała dać odprawę.

Zobaczywszy Ewarysta i poznawszy go, nachmurzyła się bardziej jeszcze, lecz zmusiła się widocznie i popchnawszy leżącą przed sobą książkę, powstała.

Chorążyc wszedł. Agafia, która nie miała pozoru, by przystać, przynajmniej jak najpowolniej zamykała drzwi, aby coś z ich rozmowy pochwycić.

— Przywożę wam ukłony i list od siostry — odezwał się wchodząc Ewaryst. — Wracam ze świąt ze wsi, od rodziców...

Zonia słuchała obojętnie, podała mu rękę i wskazała miejsce naprzeciw siebie na sofie. Zdawała się kwaśno zrezygnowaną.

Gdy Chorażyc list jej podała, gruby i wielki, rzuciła głową z uśmie-
szkiem, kładąc go przed sobą na stole.

— Madzia tak pragnęła was zobaczyć — dodał Ewaryst — że
gdyby to było przyzwyczajone a możliwe, gotową była jechać ze mną.
Zonia ruszyła ramionami.

— A dlaczegoż to wam się zdało niemożliwe? — odparła. — Ko-
bieta u was to zawsze dziecko, które kroku stąpić nie może, aby dla
niego niebezpieczeństwa się nie obawiano?...

Siadła na swoim stołku i przybrała postawę tak jakos swobodną,
że Ewaryst się zarumienił mimowolnie. Jedną rękę zarzuciła na
poręcz krzesła, bawiąc się nią puklami swych włosów, drugą ujęła
się w bok, nogę założyła jedną na drugą, główkę podniosła do góry.
Było jej z tym ładnie, lecz zdawało się, że umyślnie przybrała po-
stawę taką, aby jak najmniej być podobną do młodej, skromnej
panienki. Czuć w tym było trochę zadanego sobie gwałtu.

Zmieszany Ewaryst nie wiedział już jak dalej prowadzić rozmowę,
której pragnął, a do której Zonia wcale się nie zdawała usposobioną,
gdy na myśl przyszła mu matka.

— Nie tylko Madzia wybierała się tak do was — odezwał się, ale
i matka moja gotową była przyjechać tu, dowiedziawszy się, że
zostałaś tak samą.

— Alboż to ja sama nie powinnam sobie dać na świecie rady? —
odparł z oznaką małej niecierpliwości Zonia, poruszając się na krze-
śle. Ja wiem, że wam ze mną się trudno będzie zrozumieć — do-
dała — bo wy inne myśli macie w głowie, które wynieśliście z domu,
a ja trochę się napiłam z żywiącego źródła... Tak, nam się będzie
zrozumieć trudno, wy po staremu kobiecie, dziewczynę macie za
istotę, która bez łańcucha się obejść nie może i musi chodzić całe
życie na paskach, ja wiem i czuję co innego! Tak było, ale tak być
nie powinno, kobieta tyle przynajmniej warta jest co mężczyzna
i równe ma prawa, jeżeli w czym to do oświecenia się i uczynienia
niezależną. Żadnej opieki bym nie przyjęła nad sobą, bo to jest
niewola, a ja nie znoszę, nie cierpię niewoli.

— Wszyscy my i mężczyźni i kobiety — odpowiedział Ewaryst —
po troszę swej swobody nieograniczonej musimy się wyrzec, bo bez
tej ofiary nie byłoby rodziny i nie było społeczeństwa...

— O! wiem ja to, wiem! — przerwała piękna Zonia. — Dajcie
pokój, wy mnie nie nawróćcie, a ja was nie myślę gorszyć.

Uśmiechnęła się z pewnym rodzajem politowania i nagle dodała:
— Cóż? sanna w drodze mieliście dobrą?

Zwrot ten w rozmowie prawie był obrażającym dla Ewarysta,
który się zarumienił mocno i zamilczał. Śmiała dziewczyna popa-
trzała nań długo, wstrząsnęła nieco ramionami i chwyciwszy linie
ze stołu zaczęła gryźć jej koniec, jakby z niecierpliwości. Dawała

mu do zrozumienia, że się go pozbyć chciała. Ewaryst nie ustępował. Zbuntowane to dziecko obudzało w nim coraz żywsze zajęcie...

— Choćbyśmy się od razu nie rozumieli — odezwał się namyślniejszy — możesz mi wierzyć, panno Zofio, że z wielką i szczerą życzliwością zbliżam się do ciebie, nie godzi się dobrego serca odpychać.

Oczki jej błysnęły.

— Cóż! apostołem chcesz pan być? nawracać mnie? naprowadzić na prawą drogę! — Parsknęła. — Proszę cię, panie Dorohubie, nie wyobrażaj sobie, że głowę mam zawróconą jakąś fantazją bez podstawy. Bardzo dobrze rozważyłam dokąd idę, z czym i po co. Z tej drogi wasze, przepraszam pana, świętoszkowskie morały ściągnąć mnie nie mogą.

Powiem ci otwarcie, mam przekonanie, z których gdybym się mu wypowiedziała, odskoczyłbyś jak od zapowietrzonej. Do kościoła nie chodzę wcale, Pan Bóg tego nie potrzebuje, wiarę mam moją własną, którą na rozumowych podstawach buduję, pojęcia o życiu nadto zuchwałe i wyemancypowane, aby pan Ewaryst Dorohub, wierny syn kościoła, szlachcic z kościoła, posłuszne dziecko, bojaźliwy uczeń, po kropelce polykający naukę, aby się nią nie otruć, mógł najmniejszą dla takiej poganki uczuć sympatią...

Mówiła żywo bardzo, patrząc na Ewarysta, który słuchał, nie okazując zbytniego podziwienia, wszystkiego mógł się spodziewać z tego co słyszał o Zoni i kółku, wśród którego się znajdowała...

Nim miał czas odpowiedzieć, Zonia wstała z krzesła, popchnęła je, bujne swe krótkie włosy obu rączkami poprawiła żywo i zaczęła się przechadzać, z ukosa patrząc na gościa, jakby mu powiedzieć chciała: — No, idźże sobie. — Ewaryst siedział.

— Ogadujesz się, panno Zofio — rzekł spokojnie — nie wierzę, abyś zaszła tak daleko, a sądzę, że gdybyś nieopatrnie zabiegła istotnie na te krańce, powrócisz z nich smutna i zawiedziona.

— O! nigdy! przenigdy! — zawołała. Zonia gorąco — popaliłam mosty za sobą! Z tego stanowiska, którego się dobiłam, już się nie powraca...

— Za przyszłość nikt ręczyć nie może — dodał Ewaryst.

— Ja ręczę, bo bym zawiedziona i zmuszona zaprzecić się przekonania, żyć nie chciała! — i umarła!

— Jak to?

— Jak? najprościej w świecie! kropla strychniny starczy...

— A godziź się to? — zawołał oburzony Dorohub

— Dlaczegoż się nie ma godzić? Jak to? com nie prosiła o życie, miałabym nie mieć prawa zrzucić z siebie to brzemie kiedy zechcę?

— A Bóg! — krzyknął Ewaryst? — Z pogardą obróciła się Zonia ku niemu.

— O waszym Bogu macie antropomorficzne pojęcia — odparła. Ruszyła ramionami.

— Sam widzisz — dodała — że z naszymi pojęciami tak różnymi, zrozumieć się nam niepodobna. Przerwałeś mi pan rozdział bardzo zajmujący fizjologii — a czas drogi.

— Prawda, i ja nie mam prawa, nawet w imię największej życzliwości dla was domagać się z niego ofiary.

Zonia stanęła chwilę w pochodzie swoim w pokoju, była podrażniona.

— Madzia mówi co dzień regularnie pacierz? pości w środy i piątki, odprawuje nowenny... ja jej tych rozkoszy nie bronię, dla czegoż wy mnie chcecie — bo ja to czuję, wy chcecie mnie zakuć w więzy?

— Nikt do mnie prawa nie ma!

— I nikt go nie rości — odparł Ewaryst — ale mamy dla ciebie miłość.

— A! ta miłość wasza! — przerwała Zonia — jak ona ładna w słowach, jak straszna w czynach. Z tej to miłości palono na stosach, wyciągano na torturach.

Gdy Zonia się tak rozgorączkowała, Ewaryst stygł, bo mu litość nad tą biedną ścisłała serce...

— Domyślasz się, panno Zofio — rzekł — rzeczy, o których mnie się przynajmniej nie śniło. Nie myślę cię nawracać, jak ty to nazywasz, ale czuję i obowiązek krwi i nie wiem już jak nazwać tę pobudkę, czuję potrzebę zbliżenia się do panny Zofii... Jestem z obowiązku tego rodzajem opiekuna...

— O! bardzo proszę, bardzo proszę, tylko żadnej opieki nade mną nie rozciągać, opiekę mam w swojej głowie i sercu, innej nie potrzebuję.

— I ani krewnych, ani przyjaciół znać nie chcesz? — spytał Ewaryst...

— Krewnych? nie rozumiem — odezwała się Zonia — związki te krwi konwencjonalne są, natura ich nie zna... tylko o tyle, o ile one są potrzebne dla zachowania rodzaju. Co się tyczy przyjaciół, mylisz się pan, mam i potrzebuję przyjaciół, ale najpierwszym przyjaźni warunkiem jest jedność pojęć i zasad, a tych między nami nie ma i nigdy nie będzie, chyba byś pan na wiarę naturalną się nawrócił? dodała szydersko.

Zonia widząc, że się go tak łatwo nie pozbędzie, a mówić już nie chcąc, chwyciła ze stolika list Madzi, rozerwała kopertę, dobytek z niej ówiartki, które się posypały na ziemię i zawołała, zbierając je:

— A! tyle napisała! Za wszystkie lata! Znać, że nic do roboty nie ma.

Twarz biednego Chorążycy, który zbity zupełnie z tropu, dotknięty boleśnie całą rozmową, siedział chmurny i widocznie cierpiący, tak była wyrazista, że dziewczę kilkakroć ją zmierzwiwszy oczyma, pomimo złego swego usposobienia ku niemu, uczuło rodzaj politowania

nał tak zamordowanym człowiekiem. Widziała się zwycięską, mogła być miłosierną. Oczyma mierzyła milczącego, wzbudzał w niej pewien rodzaj współczucia.

Westchnęła zlekka. Tak — rzekła trochę złagodzonego głosem — tak, my się nie zrozumiemy nigdy, stoimy zbyt od siebie daleko. Znam bardzo dobrze dom wasz i ducha jaki w nim panuje. Ja dla was jestem buntownicą, a wy dla mnie biednymi zaślepionymi.

Ewaryst dał jej mówić.

— Powiadasz, że znasz dom nasz i ducha jaki w nim panuje — odezwał się — duch to po staremu chrześcijański, dodałbym chrześcijański po staropolsku, co się nie tylko do słowa i litery wiązał, ale z każdej dobywał iskrę miłości, która jest całą nauką Chrystusa. Tak, myśmy chrześcijanie, ty się nazywasz poganką. Nie stałaś się nią sama przez się, któż cię nią uczynił?

Z uśmiechem poprawiła go Zonia.

— Powiedz lepiej, kto mnie zgubił? Kto mi ten kamień przywiązał do szyi? Wszak tak?

Ewaryst poruszył ramionami.

— A! to długa historia — odezwała się i zza paska dobytego zegarek. — Jeżeliś ciekawy ciekawy? możesz widzieć tego mistrza, któremu winnam nawrócenie moje.

Za kwadrans dadzą herbatę u Heldusi, zejdzie się na nią pewnie więcej osób, ale powinien być i Jewłaszewski... Ewaryst, który z dala w ulicach widywał wymienioną figurę i cośkolwiek wiedział o niej, rad był zaproszeniu i skłonił głowę przyjmując je. Chciał z bliska zobaczyć i poznać tego oryginała.

Jewłaszewskiego w owych czasach widywało często w ulicach Kijowa, a samym strojem i postacią ściągał oczy i uwagę, zdając się chcieć tego, choć pozornie skromną miał powierzchowność.

Był to mężczyzna już lat czterdziestu kilku, jeżeli nie pięćdziesięciu, słuszny, wyprostowany, krzepki, z twarzy niepiękny, siwiejący, wielce i aż do zbytku sztywny i poważny.

Mówił zawsze jak z katedry, a twarz jego długa, rysów dosyć regularnych choć niemiłych, przybierała naówczas wyraz jakiegoś natchnionego apostołstwa. Wygłaszał aforyzmy... nie rozumiejąc i nie przypuszczając żadnego sprzeciwienia się i sporu. Mistrz rzekł, a gdy się odezwał, rzecz powinna była być skończona, wszelka niepewność rozstrzygnięta.

Jewłaszewski ubierał się dziwacznie, nosił małą podstrzyżoną brodę i wąsy, włosy długie obcięte równo dokoła, kołnierz od koszuli spięty wielkim fantastycznym guzem, czarne buty długie i strój, który przypominał dostatniego włościanina małorosyjskiego.

Zimą i latem chadzał w baranej czapce. Była to wówczas wyrocznia młodzi, która się u niego chętnie zbierała wieczorami i wynosiła stąd myśli najdziwniejsze, niekoniecznie, w logicznym

z sobą związku będące, ale świetne, niby oryginalne, niby nowe i niby obfite w nieskończone wnioski...

Kto nie przyjmował doktryn Jewłaszewskiego, tego on po prostu lajał, a w męskim towarzystwie słowy tak dobitnymi, jakich tylko wieśniacy używają po gospodach, gdy się pokłóca.

Mówiąc apostoł podnosił rękę jedną do góry i palec wskazujący kierował jak pistolet w pierś słuchacza...

Z czego żył i czym się właściwie zajmował ten niby literat, po troszę prawnik, a głównie filozof eklektyk, który pono niczego się nigdy nie uczył i był genialnym autodydaktem), nikt dobrze nie wiedział.

Unikał równie badania o przeszłość, jak spojrzenia w oczy, w które nikomu patrzeć sobie nie dozwalał i natychmiast je odwracał.

Wiele dobrego być mogło w tym człowieku, zmieszanego z różną przez wiatry nanieśioną plewą. Uczynnym był, oburzała go wszelka niesprawiedliwość, brał słabych gorąco w obronę, życie przy tym prowadził niemal anachorety. Żywił się w najprostszy sposób, po chłopsku, a nawet z pewną przesadą, wszelkich wygódek i pieśczoł unikał, wytrwał był na zmiany klimatu, kąpał się w zimie w przerebłach. Czynił to z zasady, a zdrowie mu jakoś dozwalało być jej wiernym.

Gdy Ewaryst zgodził się milcząco na zbliżenie do Jewłaszewskiego, Zonia trochę zdumiona popatrzała na niego, ale widać było, że przyjęła to rada.

— Więc — odezwała się poprawiając bez ceremonii trochę rozrzucone włosy przed małym lusterkiem, do którego się zwróciła — więc chodźmy do pokoju Heldusi, bo się tam już nasze zwykłe towarzystwo powoli ściagać zacznie. Wiem, że ono dla pana sympatycznym nie będzie, ale kto wie, może się przekonasz, że w nim więcej jest życia i przyszłości niż w waszych kótkach, w których hypokryzja panuje.

Ewaryst uśmiechnął się tylko, nie odpowiadając nic. Zonia poszła przodem i przez sień ciemna poprowadziła go do bawialni, w której już raz pierwszy się spotkali.

Pokój ten obszerniejszym jeszcze wydał się teraz Ewarystowi, bo w nim nie było nikogo oprócz gospodyni, wygodnie siedzącej na kanapie, z rękami zanurzonymi we włosach i głową spuszczone nad książką. Nieodstępny papieros, chwilowo położony na stoliku, kużył się niedopalony. Oprócz niej tylko stara Agafia krzątała się w kątku, przygotowując herbatę dla nieuniknionych co dzień gości.

Chorążyc mógł teraz lepiej się nieco przypatrzeć przyjaciółce Zoni pani Heliodorze, której twarzy nie kryły przed nim kłęby gęstego dymu. Była to średnich lat, może trzydziestu kobieta, mająca jeszcze resztki młodości na twarzyczce, która nigdy nie była piękną, ale teraz jeszcze błyszczała wielkim życiem i niepohamowaną żywo-

ścią. Trochę małe oczki czarne, trochę szerokie usta różowe, trochę blada i nalana okrągła twarz, mimo nieregularności rysów miały w sobie coś miłego i pociągającego. Wszystko to życie przeszłe, zapewne bez wielkiej rachuby prowadzone, przedwcześnie zrobiło zwiedłym i zmęczonym. Ręce też, które podniosła, białe, nieco chude, starsze prawie były niż ona. Ale pod tą powłoką zużytą czuć było namiętą jeszcze żywotność ducha niezmordowanego, a oczy patrzyły bystro i świadczyły o rozumie.

Spojrząwszy na Chorażyca poznała go zaraz wdowa i podała mu rękę, okiem pytającym mierząc tę, co go przyprowadziła. Zonia odezwała się obojętnie, jakby zroszczała, że ją pytano.

— Chciał poznać Jewłaszewskiego. — Wdowa wnet zwróciła wejście na przybysza.

— Siadaj pan (wskazała mu miejsce przy sobie na kanapie), Jewłaszewskiego istotnie poznać i posłuchać warto, bo to człowiek jakich mało.

— Jakich nie ma! — poprawiła Zonia.

Umysł prawdziwie wyższy — dodała Heliodora — osobistość znakomita, charakter piękny; a przy tym co za prostota!

Kończyła te słowa, gdy się drzwi otworzyły i wszedł słuszny chłopak młodzieńcki, czarnooki, z twarzą dość przystojną, choć przedwcześnie pofałdowaną, jakby już gwałtownie jakimś podlegała zmianom, które młodą czystość jej rysów nadwyrężyły. Szybkim krokiem wpadł do pokoju, witając naprzód poufale podaniem ręki Zonie, która bliżej stała, potem tak samo podchodząc do gospodyni, którą pozdrowił zaledwie słowem, i czapkę na stół rzuciwszy wziął się do zwijania papierosów.

Z jakąś nowiną, której głośno powiedzieć nie chciał z powodu Ewarysta, schylił się do ucha pani Heliodory i spytał zaraz o Jewłaszewskiego, którego tu ojcem nazywano.

Spodziewam się, że dziś przyjdzie — odpowiedziała wdowa — jeżeli, bo to mu się często trafia, nie zapomni o dniu i godzinie, nie zapędzi się w jakąś rozprawę, którym u niego końca nie ma.

— Ale ja ręczę, że będzie — przerwała Zonia śmiało, bo mi obiecał.

— A najmilszej swej uczennicy i ukochanej córeczce zawsze słowa dotrzymuje — dodała z małym ironii odcieniem wdowa. Zonia zdawała się być dumną z nadanego jej tytułu i dokończyła.

— O! tylko co go nie widać!

Tymczasem nadszedł jeszcze drugi i trzeci młodzieniec, a obiecanego pana ojca nie było: wszyscy oni spoglądali na Ewarysta z rodzajem nieufności i podziwienia, jakby tu sobie dłuższej jego przytomności nie umieli tłumaczyć. Hamowała ona śmielszą ich rozmowę, chociaż po naradzie cichej z Zonią, panowie ci zdali się

wkrótce mniej zwracać uwagi na natręta. Znali go oni wszyscy z widzenia jako jednego z tych kolegów, którzy ich kółka unikali.

Zaczęto rozprawiać o wykładach profesorów, wtrącano potem kilka kwestii osobistych, ożywiła się pogadanka przy okrągłym stole, za którym siedziała wdowa, gdy na ostatek wszedł ów spodziewany Jewłaszewski.

Wniósł jego miało już w sobie coś oryginalnego. Zatrzymał się na progu, oczyma mierząc i licząc towarzystwo, dojrzał Ewarysta osobiście sobie nieznanego i skrzywił się nieco. Od progu nie śpieszył ku gospodyni, która wstała na jego przyjęcie, i wszyscy zwrócili się z pewnym uszanowaniem, witając ojca. Zonia pierwsza podbiegła ku niemu z poufałością dziecinną i radością widoczną, chwytając go za rękę, pochyliła mu się do ucha i szeptała coś zaczęła. Oko jego zwrócone na Ewarysta dowodziło, że mu o nim mówiła.

Większą jeszcze powagą na widok nieznanego oblekło się oblicze p. Jewłaszewskiego.

Ewaryst przystąpił, aby mu się przedstawić.

Ojciec przyjął go zimno i ostrożnie, zamruczał słów kilka, zdawał się chcieć zbadać wprzód przybysza, nim się miał cały przed nim otworzyć. W wejrzeniu błędnym widać było niemal obawę. Tymczasem drudzy otaczali już go, a że za nim szło też kilku młodzieży, w pokoju zrobiło się już gwarno...

Zonia, wcale się nie ceremoniując z tymi towarzyszami, podawała im rękę, śmiała się, dawała przybliżyć do siebie aż do zbytku; odprowadzała jednych na bok, drugich klepała po ramieniu. Była teraz jakby w swoim żywiole.

Jewłaszewski zaczepiany ciągle, ale prawie milczący, nie spuszczał z oka profana, szedł powoli ku stolikowi. Znać było po nim, że go ten obcy niepokoił trochę.

Zonia z ukosa obu ich mierzyła oczkami, ciekawą będąc zbliżenia ku sobie. Inni jednak rozdzielali ich tak, że Ewaryst pozostał na boku w początku, a że się cisnąć nie chciał, odosobniony stał sam jeden.

Zobaczywszy to Zonia trochę się zmarszczyła, podeszła do Jewłaszewskiego, wzięła go pod rękę i jak podbitego a posłusznego niewolnika odwiodła na stronę.

— Niech no ojciec będzie łaskaw, tego pana trochę weźmie na spytki i udzieli mu się trochę. Jakiś to tam mój kuzyn, zdaje się dobry chłopiec, tylko zahukany wychowaniem... umyślnie tu został, aby ojca poznać. Nie wątpię, że wy go, ojczulku, nawrócicie.

Jewłaszewski słuchał zmarszczony.

— Ale, moja Zoniu — odparł — nie tak to łatwa jest rzecz rozpowijać umysły, na których ciasne pieluchy, noszone długo, zostały piętna. To się tak na poczekaniu nie robi. Trzeba znać subiekt, nim się zechce działać na niego, aby praca nie była straconą na daremnie...

— Toteż proszę, abyś się ojciec poznał z nim — dodała tonem dziwnie nakazującym Zonia, jakby знаła moc swą nad starym. Jewłaszewski popatrzał na nią, głową pokręcił, i gdy mu się jeszcze uśmiechnęła, zamilkł jakby już sprzeciwiać się jej nie mógł.

Dziwny jakiś stosunek łączył te dwie istoty, bo w wejrzeniach starego ojca, kto by je chciał był badać, więcej by może się znalazło niż rodzicielskie przywiązanie. Dziewczę panowało widocznie nad nim i znało swą siłę, choć sobie może z niej nie zdawało sprawy. Jewłaszewski prawie z niej oka nie spuszczał, a gdy ona patrzyła nań, roztopiał się pod tym spojrzeniem i mieszał a niepokoił.

Zaraz po odebranych rozkazach zwrócił się, manewrując zrećźnie stary, zawsze krocząc z powagą sobie właściwą, wprost ku Ewarystowi.

— Pan tu pierwszy raz jesteś między nami? — zapytał go głosem pedagoga, który ucznia egzaminowi poddaje.

— Tak jest — odparł Ewaryst.

— Ale w uniwersytecie już pan jesteś od dawna? — mówił ciągle go badając oczyma stary.

— Drugi rok zaczynam...

— Na jakim oddziale, jeśli wolno zapytać? — ciągnął dalej ojciec.

— Rozpocząłem prawny — rzekł Ewaryst — mam przed sobą zawód życia praktyczny, gospodarza wiejskiego. Agronomia u nas uczy się z tradycji, bo dalej poza nią nie wyszła, ale stosunki prawne potrzebują, aby się do nich przygotować...

— Tak — odparł sucho Jewłaszewski. — Widać, że pan posłuszny woli rodziców, wszelkich wyższych aspiracji się wyrzekłeś i nie zamierzasz dalej sięgać nad to — co pod ręką.

Skromność to piękna...

Uśmiechnął się ironicznie, Ewaryst nie bardzo wiedział co ma mu odrzec na to.

— Tak — dodał po namyśle, byłem posłuszny woli rodziców, a oprócz tego i w sobie nie znalazłem dotąd pobudki do szukania dróg innych

— To dziwna, bo właśnie pan jesteś w tym błogosławionym wieku, gdy się nadziejami i myślami zwykło strzelać wysoko.

Tu Jewłaszewski przybrał jeszcze poważniejszą postawę pedagoga i począł mówić zwolna, sam z lubością przysłuchując się sobie.

— Przyznaję się, że mi zawsze żal, gdy widzę młodzieńca w jego wieku, nie mającego odwagi zapisać się do falangi przodowników! Nasz wiek tak potrzebuje tych rycerzy w obronie prawdy stawać mających.

Ewaryst miał odwagę zapytać. — Prawdy? ale jakiejże prawdy?

Ojciec z politowaniem pewnym spojrział nań.

— Biada tym, co jej nie widzą, co o nią pytają! — rzekł. — Stoi ona obnażona, jasna, widoma ponad głowami naszymi!

Nie czujesz-że pan, iż stoimy na fałszu, oddychamy fałszem, karmimy się nim, rdzą jego jesteśmy przegryzieni. Wszystko co istnieje musi się obalić i pójść precz, abyśmy powrócili na drogę prawdy, z której zeszlismy... Kamień nie powinien zostać na kamieniu.

Mówiąc to spojrział bystro na Ewarysta, szukając w nim wrażenia swej wymowy. Chorążyc słuchał spokojnie i pocisk ten gwałtowny wcale się nie zdawał go obalać, jak się mówca spodziewał.

— Przepraszam bardzo pana — rzekł pokornie — lecz chcąc się oświecić muszę być natrętym w rzucaniu pytań i wątpliwości.

Ile razy ludzkość z jakiegokolwiek bądź powodu nagle zrywała z tradycjami i gardziła zdobyciami i pracą wieków, które ją poprzedziły, widzimy w historii zawsze upadek jej. Nie podnosi się aż znowu powracając do łańcucha ogniw, które stanowią, łącząc się z sobą historią postępu ludzkości. Istotny postęp mnie się zdaje stopniowym pochodem, nie gwałtownym miotaniem się. Czymże bylibyśmy wyrzekając się tego, co przeszłość zbudowała?

Jewłaszewski słuchając zagryzał usta, oczy mu rosły, powieki drżały, parę razy rzucił wejrzenie w bok Zoni, niby z wymówką, że go na rozprawę z zuchwałym przeciwnikiem naraziła.

— To są poglądy przestarzałe — odparł z rodzajem pogardy ojciec, zatrzymawszy się chwilę. — Są momenta w historii ludzkości, w których wielkie i gwałtowne leki potrzebne są na zabójczą chorobę, w takim momencie właśnie my się znajdujemy... Mamy wiele, zaprawdę wiele do czynienia! Burzyć! burzyć! — Gwałtownym ruchem ręki Jewłaszewski słowom zapragnął dodać wyrazu. Ewaryst stał milczący.

— Gdybyśmy dozwolili iść wszystkiemu wybitnym torem powoli, nigdy by ludzkość nie doszła do swych celów — ciągnął dalej ojciec — odrobina prawdy jaką odziedziczyliśmy z przeszłości tak się splątała z fałszem, iż aby wykorzenie go i ją poświęcić potrzeba... chwilowo, nie ma o to strachu — odrośnię.

Spojrzął na Chorążycę; zdało mu się, że działać nań poczynał i ciągnął dalej z większą śmiałością i zapałem.

— Z fałszywych dróg nie schodzi się inaczej jak cofając, lecz cofanie się to pozorne jest, bo ku prawdzie prowadzi.

I stało się milczenie wielkie, po tym aforyzmie, na który Chorążyc nie odpowiadał, Jewłaszewski zaś nic jakoś na podorędziu nie znalazł, by do niego przyczepić

Widząc jednak, że słuchacz nie ucieka i zdaje się oczekiwać na dalsze wyjaśnienia, ojciec zaczerpnął z innej beczki.

— Tak, młody panie — odezwał się — zaprawdę wiele mamy do czynienia, pola chwastami pozarastały, nim zasiejemy je wyplenić, wyplenić musimy! — chwilę pomilczał.

— A wiesz pan — dodał zwracając się ku niemu z żywością — gdzie ziarna prawdy szukać?

Oto tam, gdzie je natura zawsze ukrywa na zapas — gdzie ono grubą warstwą ukryte przechowuje się niezepsute — u ludu!

— Lud potrzebuje oświaty — odezwał się Ewaryst — lecz nie wiem czy ją dać może?

— Oświaty wedle pojęcia powszechnego on nie ma — sprzeciwił się Jewłaszewski — ale ma skarby, o których sam nie wie, zachował instynkta zdrowe. Z tych czerpać nam potrzeba. Przy tym jest to dziś dnia klasa pariasów, wywołańców, na których pasożytem siedzi i karmi się reszta ludzi, temu koniec położyć potrzeba.

— Czyż nauka Chrystusowa nie położyła już końca temu, ogłaszając braterstwo wszystkich ludzi i miłość dla bliźnich czyniąc najpiękniejszym obowiązkiem? — spytał Ewaryst nieśmiało.

Podumał chwilę mąż natchniony.

— Naukę tę zwichnięto w kolebce — dodał. — Lecz widzę, że wy, kochany panie, zbyt zacofani jesteście, a ja od razu chcąc was nawrócić na wyższe stanowisko, musiałbym wielką z jego przekonaniem stoczyć walkę, odłożmy więc to na czas inny...

Jewłaszewski otarł czoło, był już zmęczony a nie bardzo pewien wrażenia jakie wywarł, wolał się więc tymczasowo wycofać, i lekko skinąwszy głową Chorążycowi postąpił ku innym oczekującym nań młodzieńcom, którzy z dala się ciekawie przypatrywali pojedynkowi jego z Ewarystem, nie wątpiąc bynajmniej, że pobity zostanie.

Chorążyc jeszcze nie mógł ochłonąć po ukropie jakim go złano, gdy Zonia się ku niemu przysunęła, chcąc pochwycić kuzynka nim by przyszedł do siebie po szwanku.

Zdziwiła się nieco znajdując go spokojnym i raczej skłopotanym niż zwyciężonym.

— A cóż? a co? — zawołała — mówiliście z ojcem? prawda? co za wymowa? co za myśli? jaki człowiek? .

Chorążyc pochylił głowę, potwierdzając to uwielbienie milczeniem.

— Mało miałem czasu do poznania go i rad bym bardzo kiedyś wolniejszym go znaleźć.

— O! to trudno! — przerwało dziewczę. — Z nim potrzeba chwycić momenty i słowa, on tak jest zajęty, tak otoczony...

Młodzież za nim przepada — ciągnęła coraz żywiej. — Wy nie wiecie, to encyklopedia chodząca! Spytać go o cokolwiek bądź, każdą naukę zna, w każdą wniknął głęboko, wszędzie wskazuje słabe strony, braki... umysł dziwnie krytyczny...

Ewaryst się już nie sprzeciwiał, lecz chłód pewien i powściągliwość, z jaką się wyrażał o mistrzu wielbionym, rozdrażniła widocznie Zonię.

— Posłuchajcie no tylko jeszcze z dala co mówić będzie — rzuciła szybko, wskazując mu, aby z nią razem zbliżył się do ojca otoczonego młodzieżą — przekonacie się, jak uniwersalny to geniusz... — Ewaryst szedł posłuszny w jej ślady, przysunęli się do

gromadki, tu mowa była o naukach w ogóle. Jewłaszewski wy-
rzekał na idealizm w nich i zrządzone przezeń szkody.

— Wszystko na nowo zdobywać potrzeba — wołał — fantazja
zastąpiła doświadczenie. W pomoc rozumowi zwichniętemu muszą
przyjść nieomyślne zmysły.

— Przykłaśnięto mu.

— Komunały panowały światu wszędzie równo na katedrze jak
w salonach, w życiu i naukach. Precz z nimi — do natury! do
natury! do prostych obyczajów; do skazówek, które leżą w nas,
a które faryzeusze tylko zowią chuciami i namiętnościami.

Tak daleko się zapędziwszy, nagle pan Jewłaszewski powściągnął
się, ostygł i chcąc zmienić przedmiot, zagadnął jednego ze stoją-
cych o jakąś kwestią prawną. W tym miał się za bardzo mocnego.
Stara jednak Agafia Sałhanowa nie dała rozwinąć się dyskusji, bo
poczęła roznosić herbatę.

O Ewaryście zapomniano trochę; stał zasłonięty innymi; docho-
dziły go tylko urywki rozmowy, którą bardzo prędko papląc wiodła
głównie pani Heliodora.

— Słowo daję! tak jest! No — uciekła z nim? krzyczą za nią?
za co? Kochała go, miała zupełne prawo! Kobieta powinna być
wolną i iść za sercem...

Nikt nie przeczył. Jewłaszewski dodał:

— Te wszystkie kajdany form naszych towarzyskich, zadawnio-
nych, przestarzałych popękać muszą... Niepodobna, aby mężczyzna
czy kobieta pokutowali żywot cały za nieroztropne jakieś zob-
owiązanie się przedwczesne...

Ewaryst posłyszawszy to spojrział na Zonię, chciał wiedzieć, jak
tę tak zuchwale wygłoszoną prawdę przyjęła. Zonia stała o stół
oparta z namarszczoną brwią, z twarzą zamysloną, ale się nie sprze-
ciwiała.

— Jedyne związki prawy — zakończył Mistrz — to związki serc...
Gdy te się rozchodzą, ludzie rozejść się też mają prawo!!

Komentarze tego pięknego aforyzmu tak głośne były i hałaśliwe,
iż Ewaryst już pochwyć nic nie mógł oprócz gwaru. Ścisnęło mu
się serce trwogą jakąś, rad był zaprotestować, lecz niepodobień-
stwem było wdawać się w rozprawę z tym tłumem.

Nie widząc go, Zonia zbliżyła się ku niemu i sama wyszukała
w ciemnym kątku, w którym stał przysłonięty. Spojrzenie jakie
rzucił na nią nie wiedzieć dlaczego oblało ją rumieńcem... Sądziła,
iż powie coś i zdała się oczekiwać od niego słowa, choćby surowego,
ale Ewaryst, nie chcąc rozpoczynać z nią walki, znajdując ją może
naprózną, z cicha tylko żegnać ją począł. Wyraz smutny jego twarzy
powiedział jej to czego usta nie śmiały.

— Przeczytaj proszę list siostry — rzekł wysuwając się ku
drzwiom — i odpisz jej, ja kiedyś przyjdę po odpowiedź.

Zonia skinęła główką i oczyma do drzwi go przeprowadziła.

Wiosna w tym roku wcześniej była niż zwykle i piękniejsza niż u nas bywa, nie przerywały jej te powroty kapryśne zimy i chłodu, które ucinają zielonym trawom głowy i warzą liście młode. Rozwijało się wszystko z szybkością nadzwyczajną, a ludzie korzystali z powrotu ciepła, wybiegając nad brzegi szeroko jeszcze rozlanego Dniepru, aby się cieszyć widokiem wspaniałym wód i młodej zieleni.

Jednego z takich dni Ewaryst też wyszedł do ogrodu, którego stare włoskie orzechy jeszcze same jedne martwe stały na wiosny wołanie. Pod nimi już rzekwy pomniejszych pobrały szaty godowe, okryły się liśćmi, zabierały do kwiatu.

W ogrodzie o tej wieczornej godzinie pusto było jakoś, bo znaczniejsza część uczęszczających tu gości widowiskiem jakimś cyrkowym a głośnym bardzo odciągniętą była. On szukał tu spokoju i ciszy, których potrzebował.

Od poznania Zoni, pomimo że się obraniał myślom ciągle powracającym o niej, obraz tego biednego dziewczęcia wciąż mu do serca zaglądał.

Zajmowała go coraz więcej, już nie jako biedna sierota rzucona w tłum, który dla niej był groźnym, nie jako obłąkana teoriami niebezpiecznymi, od których ją trzeba było ratować, ale jako dziwny ideał, do którego się mimo swej woli przywiązał. Sam on nie wiedział, co w nim gwałtowne dla niej uczucie obudzić mogło. Wszystko w co wierzyła, co mówiła, raziło go, oburzało, było mu wstępliwym, ona była mu nad wyraz drogą. Miłość jaką powziął ku niej mogła być czysto zmysłowym urokiem a nie mniej jednak była potężną i silną. Ewaryst upokorzony nie mógł się jej obronić. Walczył z sobą, unikał spotkania, odpędzał wspomnienia, a zaledwie mu się przesunęła przed oczyma, gwałtowne, namiętne przywiązanie wracało.

Nie ona je podsyciała, bo nikt obojętniejszym nie mógł być dla niego nad nią. Próba nawrócenia przez Jewłaszewskiego, całkowicie chybiała, odstreczyła Zonię od niego. Patrzyła nań z politowaniem,

obchodziła się niemal ze wzgardę, pozbywała się go nie tając wstępu. Pomimo to Ewaryst kochał ją coraz mocniej, coraz rozpaczliwiej, można było powiedzieć.

A miłość ta gotową była do ofiar, szlachetną, czystą, czyniła go nieszczęśliwym i pozbawiała spokoju.

Po owym wieczorze, dni z dziesięć nie pokazywał się Ewaryst, nareszcie musiał pójść po odpowiedź dla Madzi. Zonia przyjęła go zimno, nie było już mowy o nawracaniu, mistrz uznał go niezdolnym i nieusposobionym. Wyrok jego srogi Zonię uczynił nieublaganie chłodną i zobojętnioną.

Wspomniał o liście do siostry, ruszyła ramionami.

— Co ja mogę napisać do niej? — odparła. — Ona mnie tak nie zrozumie jak ja jej całego, wykrzyków pobożnych i paplaniny dziecięcej nie mogłam zrozumieć. To biedne dziecko skazane na wieczną nicość. Żal mi jej, ale ja na to poradzić nie mogę.

— Jednak, choć kilka słów, jak do siostry! — dodał Ewaryst.

— Siostry? cóż to jest siostra? — zapytała Zonia. — Siostrą mi jest Heldiora, z którą się rozumiemy, jedne mamy myśli i uczucia! Ale ta, siostra ze krwi, nieznamajoma, obca?

Poprawiła się jednak, może dla pozbycia Chorążycy.

— A więc dobrze — rzekła — odpiszę, odpiszę kilka słów... Przyjdź pan, albo nie, przyślę je panu...

Po krótkiej tej rozmowie upłynęło parę tygodni, a że listu nie było. Ewaryst spotkawszy się z Zonią na ulicy, zbliżył się i zapytał o przyrzeczoną odpowiedź.

Trochę niecierpliwie kazała mu po nią przyjść nazajutrz. To krótkie widzenie się z Zonią rozmarzyło na nowo Chorążycy, gdy nazajutrz przybył i zastał ją samą, był w takim usposobieniu egzaltowanym, że po pierwszych kilku zimnych słowach nie wstrzymał się od wybuchu.

— Choć nie chcesz mnie znać ani za krewnego, ani za dobrego przyjaciela i okazujesz mi nie powiem obojętność, ale niemal wzgardę — odezwał się do niej — pozwól, bym ja ci się przyznał, że ty we mnie wzbudzasz takie uczucie gorące, taką sympatię, że ja bez trwogi, bez niepokoju pomyśleć o tobie nie mogę, a nie myśleć o tobie jest mi niepodobieństwem.

Zonia się zmarszczyła.

— Bardzo dziękuję za to uczucie gorące — odparła żywo — ale proszę sobie wyperswadować, ażebym ja na nie kiedy choćby ciepłym odpowiedzieć mogła. Stoimy za daleko od siebie. Lecz, skądże ten niepokój o mnie?

— A! czyż nie usprawiedliwia go twoje położenie? ludzie co cię otaczają! — zawołał Ewaryst.

— Ja się w tym położeniu czuję zupełnie bezpieczną, a co się tyczy ludzi otaczających mnie, tych szanuję i kocham...

— Jesteś na drodze... — zaczął Ewaryst... Oburzona dziewczyna nie dała mu dokończyć.

— Tak! tak! na drodze zatracenia! zguby! — rozśmiała się. A! proszę się mną nie opiekować; wiem gdzie jestem i dokąd idę. Była, pomimo uśmiechu, zagniewana.

Chorażycowi łzy wytrysnęły z oczów — pochwyił ją za rękę.

— Zoniu daruj! nie gniewaj się — zawołał — nikt, nikt na całym świecie lepiej ci nie życzy, więcej cię nie kocha nade mnie.

Dziewczę śmiejąc się wyrwało mu rękę.

— Cóż to! czyś się zakochał we mnie? A, toby było zabawnem! — zawołała wesoło... — Boisz się dla mnie urojonych niebezpieczeństw, a sam mi grozisz jakąś miłością... Otóż to są wasze faryzeuszowskie cnoty!

Ewaryst się oburzył.

— Zoniu — krzyknął czerwieniąc się — tak jest, kocham cię, kocham szelenie, ale miłość taka jak moja nie jest niebezpieczeństwem a mogłaby być ratunkiem, bo byłaby jawną, uczciwą i wieczną...

Zonia stała jak rażona tem wyznaniem i pomilczawszy trochę, odpowiedziała chłodno.

— Bardzo panu dziękuję, ale na nieszczęście ja miłości innej nie znam i znać nie chcę nad miłość prawdy i nauki, ta mi wystarczy...

Zdawało ci się, sądząc nas z powierzchowności, wznosząc ze swobody jaka u nas panuje, że będą dla niego łatwą zdobyczą. Mylisz się pan!

Ewaryst przerwał jej z tak gwałtownym oburzeniem, że zmusił do milczenia. Chwyił natychmiast za kapelusz i zimno ją pożegnał.

Rozstali się tak jakoś, jakby się już widzieć nie mieli. Chorażyc poprzysiął sobie, że się do niej nie zbliży. Unikał jej tak dalece, że spotrzegłszy w ulicy, zwracał się w drugą stronę, aby uniknąć spotkania.

Stała się rzecz dziwna, bo raz gdy niespodzianie zeszli się z powracającą z książkami Zonią, sama ona podeszła ku niemu i przemówiła.

— Gniewasz się pan na mnie, niesłusznie. Nie jestem tak zła jak się wam zdaje, nawet trochę serca się znajdzie we mnie... Miałeś czas sobie wyperswadować ową miłość, ale możemy być dobrymi kolegami.

Podala mu rękę, którą Ewaryst przyjął z wdzięcznością wielką. Patrzała nań szydersko, ale bez gniewu.

— Żal mi was, żeście się nie dali nawrócić ojcu, miałabym z was dobrego towarzysza, a tak...

Ruszyła ramionami.

— Ja się wam wydaję awanturnicą, a wy mnie, no, powiem po naszymu, faryzeuszem... ale bez gniewu! bez gniewu!

I nie dając Ewarystowi przyjść do słowa, pożegnała go i pobiegła w swoją drogę.

Ta odrobina serca, której dowodem było słów kilka rzuconych po drodze Ewarystowi, na nowo mu zawróciła głowę.

Walczył z sobą, tak pragnął się zbliżyć do niej, pójść, popatrzeć, posłuchać choć głosu, w którego wyrazie niby szyderskim brzmiała stłumiona boleść. Obawiał się, aby nowe widzenie się jeszcze mocniej go nie obalamuciło, nie rozmarzyło bardziej jeszcze.

Chodził smutny, męcząc się i zżymając na siebie. Przechadzka tego dnia była środkiem rozpędzającym, gwałtowny ruch czasem mu myśli wzburzone uspokajał. Tym razem nie była ona skuteczną. Zamiast ukolysać się, myśli jego rozbujały tylko i poczęły latać po świecie. Wyrzucał sobie, że się opierał tym nawym prądom, które dokoła niego biegly z taką siłą, że bliżej nie zapoznał się z tem co tę biedną Zonię zajmowało tak gorąco...

Ze spuszczoną głową siedział tak na ławce, w kącie między krzaki zasunięty, pod nim jednego z ogromnych drzew orzechowych, dzielących go od sąsiedniej ulicy, plecami do niej zwrócony, gdy usłyszał za sobą głosy i chód. Chciał się poruszyć, aby spotkania z kimkolwiek bądź uniknąć, gdy w jednym z nich poznał brzmiały mu zawsze w uszach wspomnieniem wesoły głosik Zoni, a w drugim zdało mu się, że rozeznał mowę mistrza.

Nieprzyjemne wrażenie jakie zespolenie ich czyniło na nim, nie dało się ruszyć z miejsca. Pozostał na ławce. Rozmawiający idąc poza nim i poza krzakami, zbliżali się, zatrzymali.

Słyszał jak mistrz zwolna wyrzekł.

— Tu siądźmy!

W żadnym pewno innym razie nie ważyłby się był Ewaryst podsłuchiwać, teraz serce mu biło, uczył się jak przykutym, nie chciał ruszyć. Czuł, że popełniał może występki... dobrowolnie stając się świadkiem rozmowy, która była poufną i nie dla jego uszu przeznaczoną, a nie mógł odejść. Było to nad siły jego.

— Sądźmy — odpowiadała Zonia wesoło. — Widok stąd prześliczny... wiosna, choć to dziecinna rzecz się nią rozczulać, ale zawsze robi jakieś wrażenie...

— Ha! powrót natury do życia po śnie orzeźwiająjącym — dołożył patetycznie Jewłaszewski. — Nieuniknionym to, że istoty będące częścią składową tego świata, powołanego ciepłem i światłem do odradzania się, czują każda w sobie to samo pragnienie łączenia się, grupowania, dobierania wedle instynktu...

To mówiąc, westchnął lekko.

Jest to — dodał — pora miłostek i miłości, gdy nawet suche wierzby puszczają.

Milczenie trwało chwilę, bo Zonia nie odpowiadała.

— Ja właśnie taką suchą wierzwą jestem — kończył Jewłaszewski — pod której korę spękaną i sękowatą płyną jeszcze życia soki

. i prądy. Wiosna czyni też na mnie dziwne wyzywające wrażenie. Odmładza mnie.

— Wy ojcze na duchu młodymi jesteście i młodszymi od wielu naszych młokosów — odparła Zonia.

— Nie tylko na duchu — przerwał żywo Jewłaszewski, czuję się młodym tym co pospolicie a niewłaściwie nazywają sercem, a co w istocie zmysłem jest tylko. Gdybyśmy byli w nowo zreformowanym świecie wolnego wyboru według znakomitego systemu Furiera znalazłaby się może istota, która by dla mnie poczuła sympatię, a ja dla niej.

Ewarystowi, który słuchał tych dziwnych zwierzeń poufnych ojca, zrobiło się gorąco, pięść ścisnął.

Zonia milczała.

— Tak, moja Zoniu — mówił dalej Mistrz — jest to prawem natury, że się istoty sobie pokrewne i potrzebne łączą parami, dlatego w pewnych szczególnych porach ta tęsknota, którą w naszym społeczeństwie kunsztownym, wykoszlawionym nie jest ani zrozumiana, ani uwzględniana.

To wrażenie jakie na tobie czyni wiosna jest pragnieniem zadośćuczynienia prawom natury... Chcesz kochać.

Zonia roześmiała się, lecz głos jej był jakiś przymuszony i jakby nieszczerzy.

— Mylisz się, ojcze, odparła zimno — serce moje nic nie pragnie oprócz nauki i przez nią opanowania świata. Codziennie narażoną jestem na ocieranie się o młodzież, która mi się podobać stara, żaden z nich nie obudził we mnie uczucia, są mi obojętni.

Dla was, któremu winną jestem światło, mam najwięcej poszanowania, wdzięczności, sympatii.

Mistrz chwilę milczał.

— Zoniu — zawołał — przyszła chwila, gdy ja ci własne twe, dla ciebie niezrozumiałe uczucia wytłumaczyć powinienem. Jest to prawem natury, bujna młodość ciągnie ku dopełniającej dojrzałości. Twoje serce należy mi się, bo ja tak samo sercem całym jestem twoim... Kocham się w tobie!

— Żartujesz ze mnie — odparła trochę zmieszana Zonia — moje uczucie dla was jest przywiązaniem dziecięcia, niczem więcej...

— Bo sama siebie nie znasz, bo się łudzisz — zawołał Jewłaszewski — powinnaś mnie kochać, my jesteśmy dla siebie przeznaczeni. Ja cię umyślowo wychowałem dla siebie na połowicę swej duszy...

— Ale, panie Jewłaszewski — zmienionym głosem odezwała się Zonia — ja najlepiej przecież znam siebie!! Pan żartujesz sobie! Chodźmy stąd! Chodźmy!

— Proszę zostać — dał się słyszeć drżący głos Jewłaszewskiego, który zdawał się gniewny i zrozpaczony... Twoim przeznaczeniem jest być moja, moją w całym znaczeniu tego słowa! Bądź co bądź, to się

stać musi... Ulegniesz gorącej miłości mojej, będziesz szczęśliwą i mnie uczynisz szczęśliwym...

— Dajże pan pokój i nie mów takich niedorzeczności — głośno poczęła Zonia. Wcale się z powagą nauczyciela i mistrza nie zgadza chcieć zawrócić głowę uczennicy...

Przyjmuję to jako żart, ale mi przykro, że mogłeś go się dopuścić ze mną.

Tu głos Zoni podniósł się i zaczął być coraz dobitniejszym.

— Masz mnie za dziecko? ja nim nie jestem! Znam siebie bardzo dobrze, jeżeli się zakocham w kim, o! pewnie na nic w świecie zważać nie będę i oddam mu się, nie pytając czy świat pozwoli, czy rozgrzeszy, czy mój ukochany związany czem będzie czy wolny. To prawo natury, bo to prawo serca, ale nie czując miłości, nie będąc porwaną tym szaleńcem świętym, nie dam się kupić ani mądrością, ani milionami!! nie sprzedam się ani za wieniec laurowy mojego kochanka, ani za tron, gdyby go miał.

Jewłaszewski dyszał gniewnie słyhać było mruczenie jakiegoś niewyraźnego.

W tej chwili Zonia krzyknęła głośno i zawołała: Ratujcie! — Mistrz pochwylił ją w pól i usiłował ustami dotknąć jej twarzy, dziewczę bronilo się mężnie; lecz nim potrzebowała ręce podnieść na zuchwalca, już Ewaryst skoczywszy przez krzaki, przypadł z tyłu i, za kołnierz porwawszy Mistrza, szarpnął nim tak, że się potoczył i padł na ziemię.

Zonia, która nie straciła przytomności, spojrzała na leżącego mędrca, usiłującego się podnieść tak jak czasem chrząszcze leżące na grzbiecie przewrócić się siłą, rzuciła okiem na Ewarysta i odskoczyła kilka kroków...

Wyciągnęła rękę ku niemu, odzywając się z krwią zimną.

— Odprowadzisz mnie do domu!

Nie oglądając się na podnoszącego się, nieco potłuczonego upadkiem Jewłaszewskiego, Zonia szła krokiem dosyć szybkim z ogrodu, z początku ani się nawet odzywając do Chorążycy.

Dopiero gdy się nieco oddalili, obejrzała się nań i rzekła.

— Biedny stary, musiał gdzieś za wiele wypić wina, przyszło mu niedorzeczność do głowy... Nigdy się po nim tego nie spodziewała... Wstyd mi za niego i żal... Proszę was nie mówcie o tym nikomu...

— Dla was więcej niż dla niego będą milczał — odparł Ewaryst — ale, kiedym już był tak szczęśliwy, żem w porę przybył na ratunek...

Zonia zaczęła się śmiać.

— Proszę cię, panie Ewaryście, nie wyobrażaj sobie, żeś mnie wyratował, byłabym się sama obroniła temu oszalałemu biedakowi. Kobieta, która potrzebuje obrońców!! nie warta może obrony.

W najgorszym razie — dodała — śmiało patrząc w oczy kuzynowi, mam doskonale zęby, które mi natura nie darmo dała.

Chorażyc słuchał smutny.

— Ale, moja Zofio — rzekł — lepiej by było podobno nigdy się nie narażać na to, abych ich potrzebować. Jakżeś mogła...

— Daj mi pokój! rozum potrzeba okupić doświadczeniem — rzekła Zonia. Proszę cię, jakżem ja pomyśleć nawet mogła, aby ten człowiek, dla którego rozumu i nauki mam cześć taką, który był dla mnie ojcem duchownym i inicjatorem, miał się podobnego wybryku dopuścić?...

— Mogłaś, jeśli nie przewidzieć to — odparł Ewaryst, to z samych tych teorii dziwacznych, jakie on głosił, wyciągnąć wniosek, iż go żadne prawo nasze społeczne, ani religijne kępować nie będzie.

— Ale powinien go być zdrowy rozum wstrzymać od narzucania mi się z uczuciem, którego ja przecież podzielać nie mogę! — odparła Zonia.

— Myślisz, że rozsądek ma jaką władzę nad uczuciami? — rzekł Ewaryst. — Powinien ją mieć, lecz one przeciwko niemu nieustannie zwycięski bunt podnoszą.

Szli chwilę w milczeniu.

— Biedny stary — odezwała się Zonia — żal mi go... będzie mi go brakło!

— Spodziewam się, że się nam więcej nie pokaże, dodał Chorażyc, i że wy go nie będziecie widywać.

— Nie wiem, odparła Zonia, jeżeli się wytrzeźwi!

Ruszyła ramionami.

— Nie dasz ci to do myślenia, dołożył Chorażyc — że teorie, które do takiej praktyki doprowadzają, niewiele warte być muszą. Zoni oczy zabłyśły.

— Jesteś niesprawiedliwym — zawołała gorąco — chwila szału i słabości nie ma nic wspólnego z teoriami. Zwierzę odezwało się na chwilę w mądrym, mamże dlatego pogardzić mądrością?

— A cóż warta mądrość, która nie umie zapanować nad człowiekiem co ją wyznaje? — dodał Ewaryst.

— Do wypadku tego przywiązujesz zbytnią wagę — spokojnie odpowiedziało dziewczę. — Mnie on pewnie z raz wytkniętej nie sprowadzi drogi...

Chorażyc spuścił głowę smutnie.

— Wiem, wy się litujecie w duszy nad obłąkaną — dodała — a ja zupełnie tak samo nad tobą, co mi się wydajesz na śmierć duchową wyznaczonym, na życie automatu, któremu za sznurki służyć będą stare przesady, konwencje, przerdzewiałe prawa i strupieszale fanatyzmy...

Z nas dwojga ja jeszcze jestem szczęśliwszą, żyję życiem, gdy ty będziesz się żywił śmiercią...

No, ale dla tego, ty mniemany mój wybawco ze szpon uwodziciela, nie gniewaj się na oszalałą swą, nazwijmy siostrę, ja ci sprzyjam o tyle, o ile moje serce może komu sprzyjać. Mam trochę siabości dla ciebie, może rodzącej się z tego, że mi cię serdecznie żal...

Z uśmiechem wdzięcznym zwróciła się ku niemu. Ewaryst zbyt gorąco pochwyił całować jej rączkę.

— O! bardzo proszę, nie naśladować Jewłaszewskiego, zimno, po koleżeńsku się roztańmy... Sympatii mojej nie tłumacz pan sobie inaczej, tylko swym kalectwem!

Roześmiała się.

Byli już w uliczce bliskiej domu Agafii Saſhanowej, Ewaryst doprowadził ją tylko do miejsca, z którego domostwo widać było, ścisnął jej rękę i poszedł.

Wypadek ten dziwny, a więcej jeszcze rozmowa w drodze z Zonią, przykro mu serce ścisnęły.

Roztawszy się z nim, dziewczę żwawym krokiem wprost pobiegło do dworku, w którego oknie otwartym na ulicę siedziała z papierosem w ustach pani Heldiora.

Przywitały się poruszeniem głów i uśmiechem.

— Chodź no do mnie Heldusiu, coś ci mam świetnego do powiedzenia — zawołała Zonia.

Chwilę potem spotkały się w progu pokoju Zoni, która za wchodzącą drzwi zamknęła.

— Miałam awanturę — żywo poczęło dziewczę, zrzucając z głowy kapelusik tyrolski z piórkami.

— Awanturę! ty! a tom ciekawa — rzekła mrużąc oczy i puszczając dym kłębami wdowa.

— Poszliśmy do ogrodu z ojcem, rozmawiając sobie o tym i owym — ciągnęła Zonia dalej — pod orzechami na ławce, skąd widok bardzo piękny, siadłam z nim. Stary wydał mi się jakiś dziwny, podrażniony, niespokojny. Ni z tego ni z owego, mówiąc o naturze, wtrącił o miłości, dalej o wielkiej dla mnie sympatii, potem już że się kocha szalenie, a gdym się z niego śmiała i perswadowała mu, pochwyił mnie w pół całować. A! tego już nadto! Szarpnęłam się mu z krzykiem z rąk. Licho tam przyniosło na mój głos Dorohuba, a ten jak go chwycił za kark...

Heliodorze papieros wypadł z ust, załamała ręce, namarszczyła brwi, twarz jej dziwacznie się wykrzywiła i przybrała wyraz groźny.

— Miałaś czego bo krzyżeć — zawołała — i czego się tak opieierać?

— Jak to! — przerwała Zonia.

— No, cóż! zjadłby cię był pocałowawszy! — krzyknęła gniewnie gospodyni. Prawdziwie nie rozumiem cię! Byłam pewną, widząc jak się z ojcem obchodzisz, że go rozumiesz, oddawna, widocznie miał pasję do ciebie. Okazywałaś mu się życzliwszą, cóż było naturalniejszego nad to by myśleć, że się z sobą porozumiecie...

— Heldusiu! — zaśmiała się Zonia — co tobie? Przypatrzyłaś ty mu się kiedy?

— Ja go tak brzydkim nie znajduję — odparła gospodyni — rozum i natchnienie opromieniają go.

— Bierz że go sobie z jego rozumem i natchnieniem — zawołała Zonia — bo ja go nie chcę.

— Tak, myślisz sobie wybrać jakiego młokosa, który cię skompromituje i uczyni nieszczęśliwą — mówiła Heliodora ciągle z gniewem.

— Ja nie myślę jeszcze o żadnym — śmiejąc się wtrąciła Zonia — daj mi spokój.

— Ty nie myślisz dziś, ale to darmo, natura się o swe prawa upomina — przerwała wdowa, dobywając już cygaretkę. — Z nim byłabyś szczęśliwą, a z drugim napytasz łez... Ale — dodała z poruszeniem ramion — co mi do tego, jak sobie kto pościele, tak się wyśpi. Przykro mi tylko będzie, jeżeli do nas Jewłaszewski z twojej przyczyny chodzić przestanie.

— I datego, abyś ty go nie straciła ja miałam paść ofiarą? — zapytała gwałtownie Zonia — Heldusiu!

— Ofiarą! ofiarą! — szepnęła wdowa — tą ofiarą padniesz sama, nie wiedząc kiedy i jak, jak my wszystkie... i nie będziesz z niej miała nawet tej pociechy, żeby się pochwalić takim człowiekiem jak Jewłaszewski...

— Moja Heldusiu — odezwała się Zonia — słuchaj, ja mam w tym inne wyobrażenia i zasady. Żal ci Jewłaszewskiego? zawadzam ci w domu? No, to mów, jutro się wybiorę ztąd?

— Co ci to w głowie — rzucając się ku niej i obejmując ją rękami z nagłą czułością wielką, zawołała pani Heliodora. — Jesteś jak siarka! wnet buchasz płomieniem... Cóż ja bym poradziła bez ciebie, ja co cię tak kocham! niewdzięcznico!

Po uścisku tym, puściła dym wdówka i ciszej dodała.

— Słuchaj no, spodziewam się, żeś Doruhubowi o tym mówić zakazała? Nie róbże z tego wielkich rzeczy, jak w tym, że my Jewłaszewskiego zagodzimy, i będzie po staremu!

No, cóż wielkiego? co osobliwego? zachciało mu się całusa ładnej dziewczyny! Ludzka rzecz! Kto by mu to tam za złe miał! Żeby ode mnie chciał pocałunku, dodała ze śmiechem, nie byłabym mu go pożałowała! E! dzieciństwo!!

Na tym skończyła się rozmowa.

Przez kilka tygodni Ewaryst nie spotykał się z kuzynką, nie słyszał nic o niej, nie miał kogo nawet zapytać.

Jewłaszewskiego, o którym myślał, że powinien być nazajutrz po wypadku w ogrodzie miasto opuścić, zobaczył parę razy z daleka, nic a nic niezmiennym i w taką przyodzianego powagę jak zawsze.

Przychodziło mu do głowy, że go wyzwąć może, ale nikt się nie zgłosił.

Jednego dnia na Kreszczatyku idąc ulicą, Chorążyc nie uważał dobrze na przechodzących około siebie, gdy poczuł, że go ktoś z lekka za rękę pochwycił. Ulica była prawie pustą, przed nim stał Jewłaszewski.

— Słoweczko — odezwał się cichym głosem. Znalazłeś się pan gorączkowo w pewnym wypadku — począł Mistrz, nie zrozumiawszy co się działo... bo była próba temperamentu. Studium! rzecz w świecie najniewinniejsza!

Mówił serio, Chorążyc chciał mu przerwać, ale nie dopuścił go do słowa Jewłaszewski.

— Omyłki tej, zresztą zupełnie wytłumaczonej, ja panu bynajmniej nie mam za złe... — kończył Mistrz — pozory były przeciwko mnie, gorąca krew tłumaczy pana. Rzecz uważam za skończoną. Nauka życia jak inne wymaga ofiar, ja i z siebie je chętnie składam na jej ołtarzu. Wszakże, spodziewam się, że pan będziesz dyskretnym.

— Słuchaj pan — odparł Ewaryst lekceważąco — jak i co było, w to nie wchodzi, zapytaj pan swojego sumienia, jeżeli teorie pańskie dają mu jaką władzę i kompetencję, nie zamilczałbym może o tym dla niego, ale dla panny Zofii muszę.

Chciał odejść, gdy Jewłaszewski go za rękę przytrzymał.

— Niechże pan wie o tym — dodał — że rzecz między nami została wyjaśnioną, że rozumna niewiasta wytłumaczyła sobie próbę, na jaką ją wystawiłem w interesie nauki...

Chorażyc śmiać się zaczął pogardliwie.

— Czytałeś pan Tartufa? — zapytał — pokazuje się, że i nauka ma swych Tartufów!

— Żegnam pana!!

I poszedł.

Milczenie było mu nakazanem przez Zonię i w jej interesie zachował więc je święcie, unikając wszelkiego zetknięcia się z tym ojcem, dla którego miał największą pogardę.

Wypadek w ogrodzie, o którym tylko Zonia, jej przyjaciółka i on wiedział, został tym lepiej ukrytym dla wszystkich, że Jewłaszewski nie przestał wcale uczęszczać na wieczory do pani Heliodory, a na nich okazywać dla pięknej Zoni tego samego co dawniej ojcowskiego afektu i uwielbień.

Co do niej była może trochę zimniejsza dla Mistrza, lecz nie przestała ulegać urokowi jego słowa, pociągał ją ku sobie ową mniemaną mądrością swoją, zlepkiem najrozmaitszych zrzyneków i kawałków szychu, z którymi się popisywać umiał wcale zręcznie.

Unikał on ludzi, którzy by z nim ściślejszą, logiczną poprowadzić mogli dyskusję, a młodzieży starczyły błyskotki, jakimi ich oślepił.

Nadspodziewanie wszystko zostało w tym stanie jak było, a przynajmniej oczy obcych różnicy dostrzec nie mogły; nie miały powodu domyślać się niczego.

We dwa dni po spotkaniu w ogrodzie Jewłaszewski wybrawszy godzinę, w której był pewnym, że się z Zonią nie spotka, przyszedł do oczekującej na niego wdowy.

Agafię Sałhańową, zawsze natrętnie pragnącą wtrącić się do każdej rozmowy, wyprawiono pod jakimś pozorem.

— Wiesz moja dobrodziejko co się stało? — zagadał Mistrz po wyjściu staruszki.

— A wiem! to głupi dzieciak, z tej Zoni! — poczęła gorąco wdowa. — Ale bo pozwól, ojczulku, powiedzieć, pośpieszyłeś się. Nie radziłeś się mnie, mówiłam ciągle, czekaj, aż ja ją przygotuję... Otóż masz skutek niecierpliwości.

— Cóż pani chcesz, moja droga — obie ręce wyciągając przed siebie i ściągając ramiona rzekł Jewłaszewski. — Pasja, namiętność! Ja mówiłem sto razy, musi być jakiś koniec... Była ze mną jak najlepiej, brałem ją za ręce, obejmowałem, pochylała się na moje ramiona, głowa mi się zawróciła, oszalałem!

Pani Heliodora słuchając rumieniła się nie wiadomo z jakiego powodu, że nie ze wstydu, to pewna.

— Mówiłam wam, ojczulku — odezwała się — mówiłam sto razy, cierpliwości, będziesz ją miał. Dziewczę żadnych głupich przesądów już nie ma, ale mi ją trzeba było dać przygotować... E!! popsuliście sprawę!

— Trzeba naprawić! — odezwał się zbliżając do wdowy Jewłaszewski. — Mów pani, perswaduj! Jak tam będziesz uważała. Wy kobiety w tych sprawach jesteście mądrzejsze od nas.

— Ja to w części połamam — odpowiedziała Heliodora. Ona się nie gniewa już, ale co dalej? Zdradziłeś się.

— Co dalej? — gwałtownie zawołał Jewłaszewski — sierota! bez funduszu... bez opieki. Cóż ona chce? może lepiej wyjść za mnie?

— Ależ ty się z nią nie możesz ożenić! — przerwała wdowa.

— Dlaczego? dlaczego? — wtrącił żywo Mistrz — dlatego, że byłem niegdyś żonaty? Ale nie jestem! nie jestem! Ho było wariackie ożenienie w wieku takim, gdy człek rozumu nie ma za grosz. Pani nie wiesz? To była prosta dziewczyna, Kozaczka, tyle tylko, że bardzo piękna. No i cóż? Porzuciłem ja ją i ona mnie, przepadła bez wieści! wiele lat temu? piętnaście! Na świecie jej nie ma, bo by się zgłosiła przecie, choć dla kawałka chleba. I jaki to tam był ślub, w małej wiejskiej cerkiewce, prawie bez świadków, bez metryki. Nie miałem naówczas dwudziestu lat!!

Jewłaszewski chodził prędko po pokoju, rozgorączkowany się.

— Więc cóż ma stać na przeszkodzie ożenieniu? nic, nic. A już kiedy inaczej nie można i kiedy ona tam będzie tych form wy magała, no, to się ożenie...

Wdowa patrzała, słuchała, paliła papierosa i kręciła ustami dziwacznie.

— Ty wiesz, ojczulku — rzekła — że ja, twoja wielbicielka, uczyniłabym dla ciebie co tylko w mej mocy. Wszakże ja ją nie dlatego wzięłam tu do siebie, tylko aby ci ją dać. A no, trudno! strasznie samowolna i uparta. Myślałam, że jej zawrócisz głowę, że padnie przed tobą plackiem.

Alboż nie opanowałem jej ducha? odezwał się Mistrz.

Paramińska ręką machnęła.

— Co to za panowanie! — rzekła. — Teraz kiedy znowu zgoda nastanie, trzeba podwoić upajającego trunku waszej mądrości.

Rozśmiała się wdówka i dorzuciła.

— Kiedy nie może się zakochać w twarzy, niech się w geniuszu zakocha. Alboż to takich nie było przykładów?

Jewłaszewski stał jakoś zadumany i jakby wąpiący o sobie.

— Tylko mi pani pomagaj, jakoś tego dokonamy. Rzuć myśl ożenienia, przecież to... coś znaczy nosić imię moje i dzielić losy...

Ostatnie wyrazy, które się nieco dumnymi wydawać mogły, były w oczach wdowy całkiem usprawiedliwione.

Jewłaszewski w istocie miał wpływ i znaczenie ogromne, młodzież cała przepadała za nim i szła pod jego dwuznacznym wielce, bo nie wiedzieć dokąd mającym prowadzić sztandarem... Sława tego znakomitego człowieka rozchodziła się przez adeptów po prowincjach, oprócz tego do wzrostu jej przyczyniały się rzadko, ostroż-

nie, ale dosyć zręcznie rzucał w piśmach zbiorowych artykuły i broszury, które Jewłaszewski pod jakimś przezroczystym pseudonimem wydawał.

Jako pisarz dał dowody przedziwnego instynktu, obierając sobie formę, która pozwalała mu z myśli pokazywać różki, końce, strzępki, kawałki, nie zmuszając do rozwinięcia ich w pewnym ciągu logicznym, w pewnej całości jawnej.

Jewłaszewski udawał humorystę i dobrze mu z tym było. Humor ma swoje prawa, najprzód wydrapuje się na pewną wyżynę pozorną, z której wygodnie jest sarkać, nie dając się pochwycić, powtóre posługuje się fantazją, pozwalającą omijać miejsca, których się przebrnąć nie spodziewa, na ostatek chwytając co popadnie i sieka na bigos najkosztowniejsze składniki z najbrudniejszym śmieciem, i to mu uchodzi.

Za filozofem humorystą kazał się Jewłaszewski dorozumiewać niezmiernie głębokiego myśliciela.

Co przyznać mu potrzeba, mimo wszystkich jego wad i ułomności, był w dobrej wierze. Zdawało mu się, że to co czynił istotnie wiodło do wielkiego celu i że on do tej roboty powołany był i stworzony.

Przekonania jego były tak głębokie, iżby się był za nie cierpieć nie wahał.

Gwałtowna miłość dla uczennicy była w nim słabością, którą on sam oplakiwał, lecz tak upartą, że go zmogła. Czuł, że ona mu szkodzić musiała, że do pewnego stopnia poniżała go, dręczył się, lecz nie mógł zwyciężyć.

Wpływ Jewłaszewskiego, o którym mówiliśmy, był tak wielki, iż gdy został zmuszonym użyć go przeciwko Chorążycowi Ewarystowi, natychmiast się to uczuć dało. Potrzebował się go pozbyć, odosobnić go, zmusić, aby się przeniósł gdzie indziej.

Nie było innego środka, czuł w nim nieubłagane nieprzyjaciela...

Wieczorami kółko adeptów, jeżeli się nie zbierało u pani Heliodory lub u którego ze studentów, najczęściej się ściągało do mistrza.

Jewłaszewski zamieszkiwał w jednym z naówczas dosyć jeszcze rzadkich domów murowanych na głównej ulicy, na drugim piętrze, ciasno, ubogo, skromnie.

Wchodziło w jego program życie jak najbardziej do ludowego zbliżone, więc i przyjęcia były nadzwyczaj proste, a herbata, wódka, ser, słonina, nawet ogórki kwaśne, stanowiły zwykłą przekąskę. Młodzież się schodziła jak kto stał, niektórzy w koszulach włożonych po burłacku, bo i Jewłaszewski w domu zwykle strój ten nosił...

Dwa pokoje z przedpokoikiem stanowiły całe mieszkanie, w którym stały od siekiery, stolki drewniane, sprzęt chat wieśniaczych, umyślnie był na okaz wystawiony.

Mnóstwo książek porzucanych najdziwaczej, bez najmniej-

szego starania o zachowanie ich, stanowiły cechę domu. Na stole, na półkach, na ziemi, na sofie, na kształt tureckiej, walały się powtykane, pozakładane, porozplaszczane dzieła w najrozmaitszych językach, w najróżniejszych przedmiotach, zdające się posługiwać do jakiejś przedsięwziętej pracy.

Siadano na nich, deptano je, zrzucano łokciami, nikt, a gospodarz sam jak najmniej się o nie troszczył.

Trochę śmiesznie wśród nich wydawała się gitara, ulubiony instrument Jewłaszewskiego, towarzyszący mu do piosenek małosyrskich, które wyśpiewywał lubił i uchodził w nich za mistrza. Był chlubny z tego talentu, ale się popisował z nim rzadko w chwilach natchnienia, które mu niekiedy przychodziły tak niespodzianie jak inne fantazje jego.

Całą służbę Mistrza stanowił jakiś Wańka, wyrostek, który z panem był za pan brat (i to należało do programu). Jewłaszewski utrzymywał, że wychowaniu jego mnogie poświęcał godziny i miał z niego zrobić człowieka co się zowie. Tymczasem był Wańka co się zowie łobuzem i urwisem. Sławnie już pił wódkę, ale w tym Jewłaszewski też celował i bez niej żyć nie mógł.

Gdy mistrz ów a raczej Bał'ko, bo go tak zwano, w domu się znajdował i z ulicy widać było, że się w oknach świeciło, wchodził do niego kto chciał. W kominie stał wiekuiście kipiący samowar, podawano herbatę, palił każdy co chciał i co z sobą przyniósł, a zakąsywano chlebem, słoniną, ogórkami, rybą jaką lub niewykwintnymi owocami.

Najczęściej przybywający nie zdejmował czapki, a gdy miejsca były pozajmowane, siał na stole lub na ziemi. Witanie się z gospodarzem nie było obowiązującym.

Jewłaszewski w koszuli legiwał na sofie, otoczony książkami, u boku mając na zawołanie gitarę, wśród gości kręcił się Wańka na stopie zupełnej równości, mieszając do rozmowy, gdy mu się podobało. Brano go też za uszy, gdy się to komu podobało.

Nieograniczona swoboda panowała na tych wieczorach, w ciągu których goście się zmieniali i przedmioty rozmowy, Jewłaszewski umiał tak zawsze występować ze słowem, że wywierał wrażenie. Gdy mu to nie było na rękę, milczał i nikt nie był w stanie go na słowo wyciągnąć, gdy nie chciał mówić — śpiewał...

W dniach, gdy mu starzy przyprowadzili nieznanych, młodych adeptów, występowanie gospodarza było więcej na wrażenie obrachowane, staranniejsze; nigdy jednak zupełnie przyjęte formy się nie zmieniały.

Spierano się często o idee, ale trafiało się mówić i o ludziach; kółko Jewłaszewskiego było dosyć szerokie i liczne, nie obejmowało jednak wszystkiej młodzieży. Stały poza nim i jednostki odosobnione i inne choć pomniejsze kółka i kółeczka.

Po wypadku w ogrodzie, jednego dnia trafiło się coś mówić

o profanach, ktoś wspomniała o Dorohubie jako o uczniu, który do śmieszności pilność swą posuwał, nie opuszczał żadnej prelekcji, przychodził zawczasu, pisał zapalczywie, wyśmiewano się też z pedanta...

— Gadajcie sobie co chcecie — rzekł niejaki Zyżyński — zawsze taka pracowitość dowodziła małego umysłu, niewielkiej zdolności i trwożliwego ducha...

— A dobrześ go scharakteryzował — odezwał się brzdąkając po gitarze Jewłaszewski — ale niekompletnie. O! ho! jest tam coś więcej!

Czekano, aby wyjawiał tę tajemnicę, ale zaczął podśpiewywać piosenkę i urwał. Siadł przy nim Zyżyński.

— Co więcej? — zapytał.

— Ciekawys! — dodał patrząc na gitarę gospodarza... — hm! To, ptasio! Ty wiesz, co znaczy ptasio? A po co on tak pragnął się wśliznąć i podpatrzeć nasze zebranie u Heldusi? A jak to on słucha pilnie... Kto by powiedział, że ma misję nastawiać uszy — i (do końca ciszej) — i chodzić z językiem.

Tu brzdąknął z całych* sił po strunach jakby własne słowa chciał zagłuszyć...

I zaczął śpiewać, a gdy śpiewał, słuchano w skupieniu ducha, i nikt nie śmiał mu przerywać. — Zyżyński siedział w swym miejscu, aż mistrz skończył dumkę.

— Powiedz ty mnie — szepnął — myślisz, że on chodzi z językiem.

Jewłaszewski tylko głową kiwnął. Nazajutrz nawet w innych już kółkach, nie będących w związku z Mistrzem i jego uczniami, koso spoglądano na pana Ewarysta.

Nie spostrzegł tego rychło, bo w ogóle do zbytku może był bojaźliwym w zawiązywaniu znajomości i robieniu stosunków. Symptomata nieufności jednakże rosły z dniem każdym. Zwolna najlepsi pod wpływem jakichś głuchych wieści zaczęli ostygają, odsuwać się, unikać.

Chorażyc poczuł wreszcie otaczający go chłód, domyślił się może skąd nim wiało, ale wcale go to nie zdawało się obchodzić.

Samotność nie dolegała mu zbyt w początku, lecz gdy, trochę nią znudzony, usiłował z niej wyjść, zaczął się niecierpliwie dostzegając, że młodzież stawiała mu się więcej niż obojętnie, bo pogardliwie.

Żądać tłumaczenia nie chciał, nadto był dumnym, wiedział, że powinien to przypisywać wpływowi Jewłaszewskiego i może by mu z placu ustąpił, gdzie indziej się przenosząc, gdyby nie Zonia. Nie chciał i lękał się ją tak opuścić.

Widywał ją rzadko, bo do pani Heliodyry nie chodził, spotykali się czasem w ulicach, była dlań dosyć uprzejmą, spoufalenie z nim braterskie rosło, ale nic więcej. Ewarysta też miłość nie ostygając

weszła, mówiąc językiem kolegów jego medyków, w stadium chroniczne. Było to uczucie bez nadziei, a uparte. Zdawało mu się, że czując dla niej przywiązanie ma zarazem obowiązek, choć z daleka czuwać nad nią.

Wypadek w ogrodzie był jakby wskazówką dlań, że los go jej na obrońcę przeznaczał. Więc choć położenie coraz się stawało przykrzejszym, bo łatwiej jest znieść osamotnienie zupełne niż samotność wśród tłumu, postanowił wytrwać na stanowisku. Zdała patrzeć nań niepodobna było nie ucuć szacunku i sympatii dla człowieka, który szedł tak śmiało swoją drogą, z podniesionym czołem, nie dając się podrażnić i nie chcąc wiedzieć ani słyszeć co go otaczało, oddany jedynie pracy. Widząc się wszędzie prawie odepchniętym, Ewaryst skończył na tym, że się usunął powoli od towarzystwa, które mu najmiłszym było. Zamykał się w swym mieszkaniu, chodził na lekcje, odbywał przechadzki w tę stronę, gdzie się najmniej ludzi spotykać spodziewał, w ulicach unikał zaczepek i stykania się z dawnymi przyjaciółmi, którzy teraz dla niego ostygli i, z czystym sumieniem a dumą jego, z trochę smutku w duszy, został tak na uboczu, nie dając nawet nieprzyjaciołom tej pociechy, by go widzieli cierpiącym.

Musiało to obruszać Jewłaszewskiego i jego towarzyszków; spodziewali się bowiem, że zmuszą Chorążycza do zmiany miejsca pobytu, do wyniesienia się ze studiami gdzieś indziej. Mistrz spostrzegłszy, że mu się nie udało nieprzyjaciela odpędzić, chodził zaszępiony.

Widok tego świadka sceny dla niego boleśnie pamiętnej, nie dawał Jewłaszewskiemu spoczynku, nie mógł nań patrzeć. Gniewało go i to, że kilka razy mówiąc o nim z Zonią i starając się przed nią go spotwarzyć przekonał się, iż tego nie dokaże — brała go żywo w obronę.

— Niech ojciec mówi co chce o jego zacofaniu i ślepcie, na to się zgodzę, że biedak obalamucony jest wychowaniem i że daleko nie zajdzie, wszystko to prawdą być może, ale złym on nie jest i natura a serce pocziwe...

— Z jego faryzeuszowskimi pryncypiami — odparł mistrz — nawet pocziwym być nie można. Tak! prędzej, później, zasiane ziarno fałszu kiełkować musi i zagłuszy nawet dobre popędy. Ja go nie cierpię i ostrzegam. — Zonia, nie wiedząc jak ten wstręt ma sobie tłumaczyć, milczała, uśmiechała się, nie sprzeciwiała.

Jewłaszewski rad był, że się przynajmniej z nim spotykać nie potrzebował.

Na list Madzi, Zonia, jak była przyrzekła, odpowiedziała i odpowiedź niezapiecztowaną oddała Ewarystowi.

— Sama nie wiem co tam popisałam — powiedziała mu, wręczając ją... — Nienawidzę ludzi grzecznych, bo grzeczność prowadzi do fałszu, nie lubię być grzeczną dla nikogo, ale znowu daremnej

przykrości siostrze bym zrobić nie chciała. Pan znasz lepiej jak tam do niej pisać by potrzeba, przeczytaj mój list, jeżeli znośny, to go odeszlij, jeżeli nie do rzeczy to spal — ale ja już innego nie napiszę...

Ewaryst według rozkazu postąpił i list przeczytał. Był on zimny, mało mówiący, ale nie zawierał w sobie rażącego nic. Nie wyzywał do ściślejszych stosunków. Ewaryst postanowił go wysłać, aby złudzenie poczciwej Madzi rozproszyć.

Po odpowiedzi tej długie nastąpiło milczenie, domyślał się Chorażyc, jak ona przykre musiała uczynić wrażenie i że Madzia łzami ją może oblała...

Nie napisała już rychło, zrażona, odepchnięta, ale w kilkanaście tygodni przy korespondencji z domu odebrał znowu list do Zoni...

Nie chciał z nim iść do jej mieszkania, nie wiedział jak go odeślać, i choć zwykle z lekcji wprost szedł do domu, tego dnia zatrzymał się, oczekując na wyjście Zoni, o której wiedział, że była w sali na odcytcie.

Nie rychło ukazało się dziewczę, jak zawsze otoczone rojem młodzieży, wśród którego wyglądała jak królowa ze swym dworem. Kochali się w niej niemal wszyscy, a ta śmiała i ekscentryczna dziewczyna zawracała głowy szalenie i robiła prozelitów, jakimi najwymowniejszy mędrzec nie mógł się być pochłubić. Nie ma niebezpieczniejszych apostołów nad kobiety. W ich ustach prawda nabiera blasku, a fałsz traci swą potworność. Kunszt uwodzenia nawet bez świadomości jest im wrodzonym. Cóż, gdy do wdzięku, do uroku młodości przyłączy się talent, dowcip, umiejętność słowa i zapał, który jest żywiołem zaraźliwym?

Tego dnia Zonia z wesołą twarzą wychodziła z lekcji, a rozmowa głośnie, rozpoczęta w progu sali, przedłużała się w ulicy. Młodzież wyzywała ją na słowo, rada głos jej posłyszeć. Ewaryst stojący z daleka nie chciał się połączyć z tym dworem Zoni, przypatrywał mu się tylko, mając zamiar pójść za nią i zbliżyć się, gdy pozostanie sama.

Ona nie spostrzegła go nawet i, swobodną wiodąc rozmowę dalej, szła, za sobą prowadząc cały szereg wielbicieli. Znał ich wszystkich Ewaryst, z zazdrością zakochanego prawie mimowolnie ją szpiegował, ale dotąd żadnego szczególnego znaku sympatii dla nikogo nie dopatrył.

Najgłośniejszymi wielbicielami Zoni byli: najprzód sam mistrz, który ją wynosił pod niebiosa i za przykład stawiał kobietom, potem Zyżycki, chłopak gorącego temperamentu, niewielkich zdolności i powierzchowności nie pociągającej. Miał w sobie coś gburowatego, wyglądał na parobka, a niskie czoło szerokie, z oczyma małymi, głęboko pod nim osadzonymi, wyraz przykry nadawało jego fizjonomii wyzywającej i szermierskiej.

Prześladowano Zyżyckiego miłością dla Zoni, której on się nie

wypierał, ona wiedziała o niej i śmiała się tylko, nie groziło jej z tej strony żadne niebezpieczeństwo.

Daleko więcej niepokoił Ewarysta młody świeżo jak się zdawało, nawrócony, jak dziewczę piękny, delikatny, co chwila rumieniejący się kolega, Zorian Szeliga. Był to chłopak majątny, jedynak u rodziców, wypieszczony dziecią matki, rozwinięte przedwcześnie, rozgorączkowane już do życia i upojone pierwszymi jego kielichami.

Z domu, w którym czuwano nad nim troskliwie, Zorian, puszczony nagle na swobodę bujał jak młody żreback, który się wyrwał ze stajenki.

Bardzo piękna, biała twarzyczka, z której jeszcze dziecinną świeżość nie zeszała, otoczona włosami kruczymi, oczy czarne wyrziste, usta kobiecym namaszczone wdziękiem, postawa mająca w sobie także jakiś niewieści urok i coś pieszczotliwego, czyniły Zoriana ulubieńcem wszystkich pań i panienek. Heliodora zwała go Antinousem i okazywała mu może do zbytku posuniętą życzliwość.

Z pierwszego wejrzenia, od jednej rozmowy z Zonią, Zorian się w niej zakochał — po dziecinnemu, szalenie. Nie krył się z tym, był jej natrętnym. Z początku i z niego się śmiała. Jewłaszewski zażądał, aby użyła całej przewagi jaką nad nim miała dla pozyskania go gronu, któremu przodował. Chciano mieć bogatego Zoriana, bo grosz, nawet w propagandzie naukowej, jak w każdej innej, bywa potrzebnym, a nie miano go wiele.

Zoni udało się nie tylko nawrócić ładne chłopię, ale z niego uczynić niewolnika. Ewaryst wiedział o tym po troszę, lecz po raz pierwszy teraz, przy wychodzeniu z lekcji spostrzegł z podziwieniem jakieś spoufalenie Zoni z tym wielbicielem, porozumiewanie się oczyma, obejście się tak prawie serdeczne, iż krew mu od serca uderzyła do głowy.

Instynkt wskazywał w Zorianie — już nie przyjaciela pięknej dziewczyny, ale jej kochanka; Zorian zajmował przy niej miejsce pierwsze, o które nikt z nim nawet się spierać nie ważył, zdawał się nie już słuchać jej, ale jakby trochę jej swą wolę narzucać, której się ona nie sprzeciwiała.

Dotknęło go to tak, że o liście Madzi zapomniał i z sercem zbolełym powłókł się zwolna, niewidziany, za Zonią. Młodzież, która ją otaczała powoli rozchodzić się zaczęła, gromadka zmniejszyła się, nareszcie pozostał tylko Zorian i ona. Idąc rozmawiali pochyleni ku sobie, jakby zapomniawszy się, że ludzie na nich patrzeć mogą, Szeliga ujął ją pod rękę, nie sprzeciwiała mu się. Zdumiony co raz mocniej Ewaryst spostrzegł, że para ta zamiast iść wprost do dworku Sałhanowej, udała się najswobodniej do mieszkania Zoriana, który piękny lokal zajmował dość opodal od pani Heliodory.

Gdy już mieli wchodzić razem, Chorążyc w progę widząc ich, spodziewał się jeszcze, że Zonia się zatrzyma lub zawróci; lecz dziewczę śmiało, nie przerywając rozmowy, w której oboje byli

zatopieni, znikło we drzwiach kamienicy. Jak skamieniały Ewaryst pozostał w miejscu, rozpacz go ogarnęła. Nie wiedział — jak długo tu stał, upłynęło może pół godziny, nim znowu Zorian i ona wyszli, zajęci sobą i skierowali się ku domowi Agafii Sałhanowej.

Dnia tego już listu Madzi nie mógł oddać siostrze, powlókł się do domu.

Nazajutrz ku wieczorowi Zonia chodziła po swoim pokoiku w dziwnym jakimś usposobieniu: twarzyczka jej, zawsze dosyć wesoła i odbijająca łatwo najmniejsze wrażenie, była nie zwyczajnie rozpromienioną i uśmiechniętą szczęściem jakimś.

Chodziła, oburącz podzuczając gęste swe włosy, bawiąc się nimi, czasem stając przed małym zwierciadłem i sama uśmiechając do siebie.

Roztwarta książka leżała niedbale rzucona na stoliku. Kilka razy dziewczę próbowało ją wziąć w rękę, chciało się zmusić do czytania i rzucało z niecierpliwością.

Stawała zadumana, płynąc gdzieś myślami w te światy marzeń, z których na ziemię do najpiękniejszych rzeczywistości powracać tak trudno...

Nie widać było najmniejszej troski na jej twarzy, lecz jakby szczęścia rozpamiętywanie... Chodziła po ubogiej izdebce, zwycięska, szczęśliwa, pani siebie.

Gdy w korzytarzku kroki się słyszeć dały, znać było, że ten natręt, co jej miał myśli przerwać złote, gniew w niej obudził. Z niechęcią i wyrazem nadasania poszła przedko do drzwi, jakby precz chciała odpędzić tego, co śmiał stawać między nią a jej marzeniem. Nie pojmowała zuchwalca, co w chwili uroczystej takiego wniebowzięcia zamąć się ważył jej sen szczęśliwy.

Otworzyła drzwi gwałtownie i ujrzała w nich stojącego Ewarysta. Chłopak miał postawę tak biedną, pokorną, smutną, iż ją nią rozbroił.

Nie miała okrucieństwa go dobijać.

— A! to wy! — zawołała — to wy! Proszę!

— Spodziewałaś się kogo innego! — odezwał się Chorążyc.

— Nikogo — odparło dziewczę, obracając się ku niemu z powracającym gniewem. — Kogóż myślicie?

— Nie wiem — rzekł Ewaryst.

To „nie wiem“ powiedział tak jakoś, jak gdyby chciał nie wiedzieć o nikim, a musiał się kogoś domyślać.

Zonia patrzyła nań podejrzliwie. było to złym znakiem, czuła się — winną...

— Mam list od Madzi — odezwał się Ewaryst, dobywając go — dla tegoś się przyjąć tu ośmielił.

— A! list znowu od Madzi! — zawołała, rączkę wyciągając i chwytając go Zonia. Chorążyc miał czas w tym ruchu jej żywym dostrzec, że na palcu miała pierścionek, ona, co nigdy żadnych nie

nosiła. Był to złoty wąż, którego głowę stanowił duży brylant. Zonia domyśliła się, że pierścień mógł być dostrzeżony i żywo odwróciła świecącą głowę jego do dłoni. Był to drugi zły znak, lecz czyż ich Ewarystowi już więcej potrzeba było?

Z samej twarzy dziewczęcia mógł wyczytać, że w sercu zaszła zmiana. Była to jakby inna istota, jak alabastrowe naczynie, w którym teraz gorejące światło przeświecało je całe.

Nigdy tak bardzo kobietą nie wydała się Chorążycowi, dawniej było w niej coś dziecięcego, chłopięcego, studenckiego, teraz czuło było rozbudzoną do życia niewiastę. Różnicy między Zonią dawniejszą a nową nie każdy by dostrzegł może, chociaż była ogromną, stanowiły ją jakby nowe wlane siły, jakby jakieś poczucie własnej doli i świadomości losu. Śmielszą była niż kiedykolwiek, wdzięczniejszą niż dawniej, w ruchach, w mowie przebijała się jeźeli nie zalotność, to instynkt, chęć podobania się. Była też samą śmiałą Zonią, a jednak zupełnie inną.

Im dłużej przypatrywał się jej Ewaryst, tym srożej bolał, czuł, że była dla niego straconą, lękał się, by zgubioną dla siebie nie była.

— List od Madzi! — powtórzyła wzdychając dziewczyna i obracając go w rękach zafrasowana. — Na jedną odpowiedź trudno mi się było zebrać, zdaje się, że w niej pomieściłam wszystko już co tylko mogłam do tej biedaczki napisać, czegoż ona może chcieć ode mnie?

Spojrzała na Ewarysta i zobaczyła z jego twarzy, iż jej tę obojętność miał za złe.

Chorążyc milczał.

Zonia list, nie otwierając go, na stół rzuciła; spojrzała w okno... Po chwilce odwróciła się znowu ku niemu.

— Siadajże, proszę, mój wybawco — dodała trochę szydersko...

— Gdybym nim mógł być — szepnął po cichu Ewaryst.

Zonia poczuła w tym jakąś dwuznaczność.

— Od czegoż i od kogo chciałbyś mnie ocalić? — spytała.

— Od ciebie samej — począł ośmielając się Chorążyc.

— Zagadka? Czy by mi miało od tej szalenicy grozić jakie niebezpieczeństwo? — spytała.

Chorążyc odpowiedział wejrzeniem pełnym znaczenia.

Zonia wskazała mu sofę nakazująco, musiał usiąść. Stała u stołu, przedzielona nim od niego.

— Mów mi kazanie, a bądź wymownym, bo ta Zonia — dodała — to rogata i uparta istota. A więc? co tam ona spletała! Słucham.

Pozorna żartobliwość jej mowy kryła złe coraz rosnący niepokój.

— Nie mam najmniejszego prawa, ani ci kazania mówić, ani dawać nauk — rzekł Ewaryst — ale, szczerze moje, ciche przywiązanie wytłumaczy natręctwo. Zoniu, powiem ci tylko jedno nazwisko: Zorian.

Dziewczę zapłonęło szkarłatem. Dotąd patrzyło się w oczy kuzynowi, spuściło źrenice, podniosło ręce i zamysłone poczęło się wpa-

trywać, machinalnie jakoś, w swój pierścionek.

— Zorian! — powtórzyła. — Cóż myślicie o nim i o mnie?

— Zorian się w tobie kocha, o tym wie cały świat — dodał Ewaryst.

Milczenie dosyć długie przerwało rozmowę. Zonia ciągle wpatrywała się w pierścionek, który obracała na palcu.

— Zorian się kocha we mnie, powiadasz?... tak? — zaczęła powoli.

— A gdybym ja też kochała jego? cóż z tego? Czy ja nie mam prawa oddać mojego serca i siebie komu mi się podoba? Jestem zupełnie wolna, nic nigdy od rodziny nie potrzebowałam, nic od niej wymagać nie będę, ale jej nad sobą przewodzić nie dozwolę. Wolna zupełnie, gdybym kochała Zoriana, cóż dalej, panie Ewaryście? mów!

— Byłoby to nieszczęściem! — zawołał Chorążyc z uczuciem głębokim.

— Mylisz się! — przerwała mu z wybuchem jakiegoś zapалу Zonia — mylisz się! A! byłoby to najwyższym szczęściem, byłoby nowym do życia narodzeniem! Miłość, przynaję teraz, jest uszlachetniającym, wielkim uczuciem... jest tajemniczym węzłem żywota... jest apoteozą...

Porwała książkę, na której miała chwilę rękę opartą i rzuciła nią silnie o stół.

— Kocham Zoriana! — zawołała — tak jest, nie omyliłeś się, kocham go miłością dziwną, jakiej może na świecie nie było... Zmienione role, ja jestem kochankiem, on kochanką, kocham go sercem męskim, namiętnością męczyzny, a on przy mnie jest jakby dziewczką nieśmiałą!

— Panuję nad nim, jest moim...

To wyznanie dziwaczne, które się jej z ust wyrwało, osłupilo Ewarysta, załamał ręce i dłońmi ściśniętymi twarz sobie zakrył.

— Powiesz, że szalona! wybuchnęła Zonia. O! wierz mi, w życiu jakie się nam dostało w udziale szal jest skarbem. Jam szczęśliwa, że oszalała!

— Zoniu! na Boga! to istne już szaleństwo — krzyknął przerażony Chorążyc. — Jakież następstwa, co za przyszłość! Zorian jest małoletnim, a przynajmniej pod rodziców władzą, ja znam tę rodzinę. Drobna szlachta, co się ogromnego dorobiła majątku, nigdy na świecie nie dozwoli na ożenienie...

Zonia wybuchnęła śmiechem...

— Ożenienie! ale ja o wyjściu za niego ani pomyślałam! Ja chcę go kochać, to mi starczy. Jestem pewna, że gdyby się ze mną ożenił, to by mi moje szczęście popsuło!

Chorążyc krzyknął ze zgrozy.

— A! wy, świętoszki. faryzeusze... ludzie trupy! — zawołała.

— Zoniu, ja mówię z tobą nie mogę nawet, myśli mi łzami zachodzą — przerwał Ewaryst. — Szal byłby niczym, ale ty ślepa tak,

że nie widzisz następstw... Ty się zgubisz...

Gwałtowne, choć krótkie wybuchy Chorążycy zdały się w końcu działać na dziewczę.

— Mój panie Ewaryście — odezwała się zimniej trochę. — Powtarzam ci, że ja mam prawo zgubić się w taki sposób, jak mi się podoba... Kocham Zoriana i czuję, że on mnie kocha.

— To dziecko! — przerwał Chorążyc gwałtownie. — Nie wątpię, że cię kocha dziś i szaleje, ale to jest namiętność młoda, to ogień słomiany, który jutro zapłonie tak samo dla innej.

Zonia podniosła oczy i ruszyła ramionami.

— Któż, kochając myśli o jutrze? Jutro! a! mój Boże! ono do nas nie należy...

I odeszła od stołu, za którym siedział Ewaryst, przybity już do ostatka i zrozpaczony...

Nie rychło mógł się on zebrać na ostyglejszą odpowiedź.

— My w istocie, moja Zoniu, stoimy pojęciami tak daleko, że się nam niepodobna zrozumieć. Niewiem nawet, czy wierzysz w tego Boga, co ja, a z pewnością lekceważysz te jego prawa, które ja za święte uważam... Nie chcę mówić o tym, co nakazuje nam wiara, abym nie wywołał z ciebie bluźnierstwa. Lecz, oprócz Bożych, są prawa ludzkie obowiązujące, są przepisy życia, od których pod grozą kary uwolnić się nie można, jest społeczność i opinia potępiająca... Choć byś nie chciała, jesteś częścią tego społeczeństwa i prawom jego ulegasz, nie żyjecie na pustyni...

Zonia zwróciła się głową ku niemu, idąc sama ku oknu.

— Właśnie przeciwko okowom, jakie ta strupieszala społeczność wkłada na nas, my chcemy walczyć. Tu nie dosyć słowa, trzeba czynów. Jeśli chcesz, moja miłość jawna, którą wy nazwiecie bezwstydną, jest taka protestacja.

— W tej chwili ty jesteś hipokrytą — przerwał Ewaryst z pół uśmiechem gorzkim — namiętność twoją chcesz pokryć płaszczem teorii... To fałsz!

Zonia zarumieniła się mocno.

— Może masz słuszość — odparła dumnie. — Kto ma skarb, ten go broni, nawet z ołtarza chwytając co napadnie...

Wyznanie to, nieco upokorzonym tonem wypowiedziane, przejęło litością Ewarysta, porwał się z miejsca i padł przed nią na kolana.

— Zoniu! zaklinam cię! nie gub się! — krzyknął.

Brwi pięknemu dziewczęciu ściągnęły się groźnie...

— Mogłabym się obrazić tym twoim strachem — przerwała. — Nie rozumiem, jak ty sobie wyobrażasz miłość, chyba rozpustą obrzydliwą. Krzywdzisz mnie i jego.. Miłość Zoriana dla mnie jest tak piękną, szlachetną, czystą jak moja dla niego. Kochamy się dwiema duszami bratnimi... Ewaryście.

Rumieniec wybiegł jej na twarz i nie dokńczyła.

— Wierz w to co mówisz — rzekł Chorążyc. — Chcę nawet wie-

rzyć, iż w tej miłości idealnej oboje wytrwacie, choć ona z waszymi teoriami się nie godzi.

Nowy rumieniec oblał twarzyczkę Zoni, która żywo odwróciła się od niego

— Ja mogę temu uwierzyć — kończył Chorążyc — ale świat, ale ludzie co powiedzą, widząc cię chodzącą do niego.

— Alboż ja się z tym kryję? — spytała Zonia.

— Ludzie to wezmą za cynizm! — dodał Ewaryst.

— Niech biorą za co chcą — spokojnie ze wzgardą jakąś odezwała się Zonia — co to mnie obchodzi? Ja dla ludzi nie poświęcę ani jednej minuty. mojego szczęścia.

Odpowiedź zamarała na ustach Chorążycy; zrozpaczony odstąpił od niej. Nie było już sposobu ani mówić z nią, ani chcieć ją przekonać. Dwoista siła czyniła tę miłość niezwykłą, jej własna poparta teoriami swobody nieograniczonej, które jej wpojono. Przewrócona głowa dziewczęcia dopomagała rozplómiёнionemu sercu.

Chorążyc stał jeszcze czas jakiś milczący, patrząc w ziemię, wziął kapelusz, skłonił się jej z daleka i wyszedł powoli. Nie zatrzymała go wcale.

W bramie, gdy już na ulicę wychodził, nie oglądając się nawet, uczuł się za rękę chwyconym. Stara Agafia Sathanowa z tajemniczą miną dając mu jakieś znaki, szeptała prędko.

— Heliodora Iwanowna, paniczku, Heliodora Iwanowna, na miłość Bożą prosi was na chwilę rozmowy do swojego pokoju. Chodźcie koniecznie.

I pochwywszy go za rękaw starucha ciągnęła, jakby się lękała, aby jej ofiara się nie wysliznęła.

Powtarzała ciągle.

— Heliodora Iwanowna!

Ewaryst, nie rozumiejąc poco do niej miał iść i mając to wezwanie za omyłkę, opierał się nieco.

— Mylicie się może, ja tak, jak nie znam Heliodory Iwanownej — rzekł do starej.

— Nie myślę się, nie myślę, wiem pewnie, wracacie od krewnej waszej, od Zonki; chodźcie na słowo!

Pociągnęła go za sobą ku domowi i przez inny ciemny korytarzyk ku drzwiom, które się natychmiast otworzyły.

Stała w nich pani Heliodora tym razem bez papierosa niecierpliwa podrażniona i ledwie wpuściwszy gościa do swojego gabinetu zamknęła za nim drzwi na rygiel.

Pokoik niewielki był obrazem życia kobiety, która w nim mieszkała. Największy nieład panował w tym niby eleganckim buduarze. Elegancja była chwilową i już należała do przeszłości, nieład stanowił teraźniejszość całą. Stroiki, tytoń, papierosy, książki, cacka, listy, świstki i okrawki wstążek, ryciny na wałkach i materie w sztukach, zaczęte roboty kobiece i zawałane seksterna, rozsypane pie-

niądze i gałganki pomięte, tak zajmowały wszystkie miejsca, iż usiąść prawie nie było gdzie. Ani też pani Heliodora zapraszała gościa; stanęła przed nim, załamała ręce poplamione atramentem i położyła od dymu papierosów, wołając:

— Pan wiesz! pan wiesz! co ona najlepszego robi! Sobie i mnie naprowadzi biedy! Wodzą się ze sobą po całych dniach, bywa u niego, jak mamę kocham. Mówiłam jej, niech choć nie tak jawnie... ani chce słuchać.

Chorażyc miał czas zebrać myśli.

— Pani dobrodziejko — odezwał się — wiem o tym trochę, ale, pozwól mi powiedzieć sobie, że tej pogardzie opinii i tej emancypacji Zoni winny z pewnością nauki przez mistrza wygłaszane. Były one dla niej przygotowaniem do życia i jego prawideł. Sialiście ziarno, które schodzi.

Śmiało to obwinienie jakby wodą zimną oblało panią Heliodorę, oburzyła się.

— Ja nic nie mam przeciwko wolnemu rozporządzeniu sercem — rzekła, jękając się nieco. — Co ojciec głosi to wszystko prawda. Dostyc mieliśmy tyranii męskiej, kobieta powinna być wolną. Tak, jak mamę kocham, ale żyjemy wśród świata skołowaciatego, my, nas odrobina, trzeba mieć pewną wiarę.

Ja panu wprost powiem, że to się skończy awanturą. Rodzice tego chłopca lada dzień się dowiedzą, a to są ludzie dumni, żenik mu się nie dadzą, rozdziela ich, i ona będzie najniezszczęśliwsza.

— Ona mu ufa! — przerwał Ewaryst. Heliodora porywczco się odezwała, uśmiechając.

— Jemu ma ufać! otóż to nieszczęście, to chłopiec rozpieszczony, zepsuty przed czasem, rozpustnik... Zaraz po przyjeździe do Kijowa, świadkiem stara Agafia, zakochał się był tak samo w córce gospodyni, u której stał... za co potem przyplacił, jak mamę kocham i ledwie się odkaraskał od niej. Wydali ją za jakiegoś kancelistę. Słyszę jeszcze i teraz się do niej włóczy, jak mamę kocham. A ja wiem najlepiej, bo słowo daję, że i do mnie się wdzięczył, ale jak! A ona biedaczka te jego amory bierze za dobrą monetę...

Rzuciła się pani Heliodora gwałtownie...

— Potem na mnie powiedzą, że z mojej przyczyny...

Tu zatrzymała się trochę; na wpół sama do siebie, zadumana mówić poczęła.

— Co innego jej radziłam i słowo daję, byłabym to doprowadziła do skutku. Jewłaszewski się chciał z nią ożenić, jak mamę kocham.

— Proszę pana — dodała z głębokim przekonaniem — potem niechby się była, wyszedłszy za męża, kochała jak chciała, nikt by jej słowa nie powiedział.

— Nawet mąż? — wtrącił Ewaryst. Wdowa się uśmiechnęła szydersko.

— Albo to mąż ma wszystko wiedzieć? — dodała przez zęby.

Chorażyca już niecierpliwiło, że go tu na daremnie zatrzymywano. — Zdaje mi się — rzekł — że jeśli kto to pani i ten pan Jewłaszewski, który tu ma taką powagę, możecie pannę Zofię powstrzymać i skłonić ją.

— Ale kiedy się szalenie zakochała! — przerwała Heliodora.

— Tak, szalenie — zakończył Ewaryst, kłaniając się na pożegnanie — lecz szalom tym nie ona sama jest winną.

Chciał już odchodzić gdy podbiegłszy ku niemu zatrzymała go gospodyni.

Prawdziwie panu powiadam, że ja zupełnie głowę tracę — poczęła. — Myślałam, pan do rodziny należysz, abyście potem nie mówili, że ja przyczyną. Ja umyłam ręce! ona mnie słuchać nie chce.

Spojrzała na Chorażyca, który stał nie chcąc już dłużej przeciągać rozmowy.

— Więc widzi pan — dodała — ja przed nim nie taję, to się skończy katastrofą, ja winną nie będę, jak mamę kocham.

Widząc, że Chorażyc nie otwiera już ust. Heliodora pomogła mu drzwi odryglować i szepnęła na wychodnem.

— Jak dwa a dwa cztery, zobaczy pan — awantura gotowa. Chłopiec zepsuty, choć tak się wydaje, jakby go dopiero z pieluszek rozwinięli, a ona jak wariatka.

Chorażyc ogłuszony, zmęczony, wyszedł z dworku Agafii, nie umiejąc znaleźć drogi. Co miał począć? mógł li co poczynąć? Nie wiedział sam.

Ciągnąc powoli do domu wpadł na myśl, która mu się zdawała jakaś słabiutką nadzieją, jeśli nie ocalenia Zoni, to przynajmniej lepszego ocenienia niebezpieczeństwa, na jakie była wystawiona.

Zoriana Szeligę, w pierwszych miesiącach po jego przybyciu, gdy jeszcze nie był nawrócony i wciągnięty w kółko reformatarów, poznał był Ewaryst, był nawet parę razy u niego i młode chłopię przyłgnęło zrazu do poważnego i przyzwoitego Chorażyca, nawykłem będąc do lepszego towarzystwa. Później, chociaż Zorian zdawał się go unikać, zachowywał się jednak przez grzeczność jakby dobry znajomy. Witali się ze sobą, rozmawiali o rzeczach obojętnych.

Mało go znał Chorażyc, a z tego co widział i słyszał wyobrażał sobie dosyć płochym, dziecinnym, wielce namiętnym, a nie bardzo odważnym. Na charakter młokosa w istocie mało rachować było można. Zapragnął zbliżyć się znowu do niego.

Nie było to łatwem. Towarzystwo otaczające bogatego jedynaka zupełnie się teraz zmieniło, królowali tu ojciec i jego synowie z ducha, co było najzagorzalszego i co najgorszym okiem patrzyło na Chorażyca. Nie mógł on wciskać się pomiędzy adeptów, aby nie wywołać jakiegoś nieprzyjemnego zajścia.

Nazajutrz jednak, nie odkładając, pod pozorem książki jakiejś, którą był dawniej pożyczył Zorianowi, poszedł do niego w godzi-

nie rannej, w której się nikogo spotkać spodziewał.

Na kwatere akademicką mieszkanie Szeligi było niezwykle wspaniałym. Młody panicz trzymał lokaja w liberii, miał salon, kilka pokoiów i cały komfort, jaki zwykle tylko starszych otacza; ulubieniec matki, pieszczoszek nawykły do wygod zawnazsu już czynił z nich życia warunek.

Ewaryst zastał go jeszcze w łóżku, pijącego kawę, którą mu z całą elegancją zamożnego domu podano. Więcej było koło niego przyborów toaletowych i fraszek, niż papierów i książek. Nauka była tu gościem, po którym ślady zacierano.

Z wielką uprzejmością, posuniętą do przesady, przyjął dawnego znajomego Zorian, przepaszając za to, że w łóżku go zastał.

— Jestem trochę niezdrów! — dodał zakłopotany.

Pierwszą rzeczą, która wpadła w oczy Chorążycowi, była na stolicku przy łóżku w aksamit oprawna za szkłem fotografia, w której na pierwszy rzut oka poznał Zonię. Kazała się ona była fotografować z książkami pod pachą, w męskim kapelusiku, i obrazek ten, uderzający oryginalnością, znanym był powszechnie. Zorian, nie dostrzegłszy, że Ewaryst miał czas nań spojrzeć, dosyć zrećnie natychmiast go przysłonił.

Służba wyszła. Korzystając z poufałości koleżeńskiej, Chorążyc umyślnie zwrócił uwagę na obrazek.

— Pokaż że mi jaką to piękność ukrywasz przede mną tak starannie — zawołał chwytając fotografię, którą Zorian próżno mu wyrwać usiłował.

— A! to moja kuzynka! — rzekł stawiając na powrót obrazek Ewaryst.

Szeliga zarumieniony leżał milczący, zmieszany bardzo.

— Kuzynka! — powtórzył — kuzynka!

— Tak jest — dodał Chorążyc, siostra jej wychowuje się przy moich rodzicach! wszyscy mówią — ciągnął dalej, o ile mógł najspokojniej — że wy się szalenie kochacie w Zoni! Bardzo temu wierzę, bo jest i śliczna i pełna życia a zdolności, choć główkę ma trochę przewróconą.

Zorian słuchał pilnie, zwolna przychodząc do siebie.

— No, kochać się trudno zabronić — dodał zwolna Ewaryst — lecz, jako życzliwy ci przyjaciel, radziłbym być ostrożnym. — Wątpię, aby rodzice wasi pozwolili się żenić, a z rodziną mojej biednej kuzynki moglibyście mieć nieprzyjemności...

— Ale, proszę cię — wtrącił Szeliga, proszę cię, cóż? za co? wszyscy niemal akademicy kochają się w pannie Zofii.

— A ja też kochać się nie zabraniam — dodał Chorążyc — tylko po przyjacielsku zwracam uwagę, że to szlacheckie dziecko, dobrego domu, choć ubogie, i nie bez związków.

Szeliga, widocznie pomieszany, pił kawę tak niezrećnie, że mu się na poduszkę wylewała.

— Bardzo dziękuję, wybąknął. Przecie kochanie się nikomu krzywdy nie czyni!

Zaczął się śmiać, lecz śmiech był wymuszony i kwaśny.

Chorażyc nie podnosił już drażliwej sprawy, począł chwalić mieszkanie, mówić o lekcjach, o pogodzie, o swojej księżce i udając wesołego, wkrótce pożegnał Zoriana, który po wyjściu jego leżał długo zadumany na pościeli.

Upłynęło parę dni — a biedny Chorażyc usiłował się uspokoić, chociaż smutny był w duszy i nie widział ratunku dla zdziczałej Zoni. Traf zrządził, że się z nią nie spotykał i z lekcyj wychodzącej widać jej nie było. Ciekawość go brała przekonać się, czy też kroki jakie przedsiębrał przydały się na co, o tym nie miał sposobu się przekonać, chodzić na zwiady do niesmacznej, roztrzępanej i napastliwej pani Heliodory nie miał ochoty.

Właśnie gdy myślał o tym, jakby się mógł dowiedzieć nieznacznie o Zonię, spotkał ją w ulicy samą jedną. Szła z książkami pod ręką, z głową spuszczoną, nasepioną, blada i cierpiąca, bo twarz jej zdradzała boleść jakaś. Nie widziała nadchodzącego Ewarysta, który sam narzucać się jej nie chciał.

Była jednak tak biedną i tak mu się żal zrobiło, że się przybliżył. Zamyślonę dziewczęcę podniosło głowę przestraszone, drgnęło i nieruchło zdało się rozpoznać kuzyna.

— Nie jesteś chora? — zapytał Ewaryst.

— Ja? chora? dlaczegoż to? — odparła, chmurno patrząc na niego. — Chora może jestem, ale na duszy, a na takie choroby sam każdy sobie musi być lekarzem.

— Nie przecie nie zaszło! — szepnął Ewaryst.

— Ale dlaczegoż się tak troszczysz o mnie? — niechętnie zawołała Zonia. — Prawdziwie, że czasem przywiązanie czy jak tam się to nazywa więcej dokuczcy niż prześladowanie i staje się jednym z najnudniejszych.

Posłyszawszy to Ewaryst, skłonił się i chciał odejść, oczy jej błysnęły, popatrzała na milczącego i cierpliwie znoszącego jej niegrzeczność — dodając.

— Ciekawy jesteś, prawda, co mi jest. Ostatnim razem widziałeś mnie tak szczęśliwą! Cóż robić, życie jak rzeka toczy się, to czystymi kryształowymi wody, to niosąc z sobą brudy i śmiecia.

Mówiła powoli, idąc ze spuszczonej w ziemię oczyma, na wpół sama do siebie, pół do tego powiernika zawojowanego, na którego mało zważała.

— Ludzie są jak psy — ciągnęła dalej — co gdy widzą, że jeden z nich smaczną kość ogryza, jeżeli mu jej odebrać nie mogą, to choć przeszkadzać by radzi, choć powalać ją... Wszystkim zawadza to, że ja kocham kogoś, że jestem kochaną, i że mi z tem było dobrze. Zatruli mi już moje szczęście — powalali...

Rzuciła okiem na słuchającego Ewarysta.

— Co o mnie mówią jemu, tego nie wiem, ale przede mną oplwali biednego chłopca, aby mi go obrzydzić, zrobili go rozpustnikiem, powywlekali historie jakieś brudne o nim...

Słyszałeś i ty pewnie?

Ewaryst głową potrząsał.

— Cóż mi tam? Przeszłość to rzecz zapomniana, utopiona. Co dziwnego, że kochając serca znajdował plugawe? Nie miał doświadczenia, nie znał ludzi... Napił się może z kałuży! ale co mi tam...

— Nie śmiem ci powiedzieć moja Zofio — odparł, idący za nią Chorażyc — że i ty możesz być w tym przypadku. Ja ci go obrzydząć nie chcę, ale nie znajduję, aby był godnym tej wielkiej miłości, którą masz dla niego.

— Dlaczego? — zapytała Zonia.

— Bo ani umysłem, ani sercem nie dorósł ciebie — rzekł Chorażyc. — Znam go, jest to płochy chłopak, w którym serce bije na chwilę mocno, ale prócz uczucia, w którego rozbiór ja wchodzić nie myślę, nie ma tam nic!

— Alboż się kocha dla czegoś i za coś? — odparła Zonia — kocha się, bo się musi, widzi się głupotę własną, i to nic nie pomaga...

Powiedziała to smutno. Ewarysta pocieszyło niemal jej strapienie, było ono znakiem jakiegoś rozmysłu, przepowiednią zwrotu. Sam smutek mówił już wiele... Wahala się, a miłość, która się waha, bliską jest stygnięcia. Sądził, że najlepiej ją będzie zostawić samą sobie. Przeszedłszy kilkadziesiąt kroków aż ku dworkowi Sałhanowej w milczeniu mało znaczącym przerywanym półsłówkami, u wrót jego prawie pożegnał się z Zonią, która doszedłszy już tu, po rozstaniu się z nim, zadumała się u wnijscia długo, papierosy swe i książki oddała stojącej tu starej Agafii, a sama poszła żywo w drugą stronę. Ewaryst byłby przysiągł, że szukała tego nieszczęśliwego Zoriana, o którym myślała ciągle.

Naprzeciwko mieszkania zajmowanego przez Mistrza, był dom od dawna już nie najmowany, chociaż gospodarz, bogaty kupiec, świeżo go kazał odświeżyć, pomalować i starą a dosyć niepokazną budowę uczynił wygodniejszą niż była za młodu. Obyczajem wszystkich właścicieli Jefren Wasyliew obrachował sobie poniesione na restaurację wydatki i wymagania jego tak były przesadzone, że długo nikt się do mieszkania na pierwszym i jedynym piętrze nie zgłaszał. Dół zajmował Wasiliew z liczną rodziną, a że był zamożnym i rachować umiał dobrze, wolał pustką widzieć kamieniczkę, niżeli ją tanim najmem skompromitować.

Jednego dnia, przecież goście Jewłaszewskiego, którzy często przez okna wyglądali, dostrzegli, że naprzeciw zawieszono firanki i pewien ruch dał się widzieć u Wasyliewa.

— Otóż Jefren przecie znalazł kogoś co mu dał, ile zaśpiewał! odezwał się jeden z akademików spoglądając naprzeciwko.

Jewłaszewski, który o prozaicznych przedmiotach, o życiu powszednim i drobnostkach jego nierad był mówić, bo dla nich największą okazywał pogardę, tym razem mruknął.

— Mówili, że tam jakaś jejmość, bogata wdowa z Moskwy, czy nie wiem skąd przybyła, dała się Jefremowi obałamucić.

— Bogata! wdowa! — przerwała śmiejąc się Żyżycki — a! w to nam graj! może jeszcze młoda i przystojna! ho, ho.

Mistrz ruszył pogardliwie ramionami, niewiele go to zdawało się obchodzić.

Ciekawa młodzież mając z okien mistrza tak doskonale stanowisko do obserwacji a wiedząc, że za firankami kryła się istota płci żeńskiej, o której fama chodziła, że jest wyposażona obficie, nieschodziła prawie z czatów.

Żyżycki, który był próżniak i lubił się lada czym rozrywać, szczególniejszą zwrócił baczność na lokatorkę Jefrema Wasyliewa. Nie dosyć mu było czatować w oknie, przypatrywać się z ulicy azali czego nie ujrzy dającego wnioskować, czy gra warta była świeczki.

poszedł do Wasyliewa, u którego brał herbatę i sardynki i miał z nim pewien rodzaj znajomości.

Jefrem był opasły, na pozór dobroduszny, śmiejący się, polyskujący z dobrego bytu, rumiany jak burak człowieczyna, który powszednim ludziom mógł się wydawać niezmiernie prostym burlakiem, ale w istocie był najprzebieglejszym z ludzi.

Niewiele widząc i umiejąc, bo był wychowancem natury i własnej pracy, Wasyliew miał ten przedziwny instynkt ludzi zmuszonych żyć w społeczeństwie nad nich wykształceńszym; obawiał się wszystkich, nie ufał nikomu, uważał w ogóle świat za nieprzyjaciela i chytrzył...

Dosyć było od niego zażądać się czegoś dowiedzieć, aby obudził jego podejrzenie. Nikt nigdy nie dobył nic z niego, ale nie dał poznać po sobie tej przebiegłości, owszem udawał prawdomówcę i prostaka. Każdy odchodził od niego pewien, że dobył z Jefrema co chciał, on potem śmiał się w kułak za odchodzącym.

Zyżycki zagadał naprzód o ćwierci funta herbaty, której miał potrzebować, potem o ostatnim pudełku sardynek, jakie stąd wy-
niósł, nareszcie dodał:

— A no, powinszować kupcowi, wszak to pierwsze piętro najęte!..
Wasyliew się w kark poskrobał i ręką machnął.

— Cóż, dobrze? — spytał Zyżycki.

— A! co za dobrze! z biedy! trzeba było... Co robić — zamruczał Jefrem.

Jefrem ramionami poruszył.

— Albo ja wiem! — odparł obojętnie.

Zyżycki dorzucił.

— Urzędnikowi? co?

— I! nie.. jakaś baba...

Niechętnie mówił!

— Stara, młoda? z dziećmi? — pytał akademik.

Ciekawość ta i chęć mieszania się w cudze sprawy nie podobała się kupcowi, zagadał coś żywo do przykaszczyka, nie dosłyszał niby pytania. Zyżycki stał na próżno, odpowiedzi nie było.

Jefrem niby o niej zapomniał. Powtarzać pytania nie wypadało, kupiec ręce włożył w aksamitne szarawary i stał patrząc w świat jakby o lokatorce mowy nigdy nie było.

Tymczasem złożyło się, że ta, o którą właśnie dopytywał ciekawy młodzieniec, wracając z miasta wchodziła do kamienicy. Wasyliew nie mógł jej nie powitać i nie uklonić się, a Zyżycki nie mógł nie domyśleć się kto była, bo weszła wprost do tego domu.

A że szła powoli, rozpatrując się, Zyżycki doskonale się jej przypatrzył.

Wiek trudno mu było odgadnąć, gdyż jejmość widocznie była odświeżoną, pomalowaną dosyć jaskrawo, ale, choć z pozoru nada-
wało jej to wielką świeżość i blask, budziło podejrzenie. Rysy twa-

rzyczki nadzwyczaj regularne, niegdyś musiały być bardzo piękne, były niemi jeszcze, szczególnież oczy czarne i usteczka bardzo małeńkie.

Chód, ubranie, pewna wymuszoność w całej postawie, ruchach, uśmiechach, zdawały się w tej pani chętką okazania się daleko dystygowańszą niż w istocie była. Mówiło coś, że mogła być prostą bardzo kobieciną, której los a raczej piękność dały niespodziane stanowisko w świecie, kłopotliwe i utrudzające. Można było przysiąc, że ta sztywna jejmość, zrzuciwszy bardzo wytworne stroje, nierównie by się czuła swobodniejszą i szczęśliwszą.

Oczy jej biegały bojaźliwie, jakby się ciągle czegoś lękała... Ubiór jej grzeszył jaskrawością, błyskotkami i brakiem smaku, ale był za to kosztowny i obrachowany tak, aby się nim wydawał. Przechodząc, pani ta rzuciła trwożliwym okiem na studenta, uśmiechnęła się kupcowi i wbiegła co najprędzej do domu, jakby jej pilno ukryć się było.

— E! e! panie Wasyliw, wasza lokatorka — krasawica! zawołał Zyżycki.

Jefrem ruszył ramionami.

— A cóż? nie?

— Alboż mówię, nie? — odparł kupiec. A! no! krasawica!

— Wdowa czy zamężna? — zapytał akademik.

— Ej! ej! — począł kupiec, albo to do mnie należy! Co ja miałem o to pytać!

Ponieważ widocznie unikający dłuższej rozprawy w tym przedmiocie Wasyliw zwrócił się z wymówkami do prykaszczyka, Zyżycki był zmuszony ze szczupłą odciągnąć zdobyczą. Zaniósł tego dnia na górę wiadomość, że wdowa, czy też Bóg ją wie kto, była kobietą niestara i wcale jeszcze nieszpeta.

Z okna dało się wyszpiegować, że dzieci u niej nie było, pokazywała się stara służąca z głową chustką zawiązaną, młoda służąca bez chustki, obie mocno brzydkie, i chłopiec ubrany czysto, ale nie wytwornie; wdowa, bo wszyscy byli pewni, że nią była, nie unikała zbytecznie okazywania się w oknie. I owszem, wychylała się, niby dla spoglądania na ulicę, a można było posądzić, że też trochę dla pokazania się, ciągle bardzo wystrojona i obwieszona klejnotami. Czasem przechadzała się tak wewnątrz domu, że ją mogli ciekawi spostrzegacze oglądać. Nie zdawała się mieć żadnego zajęcia, a włóczyła robotą, którą czasem trzymała w ręku, była jakby dla okazu chwyconą, nie siadywała nad nią.

Jakim sposobem owa obca zupełnie tu lokatorka znalazła znajomych, nikt nie wiedział. Zaczęli tu powoli jakoś uczęszczać urzędnicy, biurokracja, mieszczenie, ludzie średniego stanu. Widywano ich tam wieczorami pijących herbatę, przechadzających się, grających wista, przyjmowanych wieczera.

Z drugiego piętra od Jewłaszewskiego wzrok łatwo w głąb sięgał

na pierwsze i, jeżeli sfory nie były pozapuszczane, salon nieznajomej był jak na dłoni.

Jewłaszewski jakoś właśnie o tym czasie, nie wiadomo z jakiego powodu, zrobił się zamyślony, smutny i niespokojny.

Stał się nierównie nawet obojętniejszym w propagandzie swoich idei. Był jakby chory i znużony, gitara spoczywała, piosnki od niego nie można było posłyszeć. Mniej daleko niż dawniej uczęszczał do pani Heliodory na herbaty, częściej się zasiadywał w domu. Ci, co go znali dawniej i widywali w przystępach twórczości, utrzymywali, że musiał nad nowym dziełem pracować. Pytany o to nawiasowo Wańka, ruszał ramionami, śmiał się i mówił:

— E! kudyż!

Drudzy, uczniowie medycyny, wnosili z żółtej cery, iż cierpiał na wątrobę i to go po troszę czyniło tetrykiem.

Heliodora, której był potrzebnym dla nadania powagi jej salonikowi, a może i jej samej, gniewała się prawie za te oznaki zubożenia, przypisując zły humor Mistrza Zoni, która go nie tak przyjmowała jak dawniej.

Wdowa miała obyczaj otwartego wygadywania się z myślami, nie ukrywała więc ich przed Jewłaszewskim, chciała go wyciągnąć na otwarte tłumaczenie, nie szczędziła wyzywań, ale Mistrz a ojciec milczał.

Frasunek, strapienie widać było na pomarszczonym czole, cierpiał widocznie, a mówić nie chciał.

Wszyscy jego uczniowie i przyjaciele tym stanem ducha byli zaniepokojeni.

Zdało się, jakby nagle zwątpił o sobie. Najgorsza polemika w kwestiach żywotnych, które dawniej go poruszały żywo i wywoływały wybuchy, teraz znajdowała go zimnym.

Rzucił czasem jakie słowo jakby dla pozbycia się natrętów i chodził zasepiony po pokoju. Kilka razy nie zastano go w domu wieczorem i nie wiedzieć gdzie go było szukać.

O tym mógł jeden tylko coś powiedzieć Jerem Wasyliew, który wiedział, bo on wszystko musiał zawsze podpatrzeć, jak jednego wieczora poważnym, ale mimo to jakimś wahającym się krokiem, Jewłaszewski wsunął się do jego kamienicy i poszedł wprost na górę do drzwi owej nieznajomej nikomu lokatorki.

Tu, jakby się wahał czy ma wniknąć czy nie, długo stał cicho Jewłaszewski; na ostatek na odwagę się zebrawszy, wkroczył wprost do izby gościnnej, w której owa bielona i różowana osóбка siedziała.

Wieczór był, ale jeszcze jasny i przez okna wpadał jaskrawy blask zachodu.

Gdy Jewłaszewski wkroczył, gospodyni zwróciła na niego oczy. Nie mówiąc ani słowa, Mistrz stanął, wlepił w nią wejrzenie spuścił i patrzył.

Ona też zdziwiona w początku spoglądała nań, potem zaczęła się

mieszać, na ostatek krzyknęła — Anuszk! ratuj! — i upadła zemdlona.

Na wołanie to wbiegła stara sługa, klaszcząc w dłonie i zawodząc, Jewłaszewski się z miejsca nie ruszał.

Za starą natychmiast zjawiła się młoda sługa z krzykiem... Zaczęto cucić omdlałą, która już przychodząc kilkakroć do siebie, co zobaczyła Jewłaszewskiego, to oczy zakrywając rękami mdlała na nowo.

Trwało tak może z pół godziny, a Mistrz nie ustępował, kobiety służące nadaremnie się go pozbyć usiłowały, mruzczał, że z panią Eudoksją Filipówną mówić musi. Uspokoiła się ona wreszcie, chociaż wciąż jeszcze płakała i łkanie konwulsyjne wyrывało się z jej piersi.

Anuszk z towarzyszką wyszły, bo im dała znak, aby ją zostawiły *amą, zdaje się jednak, że dla bezpieczeństwa pozostały pode drzwiami, bo później się ta cała scena rozgłosiła tak, że coś o niej nawet wiedział nazajutrz Wasyliw, ale nie mówił żywej duszy, na Jewłaszewskiego tylko patrzył z ukosa bardzo i gębę krzywiąc.

Po wyjściu kobiet długo jeszcze mówić nie mógł począć Jewłaszewski, bo Eudoksja co spojrzała nań, to zasłoniła twarz rękami i zachodziła się z płaczu.

On czekał.

— No cóż, Eudoszka! — odezwał się nareszcie, nie chcesz ty mnie znać?...

Nie było odpowiedzi, płacz tylko.

— Ja was nie znam! nie znam! tak jak wy mnie nie znali! — odezwała się na ostatek kobieta zza łez. Ja was znać i wiedzieć o was nie chcę...

— To ja winien! — przerwał Jewłaszewski.

— A któż a kto? — odpowiedziała ledwie dosłyszalnym głosem kobieta.

Przez czas jakiś płakała znowu, Jewłaszewski nie ustępował.

— Darmo ty się będziesz mnie zapierała — począł zwolna, widząc, że łez i łkania nie przeczeka — darmo Eudoszka, prawda musi zawsze wyjść na wierzch. Byłaś ty moją żoną, kto z nas winien, nie chcę ja sądzić, ty czy ja, czy oboje, a ot, co wyszło z tego. Lat minęło dosyć, Eudoszka, ja taki jaki byłem goły, a tyś wyszła na panią. Ja się nie żeniłem, bo o tobie pamiętałem, a tyś z drugim, jakim prawem? Ty byłaś moją i nie przestałaś moją być.

— Nie! nie! — zaczęła wołać kobieta — niech pan Bóg sądzi, niech ludzie sądzą, ja nie winna. Ja do ciebie nic nie chcę mieć, ty do mnie niemiej też, jak mnie porzuciłeś wówczas, tak niech zostanie na wieki.

— Hej! Hej! — odezwał się zimno Jewłaszewski — to darmo, bo tak nie może być. Ty byłaś moją i moją musisz być. Już ja nie

pytam o to, co się z tobą działo, ale przeznaczenie cię tu przyniosło... to darmo, ty mi się już nie wymkniesz!

Eudoksja Filipówna, która płakała ciągle, nagle jak zrozpaczona porwała się i podbiegła z rękami podniesionymi do stojącego uparcie Jewłaszewskiego.

— Niechaj dzieje się co chce! niech mnie biorą i krzyżują, i bicują, i kaźnią, i sadzą do więzienia, ja ciebie nie chcę znać i nie będę...

— A, to zobaczymy! — odezwał się chłodno Jewłaszewski.

— O! ja wiem! — zawołała kobieta ręce łamiąc — gdybym ja tu była przyszła jak odeszłam w jednej koszuli, bez kopiejki przy duszy, ty byś mnie ani znał, ani się o mnie upominał, aleś ty na moją biedną chudobę łakomy! Ja ciebie znam! ja się tobą brzydzę jak przeklętym szatanem. Gdy wspomnę życie moje, młodość moja, a com ja uciierpiała z tobą, gotowam dziś w Dniepr na dno prędzej niż znowu z tobą zacząć na nowo te męki.

Jewłaszewski się nie bronił, ustami poruszał, ramionami wstrząsał, czekał aż sroga burza przeminie, kobieta ciągle łzami się zalewała.

— Jak sobie chcesz, Eudoksja Filipówna — zawołał po długim przestanku — wola twoja. Zameldują do urzędu, że jesteś żoną moją, która zbiegła przed laty i przepadła jak kamień w wodę, niechaj wyprowadzą śledztwo, ja przysięgnę, ty nie możesz duszy gubić. A przysiędziesz, to świadków znaję. Będiesz musiała odpowiadać z kim to ty żyła, gdzie, skąd tobie przyszło to co masz. Zobaczymy.

Przeszedł się po pokoju.

— To darmo, Eudoksja, ja nie podaruję swojego, a ty mi nie ucieczesz. A chcesz pogadać w dobry sposób, poradzić się, poładzić, popróbujmy.

Biedna kobieta nie wiedząc co począć ręce łamała z rozpacz, kobiety stojące pod drzwiami, przerażone, wszystkich świętych znanych sobie na ratunek pani wywoływały.

Przychodziło im na myśl pobiec do policji i dać znać o napaści, ale lękały się, nie wiedząc o co chodziło, aby gorszej nie nawarzyć kaszy.

Przycichać jakoś w końcu zaczęło i rozmowa, przerywana czasem tylko płaczem tłumionym, dochodziła ich uszów. Bardzo nie prędko, bo już nocą wyszedł nareszcie Jewłaszewski i pani zawołała Anuszkę swą, która ją znalazła straszliwie zmienioną, z twarzą łzami wymyętą z bieliłta i barwiczki, na pół omdlałą, nie mogącą przemówić słowa, nie chcącą wytłumaczyć nic, narzekającą tylko, że ją Bóg ukarał srodze.

Ponieważ nie miała w nikim zaufania wdowa, a sama ona i jej kobiety koniecznie kogoś na radę i ratunek wezwać chciały, zwołano Wasylięwa, wydającego się dobrym i litościwym człowiekiem. Kupiec poszedł na górę chętnie, ale w początku lokatorka nie miała odwagi powiedzieć mu prawdy całej.

— Młodą, prostą kozaczą dziewczyną, dla krasy mnie ten człowiek zaślubił — przyznała ze łzami Eudoksja — bylam dzieckiem, gdy się to stało, a nie rozumiałam nic, tylko że panią będę, bo Jewłaszewski miał kawał ziemi, a kto wiedział, co ona była warta. Jemu wprędce sprzykrzyła się i wieś i żona. Chciał dalej w świat, wypominając mi, że ja mu bylam kulą u nogi, kamieniem u szyi. O! że ja tam duszy nie wyplakałam, że nie umarłam, że nie poszłam się utopić, Bóg tylko łaskawy ratował.

Nie chciał mnie znać za żonę, wypominał, że ślub był zły, że my lat nie mieliśmy, że i świadków i zapisu nie było. Pędził mnie z domu, aż wyгнаł.

Poszłam ja ze łzami, sama nie wiedząc dokąd, bo już rodziców nie było, a braciom się pokazać srom miałam. Z węzełkiem biednym powędrowałam do miasta, gdzie? po co? na służbę! Znalazłam dobrych ludzi co mię przyjęli, a potem poczciwego, co jak żonę mnie wziął i trzymał i szanował i kochał, a umierając mi co miał zostawił. Wasyliw słuchając opowiadania głową kręcił i dawał do zrozumienia, że sprawa zła była.

— Nie chcecie z nim żyć? — rzekł w końcu, na to rady innej nie ma, okupić mu się trzeba. Gębę mu zatkać.

Ale i on pewnie nie głupi, kiedy może mieć wszystko, jakby chciał odrobiną się zaspokoić! Trudna sprawa!

Po cichej naradzie, w ciągu której kupiec się od wylekłej kobiety dowiedział co miała, bo mu ze strachu spowiadała się ze wszystkiego, poszedł rano Wasyliw w poselstwie do Jewłaszewskiego. Zaledwie mógł zagaic, gdy ten mu odparł:

— Po có wy, Jefremie Polykarpiczu, mieszacie się w nie swoje sprawy! Palca między drzwi kłaść nie trzeba. To domowa rzecz, dajcie mi z nią uporać się samemu.

Z tym go odprawił. Do wieczora dał folgę Eudoksji i czas do namysłu. Wieczorem nie przyjmowano nikogo, poszedł on na rozmowę i siedział do późna, a gdy wychodził, ci co go po drodze najrzeli powiadali, że posepną miał twarz i brwi ściągnięte. Całą noc kobiety około Eudoksji spędzić musiały, bo na serce chorowała z płaczu i smutku. Usnęła dopiero nad ranem, nie wychodziła z domu, nie jadła prawie, posłała świece do cudownych obrazów, i tak przetrwała do wieczora. Nadszedł znowu nieubłagany przesładowca, ale kobiety mówiły, że łagodniejszym się okazywał i dobrymi słowy starał się płaczącą i narzekającą uspokoić.

Przybywał i dni następnych, a Eudoksja powoli przychodzić zaczęła do siebie, czego pierwszym znakiem było, że twarz pomalowała i suknie wdziała paradne, pierścionki i klejnoty. Jewłaszewski pił już u niej herbatę i gadali z sobą po cichu.

Tylko gdy wyszedł od niej, wzdychała ciężko, a nocami jeszcze popłakiwała. Wasyliw, choć się usunął od tej sprawy, utrzymywał,

że się ona skończy zgodą. Mrugał jednym okiem, śmiał się i Anuszcze szeptał. — A no jeszcze i chrzciny mogą z tego być!

Stara go uderzała po ramieniu nie chcąc słuchać.

Tymczasem przyjaciele Mistrza nie wiedzieli nic, prócz że zaszła w nim niepojęta, niewytłumaczona zmiana.

Nie poznałono tego apostoła gorliwego, teraz pogrążonego w milczeniu, posepnego, zobojętniałego na wszystko.

Stopniami przestał bywać u pani Heliodory, a nawet u siebie przyjmować. Nie zastawano go prawie nigdy w domu wieczorami, a Wańka, choć z miny mu znać było, że coś wiedział, zaklinał się, że o niczym wcale nie wie i nie zna...

Metamorfoza ta ogromne uczyniła wrażenie na adeptach Mistrza, szukano jej przyczyn nadaremnie, a tymczasem grono, któremu przewodniczył, zaczęło się zwolna rozpiezchać.

Nikt nie mógł go zastąpić. Pragnącym wiedzy i jakiegoś postępu, który lepiej nazwać było potrzeba poskokiem, potrzebującym wodza do walki z ciemnotą i barbarzyństwem, jak się wyrażali, jakby z nieba spadł naówczas przybywający się tu doktoryzować, uczeń uniwersytetu w Bonn, niejaki Euzebiusz Komnacki, który już stopień magistra filozofii w Niemczech był uzyskał.

Rodem z okolic Kijowa, pan Euzebiusz znany tu był w młodości, a sława nadzwyczajnej nauki wyprzedziła go do Kijowa. Młodzię wyobrażała sobie naturalnie, iż przyniesie jej z sobą, światło najczystsze, u zachodniego zaczerpnięte ogniska, najświeższe wypadki nauki, badań, filozofii i teorii społecznych.

Jewłaszewskiego, już zobojętniałego, wieść o tym przybywającym współzawodniku dotknęła dosyć żywo... Podrażniona miłość własna nie dała mu cofnąć się z placu boju bez okazania się na nim przynajmniej.

Mówiliśmy, jak był zawsze ostrożnym w wypowiedaniu cząstkowym teorii swoich i pomysłów; choć go nauka istotna trwożyła trochę i próba jaką miał przebyć miłą nie była, musiał, dla czci swej, spojrzeć w oczy p. Euzebiuszowi. Zapowiedziano mu już zawczasu nie tylko jego przybycie, ale niezmierną chęć poznania tego luminarza, jakim głoszone Jewłaszewskiego.

— A! zobaczmy, zobaczmy, co to nam tu ten młokos przywiezie osobliwego z zagranic — odzywał się z zawczesnym przekąsem, bardzo rad będę ujrzeć, posłyszeć, uczyć się...

Z udaną pokorą wyczekiwał na gościa. Unikać go, uciekać od niego, byłoby uznać się bez walki zwyciężonym!

Zawczasu zdania były podzielone, jedni utrzymywali, że Mistrz wyjdzie zwycięsko, drudzy objawili pewną milczącą dwuznaczną obawę. Niektórzy zapowiadali nieprawdopodobną rzecz w młodzięncu wprost przybywającym z zachodu — zacoфанie.

— Nie potrzeba mówić sobie — dodawał Mistrz — że Mistrz wyjdzie zwycięsko, drudzy objawili pewną Niemcy miewają bziki,

a na Słowian przypadł czas odrodzenia myślą nową strupieszalego świata! To moje najmocniejsze przekonanie.

W ten sposób obwarowawszy się na wszelki wypadek, aby, gdyby został pobitym, nie uznać się za zwyciężonego, Jewłaszewski czekał.

Euzebiusz przybył nareszcie, niektórzy widzieli go już i mówili o nim tylko — zobaczycie. Jednym z pierwszych, którym dano było się z nim spotkać, był Ewaryst, którego rodzice z Komnackiego familią w bliskich byli stosunkach...

Na pierwszy rzut oka młody filozof wcale nie był imponującym. Średniego zaledwie wzrostu, fizjonomii nic nie mówiącej, milczący, skromny, potulny, nie popisujący się z niczym, czynił wrażenie człowieka niewielkich zdolności. Był to jednak pozór ludzający; p. Euzebiusz, niełatwo dający coś dobyć z siebie, gdy został powołanym do wypowiedzenia zdania, zmieniał się zupełnie, nabierał powagi, rozwijał niespopolity dar słowa, wychodził z powszedniego swojego stanu, przybierając ton człowieka tak pewnego siebie i tego co głosi, że nikt mu dotrzymać nie mógł.

Miał naukę istotną, gruntowną i rozległą, na pewnych opartą zasadach i w pierwszej rozmowie z Ewarystem dał mu poznać, jak daleko był od radykalizmów naukowych i społecznych. Sceptyk trochę w wielu przedmiotach, przez to samo rewolucyjnego nie miał ducha, bo do budzenia potrzeba zapału i wiary, trzeba szaleństwa pewnego, a sceptycyzm naukowy woli kroczyć powoli, bo w skutek pochodzenia swojego nie ufa.

Nazwaliśmy to sceptycyzmem naukowym, co by raczej miarą i wiedzą granic rozumu nazwać należało. W nim wątpliwość w rzeczach wielu łączyła się z niewzruszoną wiarą w metodę badania i istotne nauki zdobycze.

Spotkanie się z sobą dwóch owych znakomitości, zapowiadane ciągle i z dnia na dzień odkładane, gdyż Jewłaszewski, jak gdyby go chciał uniknąć lub spodziewał się jakiej przeszkody uwalniającej, zwłóczył ciągle z nim, miało zrazu przyjść do skutku w mieszkaniu Mistrza. Dogadzało to jego próżności, że nowoprzybyły miał mu pierwszy oddać uszanowanie, przeciwko czemu p. Euzebiusz nic a nic nie miał, bo ani dumy, ani ceremonialności nie było w nim najmniejszej.

Tymczasem dowiedziała się o tym pani Heliodora i całą swą strategią wymierzyła przeciwko projektowi dowodząc, że powinni byli zetknąć się niby przypadkiem na gruncie neutralnym. Szło jej o to, aby była świadkiem triumfu, a bodaj już tylko walki i by o nich później opowiadać *de visu et auditu*. Młodzież swą podkomendną wyprawiła na wszystkie strony z takim naleganiem, sama napadła o to tak gwałtownie Zyżyckiego i Mistrza, że się jej oprzeć nie mogli.

Zyżycki pół żartem jej odparł z początku.

— Ale bo to, widzi pan, wiadoma rzecz, przyjdzie do jakich roz-

praw naukowych, to trzeba zupełnej swobody słowa, a przy kobietach zawsze się człowiek za język kąsać musi.

— A cóż to, my, proste jakieś bigotki, fanatyczki, skromnisie, które lada słowo rumieni! Przecież waćpan wiesz, żeśmy bez tych głupich przesądów i że przy nas wszystko mówić można.

Koniec końcem postanowiono którego wieczora miał p. Euzebiusz przyjść do Heliodory, do której i Jewłaszewski się obiecał.

Zonia, choć teraz mocno zajęta sobą, smutna i podrażniona, bardzo chciała widzieć przybysza i być przytomną owej naukowej szermierce.

Zbierając się na nią nikt tylko o tym nie pomyślał, jak i kto zagai rzecz i wyprowadzi na stół. Nie znano p. Euzebiusza, który sam więcej unikał rozpraw dyletanckich o naukowych przedmiotach, niż je wywoływał. Za niego ręczyć było można, iż gotów o pogodzie, o ulicy, o lada fraszce mówić wieczór cały, niżby miał w niepoświęconym miejscu wyrwać się z kwestią naukową.

Jewłaszewskiemu też polemika była nie na rękę, nie był do niej usposobiony teraz, obawiał się pedanta, to jest człowieka z logiką i systemem, mówiącego o rzeczy głębiej zbadanej; i on więc nie był skłonny do zaczepki.

Euzebiusz, nie chcąc być zupełnie sam wśród obcych, trochę znajomego Ewarysta z sobą pociągnął, który rad był przy tej zręczności Zonie choć z daleka zobaczyć.

Pani Heliodora, objawiająca przy każdej zręczności swą wzgardę dla form wszelkich towarzyskich, do elegancji, do występów, jednakże tego wieczora porobiła pewne mało znaczne ustępstwa, aby się zbyt parafiańsko nie wydać gościowi.

Zwykle występowała w sukni dosyć przeszarżanej a niedbale zaپیętej pod szyją, a często bez kołnierzyka czystego i rękawków. Tego dnia suknię włożyła nowszą i śnieżnej białości manszetki. W izbie umieszczono starannie i niezliczone resztki papierosów wyrzuceno do komina zastawionego parawanikiem. Stara Agafia zastosowała się do instrukcji i włożyła chustkę świeżą, suknię jedwabną. Do herbaty przysposobiono wymyślniejszą przekąskę.

Jedna tylko Zonia nie chciała się ubrać inaczej, tylko jak na codzień.

Z gabinetu przytykającego, zawsze zarzuconego gratami, wyniesono kompromitujące rupiecie do sypialni, aby nim zwiększyć miejsce, przyłączając go do salonu.

Daleko jeszcze było do wieczoru, a dzień niesłychanie upalny i gorący dokuczał, gdy już Heliodora z papierosem chodziła niespokojnie po swoim saloniku, mającym być wkrótce teatrem walki.

Nikt jednak nie przychodził i zmierzchać zaczęło, gdy pierwsi panowie akademicy, co najmłodszy i najniecierpliwszy ściągali się zaczęli. Przybywali bardzo powoli i właśnie ci, o których gospodyni jak najmniej chodziło.

Zonia wyszła nie prędko, zadumana, blada, milcząca, z minką pogardliwą i roztargnioną. Na kilka pytań jej zadanych ledwie pół słowami raczyła odpowiedzieć.

Gdy nadszedł Zorian, którego gospodyni przyjęła bardzo zimno, we dwoje z nim zaczęli chodzić, szepcząc, po salce.

Szeliga pokornie kroczył za Zonią, która się z nim obchodziła jak z niewolnikiem, ale razem okazywała mu poufałość taką, że nawet Heliodora ramionami ruszała.

— Bo już za oczami róbcie sobie co chcecie — powiedziała zniecierpliwiona na ucho swej towarzyszce — ale przy ludziach trzeba się zachować skromniej.

— A mnie co ludzie obchodzą? — odpowiedziała krótko i ostro Zonia.

Było już kilku młodzieży, gdy Ewaryst wprowadził p. Euzebiusza. Choć go tu już opisywano jako niepozornego wcale, pani Heliodora nie mogła ukryć zdumienia zobaczywszy niepoczesną, skromną figurkę, wszelkiej mistrzowskiej pozbawioną powagi.

Chwyciła go zaraz sobie do rozmowy i jeszcze bardziej się zdumiała, słysząc go jękającego się i mówiącego tak proste rzeczy w sposób tak pospolity, iżby go nawet o żadną uczoność posądzić nie można.

Zobaczywszy wchodzącego Ewarysta, nieszczęśliwy Zorian stchórzył i zdezerterował od Zoni. Ta zrozumiałaś łatwo powód ucieczki, sama go dognała i dała mu natychmiast naukę, że chce i rozkazuje, aby wcale na Dorohuba nie zważał i na krok się od niej nie oddalał.

Pieszczone chłopię było wyraźnie na mękach. W chwili gdy Ewaryst przyszedł się z kuzynką przywitać, Zorian powtórnie próbował się wymknąć, ale Zonia głośno mu powiedziała:

— Czegoż pan uciekasz? Stój pan i nie odchódź.

Szeliga pozostał niemy i jak wkuty.

Mówiono przy kanapie i dokoła stołu o wszystkim co na myśl przyszło, o profesorach, o materialnych warunkach pobytu w Kijowie, o niektórych wykładach, o doktoryzacji, którą p. Euzebiusz miał tu odbywać, ale kwestyj tak upragnionych naukowych i społecznych nie poruszył nikt. Czekano na Mistrza.

Parę razy któryś z młodzieży z przelaju coś rzucił na stół, nikt tego nie podniósł. Pan Euzebiusz opowiadał gospodyni o pięknych brzegach Renu, a studentom o pielgrzymkach ich kolegów niemieckich ponad nimi.

Po kilkakrotnych zapytaniach na migi uczynionych przez starą Agatę względem roznoszenia herbaty, na ostatek Heliodora dała znak przyzwalający i miano ją roznosić, gdy Mistrz ze swym sztabem, złożonym z kilku adeptów najśmielszych, ukazał się nareszcie w progu. Wszystkich oczy zwróciły się na niego: błady był, wejście miał jeszcze błędniejsze i staranniejsze i staranniejsze niż zwykle,

ale ubiór jego trochę staramiejszy dawał poznać, że myślał jak się tu pokaże.

Heliodora miała przygotowany frazes przy przedstawieniu dwóch mężów wzajemnym. Poczęła od młodszego, a potem dodała:

— Pan Jewłaszewski, naszej młodzieży mistrz i ukochany ojciec, nasz luminarz, o którym niepodobna abyś pan nie słyszał, bo sława jego daleko sięga poza nasze kresy.

Euzebiusz witał go z pewnym respektem, tłumiąc mały uśmieszek, a Jewłaszewski coś burczał pod nosem, niezupełnie będąc rad z takiego zaprezentowania.

Pierwsza chwila zakłopotania przeszła w milczeniu.

Młodzież kołem wielkim otoczyła tych panów, oczekując na ich starcie ze sobą. Jewłaszewski zaś, parę frazesów rzuciwszy, wnet zamilkł. Pan Euzebiusz zmierzył go oczyma raz i drugi i dalej coś mówił z gospodynią.

Podawano herbatę.

Słuchacze, przybyli aby być świadkami starcia, gorąca młodzież wyczekiwała niecierpliwie na próżno.

— Ale słuchaj no, Zyżycki — odezwał się jeden po cichu — póki to tego będzie? Trzeba im koniecznie kość rzucić, aby się pogryźli.., Jewłaszewski mruk jest dopóki potu nie poczuje. Nie ma rady, trzeba aby jeden z nas podniósł jaką kwestię..

Zgadziali się na to wszyscy, i młody Helmer, z nazwiska niby Niemiec, ale z rodu i charakteru Chochół czystej krwi, przystąpiwszy do stolika, począł panu Euzebiuszowi wyklądać najnowszą teorię społeczną, wedle ewangelii Jewłaszewskiego, ciągle się odnosząc do niego. Nastawał szczególnie na starosłowiańskie, jakoby wydobyte z mroków przeszłości, prawa i zwyczaje nowej organizacji gmin i podziału własności itp.

Pan Euzebiusz słuchał bardzo cierpliwie, niekiedy nawet trochę już jękającym się Helmerowi podpowiadając z Haxthauzena.

Gdy wykładający dokończył stało się milczenie. Komnacki patrzył wprost pod stół, zdawał się namyślać.

— To nie są wcale rzeczy nowe — rzekł w końcu — wszystkie społeczeństwa od takich organizmów zaczynały i przez nie przeszły, ale żeby do nich powracać drogą rozumowania i teorii, byłoby to dobrowolnie cofać się nazad ku barbarzyństwu.

Jewłaszewski słuchając zarumienił się nieco.

— Wyznasz pan — rzekł sucho i aforystycznie — że dzisiejsze stosunki społeczne w Europie nie są wcale ideałem i że z pomocą tej niby cywilizacji, która się przeżyła, doszedłszy do takich rezultatów, ludzkość ma prawo czegoś lepszego szukać na innej drodze.

— Ludzkość ma zawsze prawo szukać polepszenia swego bytu — odparł Euzebiusz — to jej ziemskie zadanie, lecz po drogach już ubitych i zbadanych nie ma po co chodzić raz wtóry.

— Właśnie pytanie, czy to są drogi już zbadane — rzekł Jewłaszewski... — Każdy naród ma swe posłannictwo i we własnej skarbnicy szukać powinien ziarna, to skarbnica nasza... Ziarno stare może dawniej zejść nie miało czasu.

— A dla mnie to pytanie — rzekł Euzebiusz — czy ziarno jest nasze. Widzę je wszędzie w pierwotnych organizacjach społeczeństwa jako przygotowawcze i przechodowe.

Jewłaszewski wydał usta mocno, rzucił okiem po swym audytorium z wyrazem małego szyderstwa i zamilkł.

Zrobiło się cicho.

Ostatnie słowo dawało jakby zwycięstwo przybyszowi, nikt nie miał ochoty się odzywać, gdy w miejsce Helmera wystąpił drugi młodzieniec z patetycznym dowodzeniem o konieczności reform radykalnych, burzących, aby plac do czynu dla przyszłości oczyścić.

Odwoływał się też w swych argumentacjach do Jewłaszewskiego, który okazywał znaki zniecierpliwienia i nieukontentowania.

Zaczepony wprost Euzebiusz widząc, że idzie o wyznanie wiary, nie wahał się z nim i począł spokojnie bardzo.

— Tak jest! tak jest! potrzeba reform, trzeba ulepszeń, trzeba postępu, ale zarazem jasnego pojęcia jak się on w historii objawia.

Widzimy go czasem następującym po wielkim kataklizmie, burzeniu i niszczeniu, to prawda, lecz daleko dzielniejszy, pewniejszy jest postęp stopniowy, powolny i nie rewolucyjny. Wielkie kataklizmy historyczne zawsze prawie wychodzą na korzyść nie tym co się do ich spełnienia przyczyniali, co je wywołali, ale obcym, świadkom bezczynnym... Instykt burzenia właściwy jest narodom dziecinnym lub dziecinniałym.

Jewłaszewski spojrział po swoich, młodzież osłupiała, zachowała się milcząco, nie odpowiedział nikt bardzo długo.

— A tak! tak! — przebaknął Mistrz, popiwszy herbatą, powoli noga za nogą, kulejąc za jakie dziesięć pokoleń dojdzie się do tego, że się namaca chorobę, a za drugie dziesięć trochę ją podkuruje...

Rzekł to po cichu z ironią wielką.

— Praca około postępu skalą naszego życia nie powinna się mierzyć — rzekł Euzebiusz. — Ludzkość cała, zbiorowy człowiek ma żywot jeden, którego my jesteśmy maleńkimi czynnikami... Jednostkom może być z tym wygodnie, ale cóż znaczą jednostki?

Znowu patrzano po sobie, nikt już nie próbował zaczepiać Komnackiego, który pozostał odosobniony, jakby między nim a otaczającymi otwarta wojna wypowiedziana została.

Jewłaszewski nie wdawał się już w dalszą polemikę, widząc że krańcowe od siebie teorie jego i przywiezione z zagranicy przez Euzebiusza się różniły.

Sarkastyczny uśmiech błędził po jego wargach.

Ewaryst patrzył jak Zonia w czasie tej krótkiej wymiany słów stała wpatrzona i wsłuchana w Euzebiusza, brwi zmarszczywszy; spojrziała potem na Jewłaszewskiego i czekała co dalej nastąpi. Mło-

lziez gorączkowo po kątach się ucierała. Pani Heliodora siedząca przy swym gościu była, jako kobieta, wyraźnie pod wrażeniem nowości i łatwo można było poznać, że Mistrz stracił wiele w jej przekonaniu.

Uparte jego milczenie, bądź co bądź, kazało się braku odwagi i wiary w siebie domyślać.

Rozmowa stała się gwarną i rozdzieliła po grupach. Gość zwrócił się na klimat, porównując ten, w którym żył lat kilka, z miejscowym. Wpadł na meteorologię, ktoś wtrącił żarcik jakiś i on mu dopomógł wesoło wtórując.

Słowem, mistrzowi wydał się bardzo pospolitym.

Zagadnięty w kątku przez Zyżyckiego Jewłaszewski.

— A cóż, ojcze?

— A co? młokoś niedowarzony i pedant! — odpowiedział Mistrz, odwracając się. — Nie ma z kim gadać!

Zonia którą jej wielbiciel zapytał cicho o zdanie, odparła.

— Nie rozumiem go, widzę tylko, że nas z pogardą traktuje i zbywa lada czym... Wyraźnie unika polemiki.

Ścisnęła ramionami.

Wielkie oczekiwania jakiejś walnej bitwy musiały się na tym szarmyclu rozbić, bo nikt już nie spodziewał się, aby Jewłaszewski albo Euzebiusz podniósł rękawicę.

Adepci Mistrza nadto byli przejęci długo ssanymi teoriami jego, aby się łatwo pobić dali i nawrócić, niektórzy jednak z nich chodzili zadumani, przeżuując słowa Euzebiuszowe...

Zdania były chwiejne i rozdwojone.

Ku końcowi już wieczora Zonia miała zręczność zbliżyć się do gościa i rzuciła mu kilka pytań w przedmiocie, który ją najbardziej obchodził, co do praw kobiety i kwestii jej emancypacji.

Gorąco poczęła na niewolę niewiast utyskiwać, nalegać na potrzebę wyzwolenia, i w końcu tak nacisnęła dosyć milczącego pana Euzebiusza, że odpowiedzieć jej musiał.

— To, co pani nazywasz kwestią praw kobiety, a co nią być mogło w średnich wiekach, dziś nie istnieje. Prawie we wszystkich cywilizowanych narodach kobieta ma też same prawa co mężczyzna. Kwestia cała zamyka się w uzdolnieniu. Jak mężczyźni, tak kobiety nierówno są wyposażeni, nie każda być może panną Herschell, ale każdej jest to dozwolone. Kto w sobie czuje siły, odwagę, wytrwałość, czemuż by nie miał dobijać się stanowiska, do którego czuje się zdolnym?...

W Ameryce kobiety zajmują katedry po uniwersytetach... mogą się ich dobić i u nas!

Uśmiechnął się dwuznacznie.

Zbyta w ten sposób Zonia, nie mając się o co z nim sprzeczać, za-

milka. Był bardzo grzeczny i w wyrazach pochlebnych nader, win-
szował jej zapału do nauki, o którym już słyszał.

W ogólności nadzieje pokładane na panu Euzebiuszu mocno za-
wiedzione zostały. Znajdowano go zimnym, unikającym rozmowy
serio, pogardliwym nie mało, choć nie chybił nikomu. Młodzież mó-
wiła, że sztywny był i krochmalny. Ci, którzy wyglądali fajerwerku,
powiadali, że brakło mu na geniuszu i wymowie... Słowem, jedno
można było z tych sądów wniesć, że nie zrobił wrażenia wcale, ale
w głębi duszy tych co go słuchali, choć się nie przyznawali do tego,
został ślad trwały, materiał bogaty do rozmyślań.

Jewłaszewski, który zawsze prawie każdego wieczora miał choć
jedną chwilę „wniebowzięcia“, natchnienia i zapału, który improwi-
zował coś chaotycznie niezrozumiałego, lecz tak zaprawnego, że upa-
jało, tego dnia chodził ostygły i jak nie swój.

Już było po dziesiątej, gdy na dany przez Euzebiusza znak Ewa-
ryst poszukał kapelusza, aby się wymknąć z nim razem. Znaczniej-
sza część zgromadzenia pozostała jeszcze z panią Heliodorą, i dopiero
po wyjściu Komnackiego towarzystwo się ożywiło, wybuchnęły zda-
nia sądy i przekąsy.

Mistrz ponury, milczał. Gospodyni słuchała nie mówiąc swojego
zdania; młodzież zbywała żarcikami.

Oczekiwało długo nim nareszcie Jewłaszewski, przygotowawszy
się, zawołał z powagą nakazującą:

— Otóż to są owoce zagranicznego wychowania! Młodzież po-
wraca nam obca wszystkiemu co nasze, nie rozumiejąca ani potrzeb,
ni tradycji, z umysłem przykrajany do niemieckiej lub francuskiej
mody, a my w pokorze ducha padamy na twarz przed wielkim ge-
niuszem zachodu!

Sąd ten, w którym była odrobina prawdy, wydeklamowany pięk-
nie, wywołał ogólne uznanie. Mistrz zwyciężył, otoczono go ze czcią,
był rad z siebie i pieczęć tę przyłożywszy do historii pamiętnego
wieczoru, natychmiast się oddalił.

Pilno mu było, a prawdę mówiąc Euzebiusz, postęp, nauka mniej
go teraz daleko obchodziły od własnej sprawy. Biedny człek walczył
dotąd z bardzo ciężkim zadaniem życia ubogiego, podtrzymywanego
różnymi zarobkami niewiadomymi; zjawienie się tej, która była
niegdyś jego żoną, przybywającej jakby umyślnym losu zrządzeniem
dla wyzwolenia, stawiało go w położeniu nader wiele dającym do
myślenia.

Mógł nagle, biorąc tę kobietę życiem znękaną, zwiędłą i mniej
ponętą niż była kiedykolwiek, uzyskać przez nią niezależność.
Tłumaczył się sam przed sobą, że bogactwo było środkiem, który
w jego rękach obficie mógł wyrobić owoce... Głodny dostatku po-
konał się sofizmatami... Kości były rzucone, postanowił opanować
jak swą własność Eudoksją razem z jej majątkiem.

Kobieta przestraszona broniła mu się jak mogła, znając go z przeszłości, wreszcie zdała się już ulegać i zgadzać na wszystko. Trwoga ją zmoęła.

Układano się tym czasem, próbowała jeszcze Eudoksja okupić się od niewoli, Jewłaszewski nie przyjmował żadnej ofiary, trzymał się prawa.

W Wasyliwie nie znalazłszy doradcy, kobieta tak jak ze świecami udawała się do wszystkich świętych i błogosławionych w pieczarach i po cerkwiach, tak myślami szukała między tymi, których poznała w Kijowie człowieka, co by ją mógł ze szpon Jewłaszewskiego ocalić.

Przyszłe życie z tym człowiekiem, gdy myślała o nim, wydawało się męczarnią, miała zostać z pani niewolnicą, skazaną na wieczne wypominanie przeszłości, na surowe zamknięcie w domu... Kto wie? na niedostatek może?

Tonący brzytwy się chwytła. Chodząc myślami po ludziach, do których listy swoje przywiozła i poznała ich w Kijowie, wpadła na ostatek na myśl zwierzenia się Radcy Jabłykinowi. Był to człowiek, który niegdyś żył w przyjaźni z przybranym mężem Eudoksji. Znajomość z nim, odnowiona teraz, sięgała lat dawnych. Ponieważ Jabłykin rzadko do niej przychodził, bo był teraz na wysokim stanowisku i tylko przez pamięć dla przyjaciela jego przyjaciółkę odwiedzał, posłała do niego Anuszkę z zakłębem, aby przybył na chwilę rozmowy.

Jewłaszewski bywał co wieczora. Radcę więc w dzień koniecznie proszono.

Człowiek był poważny na oko, w prywatnym życiu lubiący wygodki i wesołe towarzystwo, dobrego serca, małej głowy, a wielkiego poszanowania dla praw i formalności z nimi związanych. Lat już około sześćdziesięciu, a nierad, by je na nim czytano, zawsze wygolony świeżo, dosyć otyły. Radca stęknął, że musiał wśród dnia na pierwsze piętro się drapać po ociążającym śniadaniu.

Przyjęto go tu ze czcią wielką, posadzono wygodnie, a Eudoksja zaczęła od tego, że padła przed nim na kolana, na cienie nieboszczyka zaklinając, aby ją, biedną sierotę, ratował.

Lzawę było opowiadanie przeszłości, bolesna spowiedź, bez której obejść się nie mogło. Radca słuchał z uwagą nateżoną.

W czasie powieści ruchy rąk tylko oznajmywały, iż stary wąpił, aby Eudoksją ratować było można.

— Sprawa wasza ciężka bardzo, nie zgryź jej jak orzech ani wypluć jak skórnykę chleba... Wszystko zależy od tego człowieka, jaki on jest i czy z nim co zrobić można, jak nic, poddać się potrzeba...

— A uciekać za kraj świata! uciekać! — zawoła Eudoksja.

— Zapewne — rzekł Radca — gdyby można, czemu nie? Myś-

licie, że on łapę zagiąwszy na was nie pilnuje noc i dzień? albo gońić nie będzie? A nuż listy gończe pójdą, a pochwycą gdzie?

Jabłykin ręce rozstawił szeroko i składał je na żołądku, okazując, że niewidział ratunku. Prosiła go jeszcze Eudoksja, aby pośrednikiem był i mówił z Jewłaszewskim. Zaklinała się, że nie miała więcej całego majątku nad pięćdziesiąt tysięcy rubli, z tych połowę gotowa była oddać mężowi, byle ją swobodną zostawił.

Radca przyrzekł wdać się w tę sprawę, ale szepnął na ucho Eudoksji. — E! mateczko, mówicie o pięćdziesięciu, a ja nieboszczyka kieszeń znalazłem!! E! e! — Zakryła sobie oczy jejmość, usiłując wytłumaczyć, czego już Radca nie słuchał, szedł natychmiast do Jewłaszewskiego.

Trzeba było przyjaźni jaką miał dla nieboszczyka, aby go po śniadaniu ona drugi raz na schody drugiego piętra wycofała. Gdy stanął u drzwi ocierał pot z czoła, z brody, z szyi i dyszał, aż go żal było.

Jewłaszewskiego zastał na konferencji z Wańką, który srodze miał potarganą czuprynę. Sposób ten wychowania ludu nie wchodził w teorię Jewłaszewskiego, lecz w praktyce okazywał się czasem niezbędnym.

Radca bardzo mało znanym był Mistrzowi, a urzędowe jego stanowisko i wstret od pospolitowania się wizyty czyniły bardzo dziwną. Jewłaszewski się jej celu odrazu domyślił.

Posadził dygnitarza w krzesło, Wańka uciekł, zaczęła się rozmowa od gorąca i od nieszczęśliwości tych, co na drugie piętro są skazani

Preludia do rozmowy zajęły z kwadrans czasu, dając Jewłaszewskiemu możność rozmyślenia się co miał począć. Radca po-
fuźnie i w tonie przyjacielskim począł rozmowę.

— Ej! stary — rzekł do niego — ja jej przyjacielem, ale i tobie nie wrogiem. Na co tobie się to zda? To wziąć kobietę starą, która do was serca nie ma? a co to będzie za życie? męczarnia dla niej, męka dla ciebie. To proste kobiecisko, ty jej pokazać nigdzie nie będziesz mógł, ma swoje narowy, które tobie będą niemiłe. Nie lepiej ci wziąć dwadzieścia pięć do kieszeni i zostać swobodnym?. Ona z oczów zejdzie... ty się będziesz mógł ożenić...

Oparł się Jewłaszewski, przywiązując do litery prawa, do obowiązków męża i żony, ale Jabłykin słuchać tego nie chciał.

— Co ty mnie takie rzeczy mówić będziesz? — odezwał się — albo my ciebie nie znamy, albo to ty nie zapisany jako liberał i wolnodumiec, u którego żadnej wiary nie ma? albo to nie wiadomo że ty i młodzież bałamucisz? a tu, nagle taki religijny się stałeś i tak szanujący prawo. Bodajesz był zdrów!...

Ostatni argument błądząco okrył twarz Mistrza, który nadzwyczaj gorąco począł się wypierać swych przekonań.

Jabłykin głową kręcił.

Trwało jeszcze chwile, ale już z coraz mniejszym ze strony Jewłaszewskiego oporem, ucieraniem się o żonę, przystawał wreszcie na indemnizacją trzydziestu tysięcy rubli z powodu, jak mówił, że ta kobieta więcej go daleko kosztowała.

Radca zwyciężył.

Wszystko to, wystąpienie do żony, negocjacje z nią, układ ostateczny, wypłata pieniędzy przez ręce Radcy, pokwitowanie i podpiska dana przez Mistrza w takiej tajemnicy się odbyły, że nikt z przyjaciół Jewłaszewskiego nie domyślał się nawet całej sprawy. Wasyliw nikomu o niej nie mówi.

Jednego wieczora, gdy Zyżycki był u Mistrza, spostrzegł zdziwiony mocno, że mieszkanie zajmowane przez malowaną panią stało puste.

— A to, proszę cię, ojczulku — zawołał — albowiem ślepy, albo co, wszak u Wasyliewa ta jejmość co stała na piętrze, ani śladu. Cóż to jest? umarła!

— Albo ja to wiem! — odparł zimno Jewłaszewski.

Wasyliw zapytany przez ciekawego studenta powiedział mu, że wdowa za interesami pilnymi odjechała do Petersburga, wzdychając, iż na mieszkaniu wiele stracił.

Większe jeszcze było zdziwienie Zyżyckiego, gdy w kilka dni potem przybywszy do Jewłaszewskiego, zastał go pakującym się i wybierającym w drogę.

— Cóż to jest? — zapytał

Mistrz namyślał się z odpowiedzią.

— Wiesz co? — rzekł wyciągając rękę i palcem dotykając piersi jego — ja dla ciebie nie chcę mieć tajemnic... Przestrzeżono mnie, że jestem notowany i na oku, muszę zmienić sposób życia, mieszkanie, wszystko... Poświęcę się nauce, zamknę, odosobnię... Mój wpływ uważany był za szkodliwy, to mogło mieć dla mnie i dla was groźne następstwa. Z boleścią serca, ale usuwam się usuwam, muszę.

To mówiąc uściskał Zyżyckiego i otarł suche oczy..

— Bądź zdrów! przyjacielu — rzekł — zobaczymy się w lepszych czasach.

Nazajutrz szeptano sobie po cichu nowinę, że Jewłaszewski był zmuszony się usunąć. Nikt prawie nie wiedział o tem, że zajął mieszkanie naprzeciwko, opróżnione i zapłacone przez Eudoksia. W ulicy wieczorem gdy wychodził, mało go kto mógł poznać, bo wdziewał oficjalny cylinder, włosy miał ułożone jak inni podstarzali kawalerowie, buty długie znikły i owa chłopska fizjognomia

Z domu wychodził bardzo rzadko i to tylko na wista do Radcy, który go polubił bardzo.

Klepał go po ramieniu i szeptał mu na ucho. — E! ty mały! jaki ty rozum miał, że Eudoksji Filipównej nie wzięłaś, a to by ci z nią życie zbrzydło! Pół dnia pokłony bije, a pół dnia się maluje!

Zonia tak unikała Ewarysta, że prawie jej nie widział przez parę miesięcy, a pytać o nią nie miał kogo, iść zaś do niej sił mu brakło. Gdy pomyślał o zgubionym dziewczęciu, płakać mu się chciało.

Madzia, której siostra na listy nie odpisywała, lub odpowiadała tak, że nic z jej pisma oprócz obojętności i lekceważenia wyczytać nie było można, zgłaszała się o wiadomości do Chorążycy, ten odpisywał ogólnikami, aby nie obwiniać, unikając szczegółów, lecz nie tając, że Zonia była bardzo dziwaczną, mało przystępną itp.

Zmuszony wreszcie coś donieść o niej, choć nie widział jej od tak dawna, Ewaryst jednego dnia zmusił się pójść do dworku Sałhanowej. Robiło mu przykrość niezmierną z bliska patrzeć na tę istotę, dla której miał niewymowną sympatię, a ratować jej nie mógł.

We wrotach już z dala zobaczył starą Agafię, zaczepiającą przechodzących dla upragnionej gawędki i śmiechu. Stara była bardzo wesoła, a bez ludzi żyć nie mogła i chwili.

Zobaczywszy go poznała z dala starucha i witać zaczęła, zabierając się prowadzić do gospodyni.

Już weszli w korytarz, gdy Ewarystowi, zmierzającemu do pokoju Zoni, Agafia pokazała drzwi bawialni. Myśląc, że ją tam znajdzie, wszedł Ewaryst

Heliodora sama leżała rozciągnięta na sofie z książką w rękę i cygaretką w ustach. Zerwała się prędko, zobaczywszy Ewarysta.

— Myślałam, że pana w Kiiowie nie ma, rzekła. tyle czasu go nie widziałam...

Ewaryst oczami szukał Zoni.

— A Zonia gdzie? — spytał.

Zdumiona mocno, wdowa rozśmiała się szydersko.

— A to pan nic nie wiesz! — odezwała się — już tygodni ze sześć jak jej u mnie nie ma!

Rażony jak piorunem Dorohub poskoczył ku gospodyni.

— Gdzież jest? — zawołał.

— Wyniosła się — poczęła Heliodora. — Już przyznasz pan, że ja jej tu nie krępowałam niczym, miała swobody ile chciała, robiła co jej do głowy przyszło, ale, dziwaczna! sprzykrzyło jej się tu, no, wyniosła się, nawet nie wiem dokąd, bo jej nie widuję.

Zaniemiał Chorążyc. Był to cios, którego się nie spodziewał.

— Nie może być — rzekł — abyś pani całkiem nic nie wiedziała o niej, zmiłuj się pani nade mną, powiedz...

Wdówka dziwnie pokręciła głowę.

— Pan także się w niej kochałeś, słowo daję — odezwała się — dziewczyna ta ma osobliwe szczęście, wszyscy przepadają za nią i Jewłaszewski.

— Nie wiesz pan może, co się z nim stało? — zapytała.

— Nic nie wiem.

— Jak w wodę wpadł! Osobliwa też rzecz, nagle zwinął chorągiewkę. Powiadają, że jest w mieście, że po urzędnikach na wieczory chodzi, a nikt go z dawnych przyjaciół nie widzi. Takiej dezercji, przyznam się, żem się po nim nie spodziewała! — Pokiwała głową, patrząc w oczy Chorążycowi.

— O Zoni tyle wiem — szepnęła ciszej poufnie — niech pan się tym nie martwi, że Zoriana Szeligę puściła... Zwodził ją, taką śliczną dziewczynę, a miał razem drugą kochankę i to jeszcze kogo! Jak się dowiedziała plunęła w oczy i kazała iść precz.

— Najęła sobie mieszkanie osobno... sama jedna ze służącą. Słyszę schodzą się tam u niej wieczorami, siedzą do późna, co mówią to powtarzać nie chcę. Na dole w tym samym domu mieszka Teofil Zagajło, Litwin, akademik, medyk, ten, słyszę, nie wychodzi od niej, pokochali się bardzo.

— Byle tylko znów tak nie było jak z Zorianem. — Umilkła, patrząc wciąż na zboląłego Ewarysta, który ze spuszczonej oczyma siedział zabity, niemy, bez ducha prawie, powtarzając po cichu:

— Nieszczęśliwa! zgubiona!

Widząc go tak znękanym żał się zrobiło kobiecie, która serce miała aż nadto dobre i miękkie, wzięła go zwolna za rękę i dodała pocieszając:

— Już to prawda, jak mamę kocham, że za nic i za nikogo ręczyć nie można. Człowiek sam za siebie nie wie czy by ręczył! No, ale co do Zoni ja panu powiadam, ona taka zuchwała jest, szalona, lecz rozum ma i wziąć się tak nie da! O! nie! Cóż z tego, kiedy ludzie patrząc co wyrabia myślą sobie nie wiedzieć co i szkalują ją. A ona o to nic a nic nie dba. Patrzy śmiało wszystkim w oczy, plećcie co chcecie.

— Cóż to znowu za Zagajło? — spytał słabym głosem Ewaryst. — Pani go zna?

— Widziałam go, chłopiec niczego, roztropny bardzo, ale zawierucha — mówiła Heliodora — porywczy, gorączka. Ubogi bardzo, wygląda dosyć dobrze, gada dużo, klócić się lubi...

— Mnie się zdaje — dodała — że ona i z tym niedługo zerwie, bo czego chce trudno odgadnąć!

Ewaryst nie miał już co mówić, a wdowa ciągnęła dalej.

— Czemu pan bo czasem nie zajdziesz do mnie! Ot byś sobie wieczorek przepędził spokojnie, bo u mnie teraz tak dużo osób nie bywa, od czasu jak Jewłaszewskiego nie stało... Czasem tam parę znajomych, a częściej nikogo... Mnie pana żal, tak żyjesz samotnie, a zadurzyłeś się niepotrzebnie w tym trzpiocie...

Grzecznie podziękowawszy Ewaryst po krótkiej rozmowie pożegnał gospodynię, która go aż w korytarz, ciągle zapraszając na herbatki, wyprowadziła.

Nie trudno było dowiedzieć się o nowe mieszkanie Zoni, gdyż stara Agafia zaczęła go na wychodnym i wskazała mu je bardzo dokładnie. Ewaryst nowym niebezpieczeństwem biednej dziewczyny rozbudzony, postanowił tegoż dnia jeszcze pójść do niej.

W kamienicy pokazano mu mieszkanie na tyle od dziedzińca, w którym się już świeciło. Służąca niepozorna otworzyła drzwi nie oznajmując.

W pokoju siedziała Zonia sama, opodał od stołu, zmęczona i tak smętna jak gdy ją widział ostatnią razą.

Gdy Chorążyc wszedł podniosła się powoli, idąc ku niemu i przywitała zimno...

— Dawnośmy się nie widzieli — rzekła przypatrując mu się.

— Tak, dawno — wyjąknął głosem zbolałym Chorążyc — żem nawet nie wiedział gdzie szukać panny Zofii.

— A! a! porzuciłam Heliodorę — odezwała się żywo — dobra kobieta, ale ograniczona, a panować chciała nade mną i dawać mi rady! Ja tego nie lubię.

Wskazała krzeselko.

— Teraz jam sobie sama pani!

Ewaryst nie mogąc pochwalić tego, milczał.

— Wam, ludziom starego świata wydaje się to szkaradą jakąś. — Panna! sama jedna i przyjmująca u siebie mnóstwo młodzieży, a na dole w tym samym domu akademik.

— Pan Teofil Zagajło? — wtrącił Ewaryst.

— Już wiesz? — pochwyciła rumieniąc się Zonia, jestem pewna, że Heliodora to zwiastowała, dodając, że jest moim kochankiem!

Nagle wstrzymała się i dodała:

— A! powinnam się wytłumaczyć z mojej zerwanej przyjaźni z panem Zorianem, bo przypominam sobie, że go kocham. A! kochałam go szalenie, choć wart tego nie był. Istota jakaś ślimaczej natury, bez energii, bez serca, zbydlęcona... pfe! pfe!

A! jak nas ludzie okrutnie zwodzą — mówiła coraz żywiej. — Jak orzechów tych ludzi, więcej pustych i robaczliwych niż do-brych, zęby na nich psują, aby mieć usta pełne próchna!

Pfe!

Od czasu jakeśmy się widzieli zostałam straszna pesymistką! Życie jak komedia bez sensu, snem jakimś i zmorą... ciąży, dolega a nie oplaca się niczym... Plugawa kałuża ten wasz świat!

— Zoniu moja — wtrącił Ewaryst — tak on się może wydaje tym, co na niego oczyma skoszonymi patrzają.

— A, zapewne! wy patrzycie nań prosto! idealisci karmiący się mrzonkami. Aby nie żyć w tej brudnej rzeczywistości, stworzyliście sobie świat, którego nie ma... piękny jak bańka mydlana, ale pusty!

Daj mi z nim spokój!

W tej chwili, ze śpiewką na ustach i cygarem w rękę, bez ceremonii, w kurtce jakiejś, bez chustki, w patoflach na nogach wszedł pan Teofil Zagajło. Zobaczywszy go w tym stroju, Zonia się zarumieniła, on zaczął się przypatrywać Ewarystowi.

— Pan Teofil, mój sąsiad, który w negliżu sobie pozwala mnie odwiedzać, co mu się przebacza, bo pracowity bardzo, nie ma czasu się ubierać.

— A! pewnie — odparł pan Teofil — z kolegami nie robi się ceremonii.

Pierwszy raz z bliska widział Chorążyc tego kolegę. Był to młodzieniec silny, zdrowy, szerokich ramion, rozkwitły bujno, z twarzą nie tak piękną jak rozumną, ale razem wiejącą zawczesnym chłodem. Na wygładzonym czole, w spojrzeniu jasnym i sięgającym do głębi malowało się pojęcie łatwe, inteligencja żywa, lecz jakby przedczesną starością zwiędła. Poezji młodości, jaką ma każda prawie twarz w tym wieku jaki miał Teofil, nie było śladu w nim. Starła ją nieubłagana walka z losem, zawczesne pojednanie się z rzeczywistością czy samo dziwne wewnętrzne usposobienie człowieka, który nie musiał nawet czuć potrzeby uciekania się do żadnych ideałów dla ukraszenia sobie życia.

Było w nim coś rubaszno-żołnierskiego coś co zowią chłopskim; szedł po świecie pewien swej siły i nie wątpiąc, że nad nim zapanuje. Łagodności i przymilania się nie było w nim znaku, raczej umyślnie przybrana szorstkość i wyraz siły stojącej do popisu.

Z Ewarystem przywitał się dosyć obojętnie i poufale, tak samo i z Zonią, z którą zdawał się obchodzić nie tak jakby z kobietą należało.

Siadł zaraz w krześle, rzucając na stół czapeczkę i paląc dalej cygaro. Zonia była jakby zakłopotana tą poufałością zbytnią, z którą się u niej rozsiadał jak w domu, ale wprędce przyszła do siebie i zwróciła się z rozmową do Ewarysta. Pan Teofil mieszał się do niej półsłowami szyderskimi, z jakąś wyższością trochę dziwaczną.

W ogóle nie był to człowiek wstępliwý, mimo gburowatej swej powierzchowności, zdawało się: że nań rachować było można i że pod tą powłoką chropowatą było i serce poczciwe i umysł zdrowo

rozwinęty. Ewaryst mógł sobie łatwo wytłumaczyć przewagę jego nad Zonią, poczuciem siły jaką Żmudzin objawiał. Obcując z nim, potrzeba było albo mu się poddać lub go podbić, a ostatnie musiało być równie trudnym dla serca jak dla ducha, bo Zagajło miał w sobie coś, co go do panowania nad drugimi wyznaczało.

Mówił z taką śmiałością i siłą przekonań, że spór z nim wieść było próżnym. W równym wieku z Ewarystem, obchodził się z nim jakby z młokosem, z góry nań spoglądając. Z Zoni pozwalał sobie żartów delikatnych, ale tak dla niej nieprzyjemnych, że ciągle rumienił się i niecierpliwie musiała.

Rozmowa o sprawach ogólnych wywołała z jego strony surowe krytyki wszystkiego o co potrącono, nie przebaczał ani nauczycielom, ani współpracownikom. Mówił zwięźle, stanowczo prawie i nie chcąc słuchać opozycji. Zonia z widocznym niepokojem słuchała go, patrząc jakie wrażenie czyni na Ewaryście, który więcej mu dawał mówić, niż sam się odzywał.

Wspomniano coś o Jewłaszewskim.

— Komediant! — zawołał Zagajło — skończył jak oni wszyscy, schowawszy się za kulisy. Nigdy nie byłem wielkim jego wielbicielem, bo często cały wieczór go słuchając, gdym kwintesencję chciał wycisnąć z tego co wygłaszał z taką prozopopeją, kropli nie wydusiłem z tego próchna.

U mnie człowiek jest w czynie, a słowo!... to zdawkowa moneta tych, którzy grubej nie mają.

Widząc, że gościa tego, który tu był jak w domu, nie przesiedzi i z Zonią się już nie będzie mógł rozmówić, Chorążyc pożegnał ją, zostawując pana Teofila, który wołał służącą właśnie, aby podawała herbatę.

Całe obejście się jego u Zoni rażące było jakąś samowolą zbytętną, którą ona znosiła bez szemrania. Czasem tylko brwi się jej ścierały i sznurowały usta, jakby chciała wybuchnąć, lecz wprędce siła tego człowieka brała górę.

Z przykrym wrażeniem, które zawsze wynosił z sobą, ile razy Zonię widział, powrócił pan Ewaryst do domu. Niewymowny żal tej zbłąkanej dziewczyny nie dał mu długo niczym się zająć. Myślał, wzdychał i znużony tym dumanie bezowocnym, wziął się do jednego lekarstwa, którego zwykł był używać, gdy mu co dolegało. Zasiadł do książek i pracy.

Wieczór już był późny, dzień jesienny, ciepły i piękny. Noc nadeszła niepostrzeżona, a jej cisza nadto sprzyjała pracy, którą był zajęty Ewaryst, by mu się ją chciało przerywać.

Pozbył się natrętnych myśli, zatopił cały w swych studiach i ani zważał jak zegarek na kominie stojący wybił północ. W domu wszystko już, jeśli nie spało, to się uciszyło. Okno jego pokoju otwarte wychodziło na ulicę, w której głuche milczenie małego

miasteczka ledwie kiedy niekiedy krok spóźnionego przechodnia przerywał, zbliżając się i ginąc potem w oddali.

Okolo pierwszej było, gdy wśród tego uspienia niezwyčajny jakiś szmer z ulicy uderzył jego ucho. Szedł ktoś a raczej biegł krokiem nierównym, przerywanym, pośpiesznym, to omdlewającym. Coś jak jęk głuchy, głos stłumiony na wpół płaczem odezwał się też u drzwi kamienicy, w które słabe uderzenie słyszeć się dało.

Ewaryst wyjrzał i w mroku zobaczył kogoś stojącego u wnijscia. Była to kobieta... ręką bezsilną biła we drzwi, opierając się głową o nie. Jakiś przecuciem wiedziony Ewaryst chwycił świecę i zbiegł co prędzej ze schodów z kluczem, aby zobaczyć kto to mógł być.

Gdy drzwi otworzył, ujrzał przed sobą Zonie z rozpuszczonymi włosami, nieubraną, okrytą chustką narzuconą na pędece. Twarz jej miała wyraz obłąkania, oczy biegały wkoło przelekkie, usta nie mogły wydać głosu. Rękami drżącymi wskazała poza siebie.

— Zabiłam! — krzyknęła — ratuj mnie. Nie wiem... nie wiem, co mam zrobić z sobą — zabiłam.

Nie mogła mówić więcej i oparła się o ścianę, czoło gorące tuląc do niej, jakby je chciała ostudzić.

Chorażyc nie mogąc pojąć co się jej stało, na pół zemdloną ujął za rękę i siłą niemal poprowadził z sobą. Szła bezmyślna i posłuszna, jęcząc i dysząc, a gdy się znaleźli na górze padła w krzesło, zakrywając sobie oczy.

Ewaryst podał jej wody, odtrąciła ją.

Mów na Boga, co się stało! — zawołał.

— Zabiłam go! — odparła gwałtownie, porywając się z krzesła Zonia — alem niewinną!

Tak, mówiłam mu sto razy, że rewolwer zawsze mam przy sobie, że nie powinien się ważyć progu mojego przestąpić w tej godzinie.

Położyłam się w łóżko, niepoczciwa służąca otworzyła drzwi, śmiał wnijsć do mnie po nocy. Lampka się paliła, bo nie cierpię, ciemności, zobaczyłam go wprost idącego do mnie. Zawołałam, że strzełę, nie słuchał, śmiał się, rzucił się ku mnie.

Zakryła sobie oczy.

— Padł we krwi się tarzając! Zabiłam go! tak! a takem go kochała. O! ja nieszczęśliwa! Widzę go jak padł z jękiem, za piersi się chwytając i krzycząc.

— Szalona! — Tak! Byłam szalona, byłam niegodziwa... a teraz sobie chyba odbiorę życie.

Jęku i płaczu jej niepodobna było utulić. Ewaryst nie wiedząc sam co ma zrobić, wahał się czy iść dowiedzieć się o Zagajkę, czy pilnować ją tutaj, aby sobie życia nie odebrała.

W tej niepewności, gdy jeszcze walczył z sobą, Zonia się zerwała nagle i krzyknęła:

— Chodź ze mną!

— Tak, ja tam powinnam być na miejscu i nie uciekać, ani kłamać. Com spełniła, tego się nie wstydzę, ale żałuję! ach żałuję. Bez niego żyć? Na cóż mi życie...

I otulając się chustką poczęła niecierpliwie biec ku drzwiom, nagłać.

— Ze mną, chodź ze mną! chodź tam! ja muszę tam być...

Chorażyc, nie wiedząc prawie co czyni, bo czasu do rozmysłu nie miał, chwycił czapkę, ciągnęła go gwałtownie, wołając zdyszana:

— Chodź! idźmy!

W ulicach było pusto, biegiem prawie pędziła Zonia, nie rozpoznając drogi, padając co chwila, tak że ją Ewaryst przytrzymywać musiał i prowadzić... Gdy się zbliżyli ku mieszkaniu, Zonia się zatrzymała z trwogą patrząc na kamienicę.

Chorażyc spostrzegł na pierwszy rzut oka, że wypadek nie musiał być tak strasznym jak się wydał Zoni, gdyż około kamienicy żadnego nadzwyczajnego znaku życia ani zbiegowiska nie było. Stała czarna, milcząca, i drzwiami tylko wchodowe na pół otwarte, którymi wybiegła Zonia, świadczyły, że po niej nikt nie wychodził później ani spostrzegł, że stały otworem.

Milczenie to dziwnym się zdało i jej nawet, uspokoiła się nieco, ciągnąc za sobą Ewarysta. Gdy weszli w podwórze, znaleźli je milczącym i pustym także, na piętrze tylko drzwi mieszkania Zoni otwarte były całkiem i świeciło w nich. Z trwogą posuwała się ona ku nim, sięgając okiem w głąb, tu nie było nikogo, sprzęty tylko porozsuwane, nieład, krwawe szmaty porzucone, a w drugim pokoiku przy łóżku Zoni na podłodze ogromna plama krwi zaschłej. Zobaczywszy ją, Zonia się cofnęła z krzykiem do pierwszego pokoju.

Ewaryst, posadziwszy ją w krzesło, sam zbiegł co prędzej szukać służki i, jak się domyślał, rannego pana Teofila.

Wiedział, że ten stał na dole i po głosach, które z wnętrza się słyszeć mu dały, doszedł łatwo mieszkania Zagajły.

Ruch w nim był widocznie tłumiony umyślnie, aby nie pobudzić sąsiadów. Ewaryst wsunął się śmiało. W dosyć obszernej jedynej izbie za parawanem słyhać było żwawą rozmowę i krzątanie. Służąca Zoni biegała z wodą i płatkami. Ewaryst ujrzał na łóżku leżącego rannego pana Teofila, któremu dwu z sąsiedztwa zwołanych studentów rany opatrywało. Zagajło leżał z ustami zaciśniętymi, z zamkniętymi oczyma, błady, pomazany krwią, ale z wyrazem męstwa i obojętności, dowodzącym wielkiej siły charakteru.

Wtem jeden z opatrujących ranę, odwróciwszy się spostrzegł i poznał Ewarysta.

— A pan tu co robisz? — zapytał?

— Łatwo się domyśleć — rzekł Chorażyc — mówcie, jest niebezpieczeństwo?

—Ba! — odparł jeden z opatrujących — o włos a byłaby go po-

łożyła trupem. Szczęściem kula siły wielkiej nie miała, ośliznęła się po żebrach, ale będzie miał lizać się z czego!

Leżący otworzył oczy, skierował je na Ewarysta, poznał go i rzekł głosem suchym, prędkim:

— Powiedz-że jej pan, że nie ma nic — głupstwo! ja winieniem! Żart był niedorzeczny! Gotowa sobie co zrobić, powiedz jej, że rana nie znacząca — trochę krwi.

Zamknął szybko oczy, a Ewaryst co prędzej pobiegł na górę. Zonia, jak ją porzucił, siedziała w krześle, z głową z poręczy zwieszoną... Usłyszawszy zbliżającego się porwała konwulsyjnym ruchem, oczyma chciała z twarzy wyczytać co przynosi.

— Uspokój się — rzekł Ewaryst — daję słowo, że jest zaledwie ranny, żadne niebezpieczeństwo mu nie zagraża... ma dwóch co go opatrują. Przytomności nie stracił wcale, krwi tylko ubiegło mu trochę.

— Zdaje się, że w domu nikt nawet strzału nie słyszał.

Razem z Chorążycem służąca onieśmielona pokazała się w progu, jakby pani w pomoc przyjść chciała. Zobaczywszy ją gniewna Zonia ruchem ręki wskazała jej, aby szła precz.

Chciała coś powiedzieć.

— Precz! zawołała dziewczyna — idź, nie pokazuj mi się.

Wiadomość, którą Ewaryst jej przyniósł, zwolna zdawała się ją uspokajać. Siadła znowu w krześle zadumana. Teraz dopiero, gdy wielka trwoga odeszła, poczuła znużenie i bliską będąc mdłości, zażądała wody.

Chorążyc sam jeden musiał nie bardzo umiejętnie przyjść na ratunek. Niepodobna było ją tak opuścić samą, służąca bowiem, znając swą panią, natychmiast zabrawszy co miała wyniosła się tak, że w pół godziny jej już nie było.

Wyszedszy z mdłości, Zonia zwolna odzyskała przytomność i sama zajęła się sobą. Ewaryst chciał ją namówić, aby się położyła, ofiarując pozostać na straży, choćby za drzwiami.

— Krew — krew! ja tam nie pójdę! — odparło dziewczę.

Dniało już, gdy Chorążyc szepnął jej, że mógłby odprowadzić do Heliodory. Myśl tę pochwyliła żywo, poprawiła ledwie ubranie i wyszła. W sieniach stanęła na chwilę u drzwi Teofila, niepewna, jakby do niego wniknąć chciała, lecz Ewaryst, ujawszy ją za rękę silnie, gwałtem prawie uprowadził.

Przez całą drogę szła milcząca i jak nieprzytomna, ślaniając się... Dopiero u dworku Sałhanowej, który stał jeszcze zamknięty, wskazała okno, do którego zastukać było potrzeba, aby staruszkę obudzić.

Przybycie Zoni o tej godzinie, w tym stanie jakimś nieprzytomności, poruszyło wnet dom cały. Agafia poszła zbudzić panią Heliodorę, która nierychło, bledsza niż zwyczajnie, cała drżąca, okryta szlafroczykiem jakimś, bosa zjawiła się w salonie, a zobaczywszy

Ewarysta cofnęła z krzykiem. Długiego czasu było potrzeba nim się przeze drzwi można było zrozumieć.

Zonia zaledwie wszedłszy do saloniku powlokła się ku sofie, położyła na niej i jakby cudem, natychmiast usnęła...

Chorażyc więc miał czas, nieco już ogarniętej w sąsiednim gabinecie, pani Heliodorze opowiedzieć wszystko.

Wdowa słuchała zdumiona tak, że tylko półsłówkami mu przerywała...

— A mówiłam — odezwała się na ostatku, ochłonawszy nieco — mówiłam zawsze, że się to okropnie skończy. Ta Zonia! no, proszę ja pana! z pistoletem! jak mamę kocham! Co to będzie! co to będzie! Uchowaj Boże śledztwa!

— Sądzę — dodał Ewaryst — że się to wszystko cicho skończy. W domu nikt podobno nie słyszał i nie wie, a pan Teofil chwalić się nie będzie z rany, na którą zasłużył.

Heliodora wciąż ramionami ruszała.

— Jak mamę szczerze kocham, odezwała się po cichu oczy spuszczone — ja myślałam, że oni z sobą byli już tak, że proszę pana, to nie do uwierzenia. Niech pan sobie przypomni co ja mu mówiłam... z nią nie ma co żartować! To dziewczyna szalona.

— Co teraz z nią począć?

Dzień się robił, gdy Chorażyc wyszedł od wdowy, która mu przyrzekła czuwać nad Zonią. Na palcach przesuwając się przez salonik zobaczył ją leżącą na sofie, jak była padła na nią, i głęboko uspioną. Zmarszczone brwi i bolesny wyraz ust jakby marzenia przykre zdradzały... Heliodora stanęła nad nią z załamanymi rękami, a stara Agafia, nie rozumiejąc nic jeszcze, czekała pożerana ciekawością, aby się dowiedzieć co się stało z tą „hołubką“.

Nazajutrz, niewiele spoczawszy, Chorażyc powrócił około południa do pani Heliodory, u której dotąd pozamykane były okiennice. W bramie Sałhanowa powiedziała mu na ucho, że „hołubka“ spała jeszcze.

Wzdychała ciężko staruszka i potrzasała głową.

— Oj to, panoczku, czasy! to czasy! chyba niedługo czekać na antychrysta! Co to się dzieje! Jakie to teraz chłopcy, jakie dziewczęta. Prawda, bywało i dawniej różnie, od czego młodość! Ale się choć Boga bał, panoczku, a pokutowali — a teraz!

Rzuciła ręką.

W sieniach wyszedłszy ku niemu pani Heliodora oznajmiła, że Zonia twardym snem kamiennym spała jeszcze. Jęczała tylko przez sen i wyrazy się jej wyrwały niezrozumiale. Wdowa nie chciała ją budzić spodziewając się, że tak snem przejdzie wszystko.

Tego dnia więc Ewaryst się już nie dowiadywał, zapewniwszy, że Heliodora o chorej mieć będzie staranie. Rano znalazł okiennice otwarte i starą Agafię z rękami w kieszeniach u wrót na swym stanowisku.

— A co, przychodzicie się o hołubkę dowiedzieć? nieprawda?? — odezwała się — no, ja już nic nie powiem, bo ja nie rozumiem nic, idźcie do pani, ona wam wytłumaczy, kto ich dziś zrozumie!

Z poplątanej mowy Agafii Ewaryst tylko domyślił się, że Zonia gorzej nie było.

Heliadora wyszła do niego z papierosem.

— Jak się ma Zonia? — zapytał.

— Cóż? — zdrowa — rzekła obojętnie wdowa. — Wyspała się, siły jej wróciły i co myślicie, zrobiła gdy wstała? Pierwsza rzecz, że ona powinna tam być u łóżka chorego, aby go pilnować!

Com się naprosiła, co naperswadowała! Z nią wszystko groch na ścianę, bo to upór jakiego drugiego nie masz. No i koniec końcem powlokła się, jestem pewna, że teraz przy chorym siedzi!

Kwaśno dokończywszy wdowa chciała dłużej rozpowiadać o sobie, jak się w nocy nastraszyła gdy ją obudzono, jakie miała uczucia, wrażenia, jak ją później okropnie głowa bolała itp., lecz Chorążyc, podziękowawszy za przyjacielską pomoc, pośpieszył szukać Zoni.

W mieszkaniu jej, w którym nowa służąca, polecona przez Agafię, gospodarowała, nie było nikogo. Powiedziała Chorążycowi pomywając właśnie podłogę niemłoda kobieta, że panna była na dole u studenta.

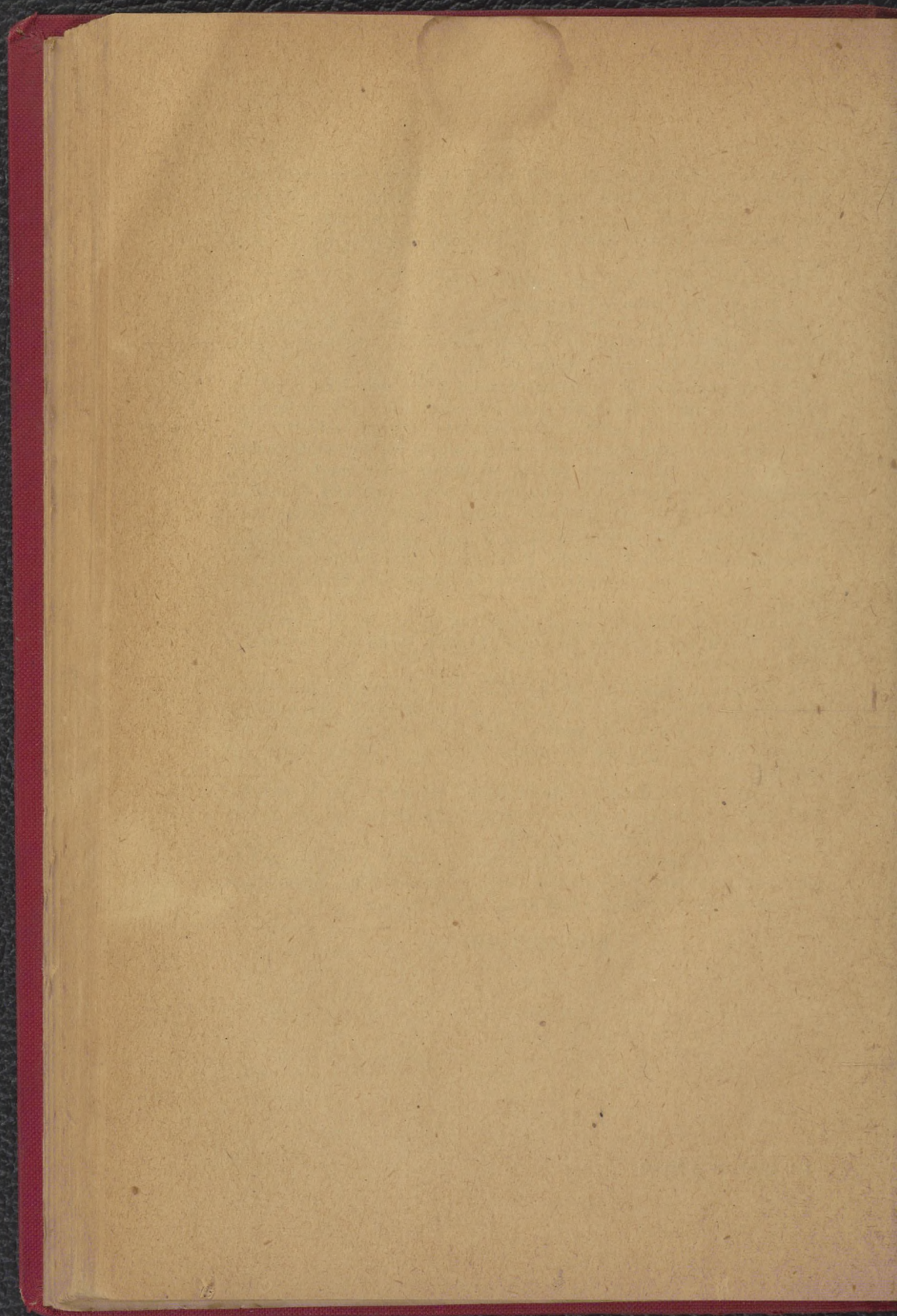
Ewaryst wchodzić tam teraz nie chciał, prosił, by ją wywołano; Zonia wyszła już zupełnie spokojna, bledsza tylko niż zwykle i z ustami spalonymi.

— Widzisz — odezwała się do Chorążycy — miejsce moje przy nim. Dzięki Bogu, że żyje, bo ja bym go nie przeżyła. Nie odstąpię od łóżka, póki zdrów nie będzie. Jest tak pocziwy, że mnie nie obwinia i nie gniewa się na mnie. Kocham go więcej niż dawniej.

Chorążyc nie wiedział co odpowiedzieć, tłumaczyć jej niestosowność tego postępowania było daremnym, bo zrozumieć nie mogła i nie chciała co nie było po jej myśli.

Krótko podziękowawszy Ewarystowi za pomoc i opiekę, podała mu rękę spojrzawszy nań okiem jakimś obłąkanym, zeszkłym. I śpiesznie weszła nazad do chorego izdebki.

KONIEC TOMU I.



SZALONA

TOM II

STATION
TOM

Chorażyc przybył na Święta Wielkanocne do Zamiłowa, gdzie nań jak zawsze oczekiwano i wyglądano przyjazdu z niecierpliwością.

W ciągu tego roku stary ojciec jego, jak to podziłym ludziom, co się długo dobrze i krzepko trzymają, trafia często, nagle był na zdrowiu podupadł. Przyczyna choroby była mało znacząca, jakieś przeziębienie; choroba sama nie miała charakteru groźnego, skutki jej okazały się daleko smutniejsze niż przewidywano. Przeleżawszy długo w łóżku, pan Eliaz wstał z niego o kiju, nogi mu brzękły, osłabiony był znacznie. Biedna Chorażyna zalewała się łzami, on zaś sam jak nigdy wesołego udawał, żartował i usiłował dla uspokojenia żony ukryć cierpienie.

Czuł jednak dobrze, że się koniec zbliża i starym obyczajem, nie trwożąc nikogo, ze spokojem umysłu i przytomnością wielką rozporządzał zawczasu wszystko tak, aby, uchowaj Boże czego, Jejmości oszczędzić kłopotu, zostawić w porządku interesa, obmyśleć nawet pogrzeb własny, oszczędzając biednej Elżusi wszelkiego zachodu.

Z tą delikatnością jaką tylko wielka daje miłość i moc charakteru, Choraży czynił przygotowania te tak, ażeby się ich nawet Elżunia nie domyślała.

Stary Pius i ks. Zatoka jedni byli wtajemniczeni i do pobożnego kłamstwa dopomagali.

Ksiądz na próżno usiłował dowieść, że nic tak pilnego nie było.

— Pan Choraży bo się trwożysz na próżno — mówił doń sam na sam — nogi odejdą, siły wrócą, będziesz zdrow jak ryba, a to wszystko tylko próżna troska.

— A dajże bo mi Jegomość spokój — odpowiedział z półśmiechem Chorażyc. — Da Pan Bóg zdrowie, niech będzie imię Jego błogosławione, każe się stawić przed swój trybunał, stań się wola Jego. Ja się bynajmniej nie trwożę, a no potrzeba, na wszelki wypadek, zostawić rzeczy w porządku... Biedna Elżusia i tak będzie miała przez wierzch głowy do roboty, trzeba jej oszczędzić troski.

Cóż to szkodzi, że się ład robi?...

Potrzeba było niezmiernych wysiłków umysłu, aby powoływanie urzędnika do pisania testamentu czymś upozorować i Jejmości się nie dać domyśleć, o co w istocie chodziło.

Woził papiery ks. Zatoka, oddawał je w sekrecie stary Pius, przyjmowano sądowe figury niby dla jakiejś sprawy o granicę.

Choraży tak wszystko urządzał bacznie, iż o najmniejszym szczególnie nie zapominał.

— Jak mi się zemrze — mówił — wy tu wszyscy głowy potracicie. Pójdzie wszystko na hałaj na bałaj, urwij, podaj, skorzystają z tego hultaje, szkody narobią!

Więc i trumna w śpichrzu była do miary zrobiona, sucha, i świa-tło w skrzynce zawczasu kupione, do którego, aby się nie dobrały szczury, Choraży okucie kazał dać mocne i postawić w miejscu bezpiecznym.

Ks. Zatoka miał informację co do pogrzebu, który skromnie chciał odbyć kazać Choraży, bez sbytku. Pius wiedział, gdzie i jak, z jakim przyrządem zastawić chleb żałobny.

Rozumie się, że w testamencie nikt zapomniany nie byłż nawet Madzia i Zonia. O tej, że mało było wiadomości, bo rozprowadania o jej losach nawet przed siostrą pan Ewaryst unikał, Choraży jej czyniąc zapis dodał warunek, aby sumy kapitałnej nie miała prawa podnosić, aż za mąż wyszedłszy.

Gdy wszystkie te formalności po cichu dopełnione zostały, stary pan znacznie się uspokoił i jakby dni ostatek sobie i swoim chciał rozweselić, okazywał ciągle myśl dobrą, a żarty się go trzymały, iż jejmość się wydziwić temu nie mogła.

Ze szczególną czułością powitał Choraży syna, bo miał ciągle jakieś złe przecucia, że go już nie zobaczy, a chciał z nim, jako z mężczyzną, pomówić sam na sam o przyszłości, o różnych rzeczach, których pisać i opisywać nie wypadało.

Z równą niecierpliwością czekała na syna matka, bo wierzyła w to, że jego przybycie ojca orzeźwiż a Madzia wyglądała jak brata, spodziewając się, iż z niego przecie coś więcej dobędzie o tej siostrze, o której tak wiedziała mało, że się najgorszych domyślała rzeczy.

Przybywającego Ewarysta znalazła rodzina zmężniałym, ale matka utrzymywała, że wychudł i zmizerniał, że twraz miał jakąś smutną, i po staropolsku chciała tym naukom koniec położyć, a syna wziąć na wieś, folwark mu jeden wypuścić, bodaj już ożenić.

Choraży na to głową kiwał, nie mogąc powiedzieć co myślał, a w duchu mówił: po co jeden folwark wypuszczać, kiedy rychło wszystko mu spadnie na głowę. Miał to starych, pobożnych ludzi jasnowidzenia końca swojego, które dane jest tylko wybranym.

W czasie Świąt gości ciągle było dosyć, zajęcia wiele, a do poufnych cichych rozmów mało zręczności.

Od Wielkiej Nocy do przewodów dnia prawie nie było, żeby ktoś nie przyjechał, nie nocował, a czasem i kilku gości miał Zamków, którym szczególniej Chorążyna była rada, bo jej starego zabawiali.

Madzia na próżno zabiegała około kuzynka, chcąc go wy badać o siostrze, zbywał ją ni tym, ni owym i widocznie unikając dłuższej o tym rozmowy. Na ostatek jednego wieczora dziewczę go tak przydybało i naparło, że wykręcić się sianem nie mógł. Prędzej lub później lękał się, aby na nieprzygotowaną nie spadła jaka wiadomość o Zoni jak piorun.

Nalegała Madzia, wiedzona i przywiązaniem do jedynej swej, i pewną ciekawością prawie gorączkową tego, co przed nią aż ukrywać musiano.

— Wiesz, moja Madziu — rzekł Ewaryst, gdy mu się znów z płaczem prawie naprzykrzać zaczęła — wiesz i rozumiesz, że gdybym miał co dobrego do powiedzenia ci, dawno bym przyniósł.

— Ale cóż tak złego być może, o Boże mój! — wołało dziewczę — niechże ja choć wiem, abym się najgorszego nie domyślała...

— Nie możesz się domyśleć nic tak złego — dodał Ewaryst — co by nieszczęśliwą prawdę przeszło.

Madzia płakać zaczęła, ale z za łez upominała się raz o całą, prawdziwą historię siostry.

Opowiedzieć jej nawet tak wprost nie mógł Ewaryst, aby nagie fakty gorszymi się nie wydały jeszcze niż były w istocie, spełnione pod wpływem fałszywych pojęć i gorącego temperamentu. Musiał więc choć w ogólnych rysach opowiedzieć wiejskiemu dziewczęciu, wychowanemu pobożnie, nawykłemu do poszanowania prawd starzych, jakimi nowinkami karmiła się młodzież i jak miała przewrócone głowy.

Madzia, ciągle wykrzykując: ale to nie może być! słuchała z niedowierzaniem... Trzeba było nareszcie przystąpić do rzeczy. Z bólem serca, dużo odsłaniając, odmalował Ewaryst najprzód dom Ozereńków, w którym Zonia się wychowała, potem Heliodorę Paramińską, u której mieszkała czas dosyć długi, towarzystwo, jakie się tam zbierało, wpływ propagandy Jewłaszewskiego, stosunki z panem Zorianem na koniec przyjaźń z Teofilem Zagajto i owo wystrzelenie do niego...

Podziwienie Madzi stało się w końcu niemyim osłupieniem, nie rozumiała już nic, ułc nadto, że siostrę ratować powinna

Ewaryst nie chciał jej wyjawić wszystkiego, nie powiedział, że Zonia uratowaną być nie mogła, bo po wystrzale do Teofila, przeniósłszy się do niego, żyła z nim otwarcie, jak to się tam zwało, na wiarę.

O ślubie nie było mowy, choć Zagajto obiecywał się żenic, Zonia wyzywając cały świat jawnie się popisywała ze swoją miłością i nie kryła stosunków. Tłumaczyła swe dziwne postępowanie po wystrzale

tym, że swobodnie sercem i ręką swą sama rozporządzać chciała... Litość nad rannym zwyciężyła ją.

Rozmowa cicha skończyła się łzami. Jak mógł pocieszać i uspokajać Madzię Chorążyc, na niewiele się jednak zdały jego słowa.

Nazajutrz, z czerwonymi oczyma biedne dziewczę oświadczyło wprost Ewarystowi, iż ma mocną i niezachwianą wolę jechać do siostry i, powtórzyła znowu, ratować ją.

Chorążyc zmuszonym był wyznać wreszcie, że ratunek przychodził za późno, a i wprzód byłby wysiłkiem próżnym. Zagajło po wyzdrowieniu, za zgodą z Zonią wyjechał był na Żmudź czy do Litwy do krewnych, jakoby dla przygotowania ich do swego ożenienia. Zonia została sama jedna i czekała jego powrotu.

— Smutny by to był widok dla ciebie, tej biedniejszej Zoni teraz, opuszczonej na wpół, chorej... czekającej na tego, który się jej mężem być obiecał..

Przecież, gdy kto z rodziny na zaraźliwą chorobę leży — odpowiedziała Madzia — gdy za występki pokutuje w więzieniu, obowiązkiem jest nie opuszczać go, pomagać... Im biedniejsza Zonia, tym ja tam potrzebniejsza jestem..

— Ale jakże możesz się stąd oddalić nie wydając tajemnicy, która rodziców może zmartwić... — odezwał się Ewaryst.

— Obowiązek i obowiązek! — powtarzało dziewczę uparte. — Przed panią Chorążyną padnę do nóg, powiem trochę, nie wszystko. Ona mnie zrozumie i pozwoli jechać, pan Chorąży też się nie sprzeciwi. Co będzie to będzie, ja tam muszę być..

Ewaryst na próżno starał się ją od tego zamiaru odwieść Madzia, zwykle potulne i posłuszne dziecko, było do niepoznania upartą.

— Dwie nas jest na świecie — mówiła — sieroty jesteśmy. Pan Bóg nam tylko tyle dał, że siebie mamy... A! czyż ja mogę ją opuścić.

Próżne były namowy Ewarysta, nazajutrz Chorążyna jeżeli nie o wszystkim wiedziała, to przynajmniej o tym, że Zonia była nieszczęśliwą i że jej siostra mogła być potrzebną. Powołała zaraz syna, aby jej wytłumaczył jak tam rzeczy stały. Ewaryst, znacznie łagodząc prawdę, musiał jej nieco wyjawić.

Doszła sprawa do starego pana, a ten wziął syna na konfessatę w cztery oczy, domyślając się nie nadaremnie, iż tam coś więcej być musiało niż przed kobietami wyznał.. Ukrywać przed Chorążym syn nie mógł, a pan Eliasz tak egzaminował ściśle, iż bez kłamstwa się wyminąć nie było podobna. Powiedział więc prawdę jak była, zastrzegając, aby kobietom jej nie powtarzać.

Łzy pociekły z oczów staremu, milczał długo.

— Po cóż tam Madzia ma jechać? — odezwał się — tamtę już jeden pan Bóg chyba salwować może, a ta się naje strapienia i, co gorzej, pobrucze się poczciwe dziewczę, chodząc około tej nieszczęśliwej zasmolonej.

Koniec końców zrozumieli wszyscy, iż Madzi z jej ofiarnością i miłością dla siostry ani się bardzo sprzeciwiać, ni jej było można wstrzymywać.

— Dziej się wola Boża! — dodał Chorąży — obowiązek niezaprzeczony, niech jedzie! Tylko jej tak puścić samej ani myśleć...

Narada z Chorążyną nad osobą, którą by Madzi dodać potrzeba, trwała pokryjomu dni kilka. Pan Eliasz też i obrachowywał zaraz, jak w podróż tę wyposażyc wychowankę, aby się nie troszczyła o grosz do zbytku.

Parę tysięcy złotych po rodzicach pono miała Raszkówna u Chorążego na prowizji, i o te prosiła, stary głową kiwał, węża kręcił i ze swojej szkatułki tysiąc złotych dokładał na wszelki wypadek pokwitowania żadnego nie żądając.

— Niech to tam będzie na chwałę Bożą, co ona ma się z sierotego ekspensować! rzekł.

Jejmość w obawie, aby jej ukochanej nie zabrakło i dla siostry, ze swoich dochodów ogrodowych i nabiąłowych sumkę jakąś przeznaczyła. Słowem, wyprawiono ją z domu jak dziecię rodzone. Towarzystwą podróży miała być stara wdowa po ekonomie, siedząca na łaskawym chlebie w drugim folwarku, pani Trawcewiczowa, kobieta bardzo jeszcze żwawa, bywała w świecie, wygadana, a do domu Chorągwa przywiązana. Trawcewiczowej powierzyć było można Madzię, bo ona doświadczeń w życiu miała pono aż do zbytku, nim w końcu do portu małżeńskiego przypłynęła i nieboszczykowi Trawcewiczowi rękę oddała. Z domu opowiadała się Makowską, a familię tę uważała za senatorską, primo voto potem była za porucznikiem jakimś niemieckiego nazwiska, secundo — za małym dzierżawcą Rabczycem, który ją w nędzy zostawił; aż zjawił się ów Trawcewicz, poczciwy człek, za którego z biedy poszła, a była z nim szczęśliwą. Dzieci nigdy nie miała de domo Makowska, niegdys pono bardzo piękna, dużo opowiadała czasem o ludziach co za nią biegali, a nad których intrygami zawsze triumfowała... Była to i teraz jeszcze matrona poważna, słusznego wzrostu, otyła, trzymająca się bardzo prosto i, mimo siwych włosów w loki pozawijanych, sznurująca usta zmarszczkami otoczone.

Miała tę jedną wadę de domo Makowska, że usta jej nigdy nie próżnowały. Materiału do opowiadań dostarczała bogata skarbnica przeszłości.

Chociaż Ewaryst także wkrótce miał do Kijowa powracać, Madzia niecierpliwa, niespokojna, chciwa spełnienia posłannictwa swego, rwała się tak, iż na niego czekać nie chciała. Trawcewiczowej też korzystać z tej gratki i przejechać się do Kijowa, którego tak dawno nie widziała, pilno było.

Na kilka już dni wprzód zajmowano się wyborem, bo z takiego domu jak Chorągwa nie wyjeżdżało się bez zapasu, a ulubionej swej wychowawicy nie mogła puścić stara Jejmość bez wszystkiego,

co tylko w drodze było potrzebne. Tym zaś co w domu siedzieć nawykli, mnóstwo rzeczy wydaje się niezbędnymi...

Madzia jechała z pragnieniem wielkim, ale z trwogą i tęsknotą za tymi, których tu zostawiała. Mało wyjeżdżała w życiu, sama zaś nigdy nie wyruszyła za progi Zamiłowskie, pierwsza podróż z takim celem musiała ją niepokoić. Łzawe było i długie pożegnanie z Chorążyną, która nieustannie powtarzała Trawcewiczowej: — A pilnujże mi, proszę cię, tej Madzi, bo ona głowę traci łatwo...

Na co poważna de domo Makowska odpowiadała jednostajnie:

— Niech pani Chorążyna będzie spokojna, że już ze mną najbezpieczniej w świecie... Dopatrzę jak oka w głowie!

Chorąży, mający ciągle przecucia niedobre, pobłogosławił ją milczący.

— Spełniasz obowiązek — dodał w końcu — Pan Bóg ci powinien poszczęścić, wracaj nam zdrowo!

Za kilka dni i Ewaryst też miał wyjechać w pomoc ekonomowej, aby mieć opiekę nad Madzią.

Po mszy w domowej kapliczce, którą ks. Zatoka odprawił, ruszyła bryka wyładowana z płaczącym dziewczęciem, a Chorążyna z ganku, Chorąży przez okno krzyżem świętym ją żegnali. Madzia obiecywała pisać i donieść o sobie.

Pusto się zrobiło w Zamiłowie, gdy wesołego dziewczęcia, które tu bardzo mało naczące zajmowało napozór miejsce, nie stało. Chorążyna zadumana obrachowywała popasy i noclegi. Dziś Madzia nocuje tam, jutro popasać mu, da Bóg, w karczmie tej... itp.

Nie mówił tego, czym najwięcej się frasowała, to przybyciem i spotkaniem z sobą dwóch rodzonych siostr, tak do siebie niepodobnych. Ewaryst też najbardziej się tym kłopotał, nie mogąc nawet przewidzieć jak się one rozumieć i pogodzić z sobą mogły. Pilno mu było jechać, aby na wszelki wypadek przyjść w pomoc niedoświadczonej Madzi.

Dziewczę w istocie nigdy jeszcze w życiu samoistnie i o własnej woli nie występowało, lecz miłość daje odwagę i siły wielkie.

Przybywszy do Kijowa zmordowane dziewczę nie tyle drogą, co nieprzerwanymi opowiadaniem awantur Trawcewiczowej de domo Makowskiej, szczególnie z oficerem od huzarów, którego zwyciężyła.

Madzia stanąwszy u celu poczuła trudność zadania i położenia swojego. Noc spędziwszy w gospodzie do dnia poszła do kościoła, a stamtąd wprost kazała się zawieźć do siostry. Trawcewiczowa koniecznie jej chciała towarzyszyć, lecz Madzia stanowczo jej zapowiedziała, że sama jechać musi. Obraziło to nieco towarzyszkę, która się składała rozkazami pani Chorążynnej, lecz uścisk i serdeczne prośby Madzi ułagodziły ją.

Z bijącym sercem weszła na schody wskazanego jej domu. Niepoczesna służka, przypatrując się jej podejrzliwie, wprowadziła na tyłach, do lichego, przyciemnionego mieszkania. Przedpokoił stał w

nieładzie, nieumieciony i zarzucony gratami, druga izdebka mała, niby bawialnia, okryta pyłem, zdawała się opuszczoną. Przez nią przechodzić było trzeba do sypialni, gdzie, jak mówiła służba, pani leżała chora. Wszystko, co tu spotykała nawykła do porządku i dostatku wiejskiego Madzia, świadczyło o ubóstwie i zaniedbanu.

W izdebce o jednym oknie, na łóżku lichu zasłanym, siedziała blada Zonia, w rękę trzymając czepeczek dziecinny z niebieskimi wstążeczkami.

Przy niej stała pusta kolebka. W twarzy biednej chorej malowała się rozpacz jakby stężała, zamknięta w sobie, obojętna na wszystko.

Widząc wchodzącą nieznajomą jakąś, która z trwogą i wzruszeniem przestępowała próg, Zonia wlepiała w nią oczy, nie tając, że jej natręctwo to było nieznośnym. Zdawała się mówić:

— Po co ty tutaj?

Nie mogła ani poznać, ni się domyśleć siostry, a ta tak była pomieszana, tak zboliała, że już wszedłszy stanąć musiała, aby odechnąć i zebrać siły.

Zonia, która z rąk nie wypuściła trzymanego czepeczka, patrzyła nic nie mówiąc, gotowa wybuchnąć za pierwszym słowem obcej przybyłej. Nie domyślała się w niej nawet siostry, ale jakiejś niepotrzebnie litościwej istoty, której pociechy nie potrzebowała.

Madzia przyspieszyła wreszcie kroku, pominąwszy kołyskę i rękę rozpostarłszy, zawołała:

— Zonia moja, to ja — siostra twoja Madzia! to ja...

I padła na kolana u łóżka. Zadrgnęła Zonia i poblądła bardziej jeszcze, zdawało się, że ten wykrzyk serdeczny Madzi i jej serce otworzy. Co się w niej działo, Bóg wie jeden, wyciągnęła rękę ku Zoni.

— A! to ty! Madzia!

Przybyła rzuciła się jej na szyję, chwilę milczały obie.

— Umyślnie przybyłam do ciebie — poczęła Madzia, siadając przy łóżku Zoni, która zadumana milczała ponuro. — Wiedziałam, że możesz potrzebować pociechy, pomocy siostrzynego serca.

— Pociechy! pociechy! — zamruczała obracając w rękę czepeczek dziecięcy Zonia. — Na świecie w nikim i w niczym pociechy nie ma. Życie to straszna męczarnia... nic więcej.

— Zoniu kochana, to próba, próba człowieka — Pan Bóg...

Nie mogła dokończyć Madzia, bo na ustach siostry spostrzegła uśmiech tak szyderski, tak foryczy pełny i zwątpienia, że się ulekkła bluźnierstwa.

— Rozumiem to — odezwała się Zonia powoli — ty, pobożne dziecię, przyjechałaś mnie więcej nawracać niż pocieszać. Chcesz zarazem moją duszę zbawić i swoją.

Przykro mi ci jednak powiedzieć z góry, że ze mną nie zrobisz nic. Ja już raz jasno przejrzałam i nazad nie pójdę w ciemności. Stracone twe zachody!

— Moja Zoniu kochana — szybko przerwała Madzia — gdybym mogła dać ci moją wiarę i moje szczęście i spokój duszy — a! Bóg widzi, żebym ci je oddała, ale moim najpierwszym obowiązkiem było przyjść ci służyć, pomóc, ulżyć...

W czym? jak? — trochę szydersko odezwała się Zonia — widzisz, mam jaki taki dach nad głową i z głodu nie umrę — a reszta!

Chora jesteś? — spytała Madzia rumieniąc się.

— Widzisz — podnosząc do góry czepeczek dziecka i wskazując na kołyskę Zonia — przeżyłam chorobę ciężką, sama — bo jego nie było, aby na świat wydać dziecinę, której krzyk był pierwszym i ostatnim. Słyszę go dotąd w uszach i w sercu, słyszę to powitanie życia rozpaczne... a potem... trup... trup!

Miałam przecucie, że ono żyć nie będzie, a walczyłam z nim, myślałam, że je wydrę tej śmierci.

Dwie łzy ciche popłynęły jej po twarzy.

Madzia słuchała nie śmiejąc pocieszać.

— O! dziecię szczęśliwe, że umarło — dodała Zonia — wrócić do nicości, w milczeniu i noc śmierci, to szczęście jeszcze w porównaniu do naszych losów; walka bez celu, zawody bez końca, zgnilizna dokoła, a jakby na urągowisko temu śmieciisku obrzydliwości w człowieku iskra jakaś, co się pali jasno, co świeci, pokazuje, tłumaczy i ciągnie ku mrzonkom, których nigdy na świecie nie było i nie będzie. Los anioła zaklętego w obrzydliwe bydlę, zmuszonego zwierzęciem być, aniołem się czując... i...

Ze spuszczonej oczyma słuchała Madzia tych wykrzyków boleści, które szmerem tylko obijały się o jej uszy. Strwożona więcej dorozumiewała się w nich bezbaczności i bluźnierstwa niż je rozumiała. Cudowny instynkt uczył w tej chwili, że nawracanie słowem byłoby tu próżnym, że jeden miłości czyn mógł świadczyć za wiarą, co go natchnęła.

Walczyć na słowa z Zonią, która nimi szermować była nawykła, nie myślała biedna wieśniaczka, zmilczała pokornie.

Zoni, gdy się raz usta rozwiązały, nie mogła się już powstrzymać od wynurzenia żalu swojego.

— Życie? ty go nazywasz próbą? Szczęśliwy, kto ją przetrzymał zwycięsko — mówiła z szyderstwem. — W istocie to próba, szczególnie dla rozumu, który, nic pochwycić nie mogąc, do szału doprowadzić może.

Nierychło i niełatwo cierpliwa Madzia usiłując powoli myśl jej wyrwać z tego koła, w którym błędziła, potrafiła ją sprowadzić do rzeczy potocznych, do których w swym życiu powszednim była nawykłą.

— Teofil, który ma być mężem moim — odezwała się śmiało Zonia do spuszczonej oczy siostry — pojechał do rodziny. Będzie my ubodzy, zdaje mi się, że rodzice jego, na Żmudzi czy Litwie mieszkający, są prości chłopcy. Ja tam nie wiem mnie to wszystko

jedno. Dobrze, że dziecina umarła, bo nawet we dwojga nam żyć będzie ciężko.

— Ja com miała po Ozereńkowej, to straciłam prawie wszystko! O! nauka życia dużo kosztuje! — dodała szydersko. — Byłam we wszystkim nadto ufająca i uczynna, korzystał kto chciał z mojego dzieciństwa.

— Nie kłopotz się tym — odparła nieśmiało Madzia — ja co mam, to ci przywiozła.

Zonia patrząc na nią zamilkła trochę.

— Ja nic nie przyjmę od ciebie — rzekła — nie godzi mi się obdzierać tak dobrodusznej i łatwowiernej. Sierotą jesteś i jak ja kiedyś zapotrzebujesz żyć bez pomocy niczyjej.

— Al ja mam Chorążynę, która mnie nie opuści, oni są dla mnie dobrzy i kochający jak rodzice...

— Tak, mają w tobie sługę bezpłatną i niewolnicę — odparła Zonia. — Zamilczały obiedwie, łyzy stały w oczach Madzi. Widziała, że sprzeciwić się siostrze nie można, szanowała w niej boleść wielką.

Po chwili, pomyślawszy Madzia, zaczęła zrzucać z siebie to, co jej do roboty zawadzać mogło. Wstała z krzesła mówiąc skromnie:

— Pozwolisz, póki tu jestem, że się trochę zajmę twoim gospodarstwem. Jestem do tego przywykła, mnie to z nałogu już potrzebne, a widzę, że sługa twoja, zapewne za wiele mając do czynienia, trochę się zaniedbała.

Zonia ruszyła ramionami.

— Wszystko to jedno — rzekła gorzko — czy barłóg, na którym mędzarz leży, trochę czystiej czy brudniej wygląda.

Madzia, nie słuchając już krzątać się zaczęła. Sługa, która z założonymi rękami i ciekawie się z drugiego pokoju przypatrywała przybyłej i przysłuchiwała rozmowie, znikła. Madzia musiała jej pójść szukać, aby się z nią naradzić. Oczywiście za nią pobiegła leżąca na łóżku Zonia i, jakby nie rozumiejąc tego cichego stworzenia, patrzyła jak na jakieś dziwowisko.

W domu okazał się nieład wszelkie przechodzący pojęcie. Piędzy nie było wcale, ostatecznie oddała Zonia na kamień grobowy i pogrzeb dziecięcia. Przekupnie, u których brano dłużej bez zapłaty, dawać nie chcieli. Pierwszą więc czynnością być musiało opatrzenie sługi pieniędzmi i wyprawienie jej do miasta.

Madzia nakazawszy pośpiech, sama wzięła się zaraz do porządkowania w dziwnie zaniedbanym mieszkaniu. Zonia to na czepek, który ciągle trzymała w ręku, to na nią patrzyła, ruszając ramionami.

Wśród tego zatrudnienia Madzia rzucała czasem jakie słówko, mówiła o domu w Zamiłowie, o swych opiekunach, wspomniała o Ewaryście, który miał przybyć wkrótce.

— Al Ewaryst — wtrąciła Zonia trochę się uśmiechając — gdybym była chciała, miałabym z niego opiekuna, bo się tak kochał

we mnie jak inni. A! to ich kochanie — dodała — nie lepszy i on od drugich. Myślał że łatwo mi głowę zawróci...

Madzia, która się wcale nie domyślała tego, zarumieniła się mocno i zaprotestowała.

— Ewaryst! On! — zawołała. — Ale to najszlachetniejszy człowiek w świecie. Gdyby się kochał w tobie, byłby to wyznał przed rodzicami i ożenił się z tobą.

Zonia parsknęła szydersko.

— On! ze mną — przerwała. — Nie można gorszej z sobą sprząć pary jak mnie z nim. To świętoszek jak wy tam wszyscy, a ja jestem poganka i dzika!

— Ale, Zoni! — zaprzeczyła siostra.

— A! tak! ja kłamać ani udawać nie umiem, ani się kryć z uczuciem. z myślą jak was od dzieciństwa uczono — wołała Zonia.

Dlatego wybrałam sobie człowieka tak dzikiego jak ja sama.

— Ewaryst kochał cię jak siostrę — wtrąciła Madzia.

— Trochę więcej — z pewną dumą dodała Zonia — sam mi się do tego przyznał. Ze wszystkich malowanych paniczów, co się koło mnie kręcili, on był najznośniejszy, ale tego samego chciał co inni, tylko prosił inaczej. — Madzia cała drżąca zaprzeczyła gorąca.

— Ewaryst jest najszlachetniejszym z ludzi! — zawołała.

— A ty się chyba w nimkochasz — przerwała gwałtownie Zonia — patrzajże, aby ów najszlachetniejszy nie skorzystał z twojej słabości. O! oni wszyscy są jednakowi.

— A ten, któregoś ty wybrała? — odważyła się mruknąć Madzia. Zamilkła nieco Zonia.

— Ten! ja nie wiem! Szczery jest przynajmniej, nie obiecywał mi nic. jam nic nie wymagała — poczęła powoli — jeżeli mnie teraz opuści, abym mu nie była ciężarem, nie będzie to zdradą. Wiedziałam, co mnie czekać może.

Dla biednej Madzi cała ta z siostrą rozmowa była jakby gorącym żelazem piętnowanie, za każdym wyrazem chciała krzyknąć ze zgrozy, chciała zaprzeczać. Zimne szyderstwo Zoni zamykało jej usta.

Można sobie wystawić niepokój Trawcewiczowej, która sama jedna siedząc w gospodzie, nie mając z kim mówić, obawiając się o Madzię, nie wiedziała nawet gdzie jej szukać i w trwodze tej musiała przetrwać do wieczora. Dopilnowawszy obiadu, nakrywszy do niego sama przy łóżku siostry, co jej służyło za pretekst do wyniesienia próżnej kołyski. Madzia oznajmiła Zoni, że musi pójść do gospody, opowiedzieć się swjej towarzyszcze, a na noc pilnować jej powroci.

— Ty mi wcale nie jesteś potrzebna, a ja takich długów wdzięczności zaciągać nie chcę — odezwała się Zonia — u mnie nie ma się gdzie położyć.

— A! ja przywykłam sypiać na ziemi... i nic mi to nie szkodzi —
zawołała Madzia — dopóki tu jestem, chcę być przy tobie. Proszę
mnie nie wypędzać. Zresztą ja jak ty jestem uparta i nie dam się
odegnać łatwo.

To mówiąc uściskała ciągle z podziwienia wyjść nie mogącą Zonie,
kryła się chustką i wybiegła, wołając.

— Do zobaczenia!

Ewaryst powróciwszy do Kijowa, drugiego dnia już był pod domem, w którym Zonia mieszkała.

Chciał się dowiedzieć o obie siostry, bo niemniej o Madzię jak o starszą był niespokojny. Nie śmiał jednak wchodzić, nie wiedząc jak je zastanie, gdy z ogromnym wyładowanym workim powracająca z miasta nastęczyła mu się Trawcewiczowa.

Rad jej był niezmiernie Ewaryst, ale ona jemu więcej daleko, potrzebowała ze swych przygód, ze swojego postępowania się wytłumaczyć, wygadać, nastękać.

— A! to was tu sam pan Bóg zesłał nam na ratunek — poczęła odprowadzając go na stronę i ręce załamując, de domo Makowska. — Co się tu u nas dzieje! na rany Chrystusowe! Co ta moja nieszczęśliwa panienska cierpi z tą biedną siostrą swoją. Ale tu, jak Boga kocham, długo nie wyżyć!

Potoku słów pani Trawcewiczowej ani było utrzymać, słuchał więc milczący Chorążyc.

— Ta, proszę pana Chorążycu, Zonia to zgorzenie okropne! bo to ani panna, ani zamężna i w nic nie wierzy i ze wszystkiego się śmieje i niech pan Bóg ma miłosierdzie nad nią, ale co wygaduje, to mnie starej włosy stają na głowie, a biedna panienska ze wstydu się pali cały Boży dzień, a tamtej ani zamknąć gęby, ani uprosić, żeby nie bluźniła. Jak na złość!

— Nasza panienska, jak panu Chorążycowi powiadam, święta jest, bo to cierpliwość anielska, a z siebie by koszulę gotowa zdjąć, aby tamtej losu ulżyć. Zastaliśmy ją, panie, prawie bez chleba kawałka i w długach, przeszło tysiąc złotych już pękło.. fiut! poszło... a końca ani widać!

— Mnie zaś najgorzej na sercu, proszę Chorążycu, kiedy my powrócimy do domu; ja przyznaję się panu, nawet bielizny takiego zapasu nie wzięłam, a co tam się z moimi kurczętami dzieje, Bóg jeden wie. Pewnie wszystkie jastrząb wychwytał! Na chwałę Jego! Cóż robić?

— Jakże się ma chora? — zapytał Ewaryst.

— Zastaliśmy ją włożku, oplakiwała jeszcze dziecko, które straciła, a to łaska Pańska, że je Bóg wziął — choć doprawdy nie wiem, czy nawet je ochrzcili.

Teraz już się podniosła, wstała, chodzi, ale strasznie zmizerowana. Czekaj na wiadomości od tego, co to się z nią powinien zenić, choć to, między nami powiedziawszy, widłami pisano. Odjechał ją, porzucił, gdzieś niby na jakąś Żmudź do rodziny się spieszył, a kto go tam znajdzie i przepytaj.

Pokiwała głową Ekonomowa.

— Ta zgubiona na wieki. Państwo Chorąstwo choćby ją i chcieli wziąć do Zamiłowa, co z nią tam robić? Języka nie strzyma, a jak zacznie pleść banialuki, to włosy wstają! włosy wstają!

— Madzia u niej jest? — zapytał Ewaryst.

— Ani na chwilę jej nie opuszcza, bo to złote serce tej paniątki — dodała Trawcewiczowa — ale co to pomoże? Tylko się nasłucha takich herezyj, że uszy więdną, a tamtej nie nawróci!

Mnie najęto stancijkę tu obok, a Madzia dzień i noc przy niej, a końca temu ani widać. Jużem się kilka razy pytała, odpowiada mi zawsze: Jakże ja ją mogę tak porzucić?

Więc chyba gdyby ten przyjechał co ona na niego czeka, ale gdzie ona kiedy się go doczeka!

Chciała się jeszcze w dalsze żale i opowiadania zapuścić Ekonomowa, gdy Ewaryst pożegnawszy ją, powlókł się zwolna na górę. Cicho było w mieszkaniu, gdy wszedł, Madzia z oczyma opuszczonymi siedziała u okna w pierwszym pokoju z pończochą, w drugim za stolikiem zarzuconym papierami i książkami spostrzegł Zonię, która głowę podparłszy na rękach we włosach utopionych zdawała się czytać coś, czy myśleć nad książką, która przed nią leżała roztrwarta.

Zobaczywszy Ewarysta, Madzia z lekkim wykrzykiem pobiegła ku niemu, w nim widziała cały ten swój Zamiłów kochany, za którym tu tęskniła, gniazdo owe spokojne, z którego ją burza wyгнаła.

Zonia, której piękna twarz, blada, teraz jeszcze się boleścią na niej wrytą wdzięczniejszą wydawała, zwolna podniosła się także. Lekki niedostrzeżony rumieniec przebiegł po jej licu, odepchnęła książkę i ruszyła się ku pierwszemu pokojowi, gdzie już drżąca z radości i niepokoju siostra zasypywała przybyłego pytaniami. Przywitanie Zoni było zimne i dumne jakieś, wskazała na Madzię.

— Bardzo się dobrze stało, żeś pan przybył — odezwała się — to biedne stworzenie przybiegło tu w pomoc siostrze, której nic pomóc nie może i marnuje się tu daremnie. Żal mi tej próżnej dla mnie ofiary, na którą i niezasłużyłam, bo sama bym do niej nie była zdolną.

— Ale cóż za ofiara! — nie dając jej mówić przerwała Madzia — nagrodziło mi się to stokrotnie przyjemnością służenia ci.

Ironicznie rozśmiała się Zonia i zwracając do Ewarysta, dodała żywo.

— Rzecz niepojęta! Z dziesięć listów pisałam do Teofila, żadnej odpowiedzi. Zaczynam myśleć, że może czuje, iż między nami rachunek za kulę skwitowany i myśli gdzie indziej szczęścia szukać. Zmarszczyła brwi i dorzuciła z goryczą.

— Wszystko być może!

— Ale nie — nie! — poprawiła się wnet — jestem niesprawiedliwa! To prosta chłopska, otwarta natura, nie obiecywałby mi powrócić, nie zmuszałam go do niczego... Dał mi słowo dobrowolnie.

— Listy się mogły zabląkać! — wtrącił Ewaryst.

— Nie — odparła Zonia — choć jeden by był doszedł. Wyjechał trochę niezdrów, ale silny jest i zna siebie, doktor, poczułby niebezpieczeństwo. Ja nie wiem! — Zapatrzyła się w podłogę milcząc.

— Wszystko najgorsze zawsze się stać może — szepnęła, zło jest najprawdopodobniejsze w każdym razie, na dobre dzieci tylko rachują. Świat przecie na to zbudowany, aby był katownią wielką, a całe stworzenie tak rozumnie obrachowane, aby jedni drugich zabijali. Na tym stoi wszystko! katownia.

— Zoniu! — wtrąciła jakby prosząc ją Madzia.

— A! ty naiwna istoto! — rozśmiała się Zonia — dla ciebie jest to przedpokój do raju, gdzie zabłoconym buty czyszczą i czuprynę muskają, aby się lepiej zaprezentowali!

Madzia jak przybita nie miała na odpowiedź słowa, spojrzała z załz na Ewarysta.

Zonia straszniejszą jakąś wydała mu się niż była, z ust jej sama gorycz rozpaczliwa płynęła...

I nie dziw, książka nad którą ją znalazł w myślach zatopioną, była wyznaniem wiary Schopenhauera.

Aby tej goryczy nie dać się rozplywać szerzej, Chorąży począł mówić do Madzi o domu, z którego jej przywoził ukłony i różne drobne zapomniane rzeczy. Chorążyna przysłała notatkę różnych sprawunków, które powracające konie Ewarysta do Zamłowa wieść miały. Rozmowy o tych wielce prozaicznych przedmiotach Zonia nawet nie słuchała. Nie obchodziło ją nic oprócz jej samej, a siostra, tak wylana dla niej, nie budziła innego uczucia nad pewien rodzaj politowania swej nicości.

Patrzała na nią z wyżyn mądrości swej, nie widząc anielskiej dobroci serca, któremu umysł nie dorównywał. Tak samo prawie Madzia podziwiała straszliwy rozum siostry, bolejąc nad brakiem uczucia, nad wyschnięciem serca: Litość z obu stron była jedynym węzłem który je łączył...

Za wychodzącym Ewarystem Madzia ze łzami na oczach i wy-

muszonym na ustach uśmiechem wymknęła się z pokoju do sieni. Czują, że przy Zoni otwarcie się z nim rozmówić nie mogła...

— Kiedyż myślisz powracać? — zapytał Chorążyc.

— Sama nie wiem, Zonia się co chwila spodziewa wiadomości, albo powrotu...

(Tu skromnej dziewczynce tak zabrakło wyrazu, iż innego nie znalazła nad — męża).

— W Zamiłowie wszyscy na was tylko czekają — mówił Ewaryst.

— A ja! ja tak tęsknię do Zamiłowa! — przerwało dziewczę, oczy spuszczaając jakby się lękało, aby z nich Ewaryst więcej niż było potrzeba nie czytał...

Na zapytanie o Zonię załamała ręce Madzia.

— Niewymownie mi jej żal, ale ja jestem za słaba, za... głupia — dodała pokornie — abym się jej na coś przydać mogła. Próbowałam, a! próbowałam wszystkiego! Do kościoła nie chce iść ze mną, o religii z nią mówić nie można... a! jaka ona nieszczęśliwa!

Dziewczę się rozplakało...

Na niczym więc skończyły się te ciche szepty w sieni i Madzia wróciła do siostry, a na pana Ewarysta u dołu oczekiwała niezblą-gana Trawcewiczowa w nadziei, że może się od niego coś dowie o powrocie do domu...

Kurczęta pozostawione bez opieki lży jej wyciskały...

Pierwszych dni kilka Ewaryst prawie nie widywał Raszkówien, nie spotkał Trawcewiczowej, a odprawę koni swych do domu urządził tak, aby ekonomowa i Madzia mogły przez nie przesłać listy i sprawunki.

Upłynął tak tydzień cały, gdy jednego dnia odebrał kartkę od Madzi proszącą, aby się z nim rozmówić gdzieś mogła; nie chciała, aby przychodził do Zoni, był więc zmuszony Ewaryst miejsce schadzki wyznaczyć w izdebce ekonomowej, która o tej porze szczęściem na niesporach była.

Madzia twarzyczkę miała jakąś wystraszoną, zbladłą i pobytym tym w Kijowie widocznie zmęczoną. Nie skarżyła się wcale, nie mogła jednak podrobioną wesołością okryć tego, co cierpiała.

— A! panie Ewaryście — odezwała się witając go — prawdziwie nie wiem, nie śmiem, a muszę się i poskarżyć przed panem, i o radę go prosić. Sama nie umiem z tego wybrnąć.

Zmieszana, skłopotana, to spuszczała oczy, to podniosła je zapłoni-ona, i Ewaryst poznał łatwo, iż to, co mu powiedzieć miała, wiele ją kosztowało.

— Mów otwarcie, proszę — odezwał się Chorążyc.

— Ja, bo ją tak kocham, taką mam litość nad nią, tak bym chciała wytłumaczyć wszystko jej sieroctwem, nieszczęściem — mówiło dziewczę — tak by mi było boleśnie ją oskarżać.

— Stałóż się co? — przerwał Ewaryst.

— Ale nie! nie! — prędko zaczęła Madzia tłumaczyć się — nic się nie stało, tylko mi się to jakoś wydaje dziwnie... Ja nie wiem do prawdy, czy ja tu dłużej wytrwać potrafię, choć z duszy pragnę jej nie opuszczać. Rumieniła się mówiąc, ciągle i łzy jej stawały w oczach, choć wypłynąć nie mogły.

— Pewnie, panie Ewaryście, w tym nie ma nic złego, tylko ja jestem taka jakąś ograniczona, trwożliwa, nie znam świata, to się boję wszystkiego...

Nie śmiała mówić o co chodziło, Chorążyc nalegał.

— Ja tam nie wiem, ale mnie by się zdawało, że kobieta tak sama jedna mieszkająca, a choćby z siostrą, i taka smutna... i w takim położeniu, nie powinna by przyjmować... młodzieży... Już dawniej kilku kolegów jej męża czasem się dowiadywało, ale teraz od dni kilku co wieczór się ich tylu schodzi, i taka wrzawa, rozmowy, śmiechy... Rada bym uciec, bo jacyś tacy ci panowie śmiali, prawie niegrzeczni, coś jest w ich obejściu się tak dziwnego, że ja siedzę wieczór cały jak na mękach, nie rozumiem nawet po większej części co mówią, ale tacy są natrętni.

Madzia, rumieniąc się ciągle, zwijała w palcach chusteczkę, jąkała się, na ostatek tchu jej zabrakło.

Chorążyc słuchał prawie gniewny. Niepojętą było rzeczą dla niego aby w takim położeniu jak była Zonia, szukać można takiej rozrywki.

Zapytał o czym rozmawiano.

— A! tego ja doprawdy powiedzieć nie potrafię — odparła Madzia — tylko wiem, że dla mnie to niezrozumiałe, dziwne. Rozmowy prowadzą uczone, chociaż w nich są czasem... rzeczy, których ja bez rumieńca, bez strachu nie mogę słuchać.

— Codźmy do Zoni — rzekł Ewaryst.

— A! nie! nie! powie, pomyśli, żem ją oskarżyła przed wami — załamując ręce dodała Madzia — mnie jej żal! Jej nic wyperswadować niepodobna, chodzi tylko o to, czy ja, czy ty mi radzisz zostać tu dłużej, bo ja tych wieczorów z tymi panami znieść nie potrafię.

Zamyślił się Chorążyc smutnie.

— Ha rzekł — zdaje mi się, żeś tu już zrobiła co mogłaś tylko, niepodobna, abys się dłużej na takie wystawiała męczeństwo. Nie można bardzo obwiniać Zoni, która przywykła do tego towarzystwa, do tych rozpraw i sporów. Dla niej jest to rozrywką dziś, przy jej smutku prawie konieczną, dla ciebie męką nieznośną.

— Wracaj do Zamiłowa.

Madzi łzy popłynęły.

— A ją tak na zgubę zostawić! Samą! samą jedną! Nie, to się nie godzi.

Biedne dziewczę poskarżywszy się, żałowało już teraz, że obwi-

niło Zonię i z pokorą gotowe było wrócić w atmosferę, która je dusiła.

Ewaryst odszedł z przykrym w duszy uczuciem.

Upłynęło parę tygodni. Od Madzi, którą widywał czasami, coraz mizerniejszej, bledszej, smutniejszej, dowiadywał się, choć nie dopowiadała wszystkiego, że towarzystwo wieczorami bywało coraz liczniejsze. Nie skarżyła się już na nie, lecz z jej twarzy zbiedzonej widać było, co cierpiała.

Ewaryst, którego nieszczęśliwa Zonia zawsze ciągnęła ku sobie jakąś sympatią, choć on sam wyrzucał ją sobie, pomimo, że widzenia jej i żywienia tej namiętności unikał pod rozmaitymi pozorami, czasem przychodził tutaj. Teraz mógł to sobie tłumaczyć Madzią i obowiązkiem czuwania nad nią.

Wieczorami tylko nie pokazywał się prawie nigdy, gdyż w towarzystwie młodzieży jaka się tu zbierała czuł się nieswoim i sporów wywoływać nie chcąc, zbyt cierpiał, słuchając bredni.

Jednego dnia w porze przedobiedniej zrządzenie jakiegoś dziwnego sprowadziło go w chwili, gdy był może najpożądańszym, przynajmniej dla Madzi.

W progu już spostrzegł, że coś niezwyčajnego się stało. W drugim pokoju Zonia siedziała jak trup blada, z ustami zakąszonymi, z rękami wyciągniętymi i pościskanyymi na stole. Leżał przed nią papier pomięty. Nad nią stała Madzia, blada także i przestraszona, ujrawszy Ewarysta pobiegła ku niemu.

— Chodź! chodź! na ratunek... List, ten list.

Chorążyc nie mógł zrozumieć o co chodziło...

Wtem Zonia wstała jak sprężyna jaką rzucona i, z oczyma iskrzącymi, podeszła do Ewarysta.

— Umarł — rzekła — podając mu papier — umarł...

To mówiąc padła na krzesło i głowę zakryła rękami. Madzia się zachodziła z płaczem...

Ewaryst rzuciwszy okiem na list napisany najnieprawdopodobniejszą ręką jakąś, do którego dołączona była sepultura, dowiedział się z niego, że Teofil Zagajło, chory przybywszy do rodziny, po kilkunastodniowej chorobie zmarł z tyfoidalnej gorączki.

Zonia płakać nie mogła, oczy jej płonęły żarem jakimś, oddech w piersiach tłumiło łkanie wewnętrzne, iza nie pociekła z oka. Usta miała wykrzywione dzikim, ironicznym uśmiechem...

Mruczała niezrozumiałymi wyrazami bez związku.

Pocieszać ją, chcieć uspokajać w takiej chwili nie było ani można, ani by ona dopuściła.

Pozostawało jedno, otoczenie ją jak najtroskliwszą opieką, a taką miała w Madzi, która teraz bardziej niż kiedy na krok ją nie odstępowała.

Zonia tak była pogrążona w swym smutku, że nikogo widzieć

się nie zdawała, siedziała skamieniała, oślepiała, nie słysząc rozmowy, nie odpowiadając na pytania.

Czasem odejmowała dłonie od twarzy, a naówczas widać było suche jej oczy, błyszczące gorączką, spalone usta i zmarszczone czoło...

Ewaryst przesiedział tu godzin kilka, na ostatek naradziwszy się z Madzią, wyszedł po cichu.

Jedno z dwojga, boleść ta miała albo ją zabić, lub spłynąć powoli, jak wszelki ból ludzki, roztapiając się w tym rozkładniku wszystkich człowieczych szczęść i męczarni — w czasie.

Sama gwałtowność pierwszego wrażenia kazała się domyślać, że ono długotrwałym być nie może.

W mieście kogo napotkał Ewaryst, wszyscy mu mówili o śmierci Teofila, o której wiadomość przyszła współcześnie inną drogą do zwierzchności uniwersytetu. Ubolewali młodzi towarzysze nad stratą człowieka wielkich zdolności i charakteru nad położeniem biednej Zoni

Jakiś niepokój długo nie dał zasnąć Chorążycowi, pragnąłby się był dowiedzieć o Zonie i o jej siostrę, i jak tylko dzień zaczęło, pobiegł najprzód do Trawcewiczowej.

Powiedziano mu, że po nią przed paru godzinami przysłano, i że coś stać się musiało w kamienicy sąsiedniej, około której bieranina wielka była, lecz ludzie ciekawi o przyczynie jej nic dowiedzieć nie mogli.

Pobiegł więc na górę Ewaryst z najgorszymi przeczuciami, i w progu spotkał wychodzącego już doktora B..., profesora uniwersytetu.

Znał go Ewaryst dawniej.

— Co się tu stało? — zapytał.

Profesor odparł dosyć flegmatycznie.

— Otruła się laudanum... szczęściem spostrzeżono wypróżnioną buteleczkę zawczasu i śmierci dało się zapobiec. Odchoruje tylko...

W pokoju przy łóżku Zoni zastał Madzię we łzach całą i drżącą rodzajem febry, którą ją przestrasz nabawił.

Zonia leżała w łóżku sparta na łokciu i gniewna.

— A! tak! nie daliście mi umrzeć! prawdziwe dobrodziejstwo! — wołała szyderczo. — Potrzeba, żebym żyła! Żyć będę, lecz może nie na to, byście się tym cieszyli.

— Głupie życie!

— Zoniu! — przerywała co chwilę siostra...

— Milczże — mówiła chora — ocaliłaś mnie, to się tak u was nazywa! Według twojego świątobliwego pojęcia to jest dać mi czas do pokuty! Zobaczysz jaką będę pokutnicą...

Łkanie konwulsyjne głos jej przerywało. Madzia obejmowała ją rękami — odpychała ją z gniewem, bezlitośnie...

Widok tej sceny poruszył Ewarysta niewymownie, siadł w pierwszym pokoju, nie wiedząc już co ma począć z ocaloną i z biedną Madzią, ku której ona okazywała niechęć i gniew nieprzebragany.

Niezrażona tym siostra nie odstępowała od łóżka, zmuszając ją do brania lekarstwa, klękając przed nią i błagając.

Zonia patrzeć na nią nie chciała, w kilka godzin później niecierpliwość oclonej doszła do tego stopnia na widok siostry, że na pół zerwawszy się z łóżka, zaczęła wołać:

— Ale uwolnijcież mnie od tego anioła, bo ja jestem szatanem, ja go nie znoszę.

Na wszystko co chcecie przysięgnę, że życia sobie nie odbiorę; tylko niech mi go ona swoim anielstwem nie zatruwa... niech jedzie się modlić, jeśli chce, za grzechy moje! a niech mnie zostawi samą.

Chorażyc zbliżył się chcąc ją ułagodzić rzuciła się ku niemu z prośbą.

— Słowo ręką, przysięga, życia sobie nie odbiorę, dość tej głupiej próby, ale Madzia niech powraca skąd przyjechała, ja z nią żyć nie mogę.

Siostra, całując po rękach, przeproszała ją, nic to nie pomogło.

— Jesteś aniołem, samą dobrocią i poświęceniem — wołała namiętnie, winnam ci życie, ale właśnie dlatego, niech ja cię nie widzę... Jedź! ty tu umrzesz ze mną, a ja się wścieknę!

Na to usposobienie nie było ratunku. Madzia uciekła, schodząc jej z oczów do Trawcewiczowej, aby się tam wyplakać i położyć do łóżka, gdy poczuła się chorą, a Ewaryst musiał natychmiast po doktora spieszyć.

Przy Zoni zostawiono kobietę, która przyrzekła jej nie opuszczać

Wieczorem Madzia leżała w gorączce, i tydzień cały Chorażyc był w wielkiej o nią trwodze, a młodość tylko i spokój, z jakim zniosła cierpienie, uratowały jej życie.

Zonia wstała już trzeciego dnia, i boleść jej ostygła znacznie. Wiedziała o chorej siostrze, ale sama to czuła, że się jej pokazywać nie mogła, po okrucieństwie z jakim się z nią obeszła.

Madzia, zaledwie powstawszy po chorobie, zaczęła myśleć o wyjeździe do Zamiłowa, tak smutnie i cierpiąca na duszy, tak znękana niepowodzeniem swojej wyprawy, że Trawcewiczowa po całych dniach nad nią płakała, zapomniawszy o swych kurczętach. Ewaryst przychodził się pode drzwiami dowiadywać do niej, a gdy doktor zgodził się na wyjazd, sam zaczął przynaglać, aby powracała.

Nadszedł dzień wyjazdu, Madzia nie mógł oddalić się bez pożegnania. Zebrała resztę pieniędzy, aby je Zoni zostawić, zaledwie tyle co na drogę było potrzeba biorąc z sobą i uprosiła Chorażycę, aby dla uniknięcia jakiej przykrej sceny poszedł razem z nią do Zoni.

Zastali ją już zatopioną w książkach, bo się z nową gorącością rzuciła do nauki, aby o bólu zapomnieć, wychudzoną, rozgorączko-

waną, powierzchownie zaniedbaną, przyodzianą bez najmniejszego starania, z włosami nieuczesanymi, tak że robiło wrażenie jakiegoś zdziczałego stworzenia.

Ujrawszy w progę siostrę, Zonia gwałtownie odrzuciła książkę i podeszła ku niej. Nie mogło to ujść jej oka, ani wprzód wiadomości, że Madzia ciężko przechorowała. Twarz zmieniona dawała poznać, że słabość była groźną, dziewczę chwiała się jeszcze na nogach, że zaraz u drzwi przysiąść musiała, by zebrać przytomność i siłę.

Zonia patrzyła na nią z jakąś dumą i politowaniem.

— Żal mi cię serdecznie — odezwała się stojąc przed nią — żeś się tu tak wybrała mnie nawracać, nie mając po temu sił i odpokutowała za moje grzechy.

— Słabe z ciebie stworzenie. Patrzaj na mnie, com straciła dziecko i ukochanego i wszystkie życia nadzieje i ochotę do niego, widzisz, że jeszcze lepiej się trzymam od ciebie!

— Przepraszam cię moja Madziu! nie umiem być inną, tylko taką mnie Bóg stworzył!

— Nie masz za co przepraszać — odparła z wolna odzyskując siły Madzia. — Zrobiłam com była powinna, a że się to na niewiele przydało, nie moja wina!

Westchnęła! Ty się nie gniewaj na mnie, mogłam być niezręczną, alem z dobrego serca chciała ci przyjść w pomoc.

— To daremna, nie pomoże mi nic — sucho odezwała się Zonia.

— Ja muszę powracać — mówiła z chicha Madzia... — choć się pożegnać.

I z płaczem rzuciła się jej na szyję.

— Zoniu kochana — odezwała się łkając — wróć do Boga, pomódl się, spokój ci da skrucza, pociechę — modlitwa, cierpliwość — rezygnacja... Wiele zniosłaś, będzie ci to policzone. Moja droga! Zonia przerwała suchym śmiechem.

— Bądź spokojna o mnie — przebaknęła — będę wiedziała co czynić i jak sobie drogi szukać. Kazaliście mi żyć, muszę się o to starać, aby życie sobie uczynić znośnym.

Z chwili tej korzystała Madzia, aby węzełek z pieniędzmi wcisnąć nieznacznie w ręce Zoni i szepnąć jej: — Jeśli mnie kochasz, weź, ja nie potrzebuję.

Po krótkim wahaniu się i namyśle Zonia przyjęła dar siostry i w milczeniu ją w czoło pocałowała zadumana.

— Kiedyś się porachujemy — dodała — ja nie rozpaczam, że moje długi popłacę!

Słowa te wyrzekła z dumą jakąś, jakby groźbą.

Poszły potem dwie siostry na chwilę do drugiego pokoju, bo Madzia potrzebowała jeszcze prosić Zoni o coś na osobności, próśby jej te wszystkie zwracały się ku Bogu i modlitwie, bo ona innej ucieczki i ratunku nie znała.

Zonia przyjmowała je uśmiechem szyderskim, ruszaniem ramion i milczeniem, powtarzając: — O! nie frasuj się o mnie, dam sobie rady!

W wyrazach tych przebijała się jakby już osnuta myśl postępowania w przyszłości.

Gdy obie razem wyszły do pierwszego pokoju, w którym na nie Ewaryst oczekiwał, aby Madzię odprowadzić, Zonia zbliżyła się ku niemu.

— Choć Madzia wyjedzie, możesz mnie przecie czasem odwiedzić — odezwała się. — Prawda, że już teraz w tym skelecie kochać się jak dawniej nie będziesz, ale tym lepiej, bo mnie nudzić a sam się męczyć przestaniesz. Przyjdź czasem jak do dobrego kolegi.

— Ja dalej się uczyć myślę i iść tak daleko jak mi siły starczą. Nauka wreszcie potrzebną mi jest, aby sobie na chleb zarobić.

Madzia, znowu rozplakana, uściskała ją namiętnie, Zonia pozostała zimną i mogło się zdawać, że tę naturę skłoną do sprzeczności właśnie jej czułość pobudzała do ostygnięcia i szyderstwa.

Ewaryst idący za Madzią pozostał był nieco u progu, gdy wskazując na nią z rodzajem uśmiechu dziwnego, Zonia szepnęła mu na ucho:

— Jaki jesteś ślepy! Cała ta czułość siostry dla mnie, czyż ty nie rozumiesz tego, była..., aby się zbliżyć do ciebie. Biedaczka się w tobie kocha bez nadziei...

To mówiąc zamknęła silnie drzwi, a Ewaryst oburzony i zdziwiony pospieszył za uchodzącą ze ściśniętym sercem biedną Madzią, na którą pod wschodami, już ubrana i do drogi gotowa czekała Trawcewiczowa.

— Otóż się Pan Bóg przecie nad nami ulitował — zawołała — że nas wyrwie z tego piekła,

Po odjeździe Madzi Chorążyc długo bardzo nie widział Zoni, a mało co słyszał nawet o niej. Niektórzy z towarzyszków opowiadali mu, że cudownie po doznanych ciosie przyszła do zdrowia, wypiękniała, ożywiła się i znowu gorąco zajmowała się nauką, a więcej jeszcze kwestiami społecznymi, o których namiętnie rozprawy toczyły się u niej na wieczorach, często do późnej nocy.

Co najzapaleńsza młodzież zbierała się tam na herbatę, cygara i rozmowy wielce ożywione. Widywano tam panią Heliodorę i dwie czy trzy panie, również postępowe i wyemancypowane jak gospodyni. Towarzystwo to tak do smaku przypadało młodym panom, iż co dzień prawie było ich tu pełno.

Opowiadano Ewarystowi o tych przyjęciach u Zoni, jako najnieceremonialszych w świecie. Studenci przybywali poubierani jak się komu podobało, herbatę rozdawano o tyle, o ile szklanek stawało, a drudzy na nią czekali. Papierosy przynosił z sobą każdy, siadał gdzie chciał i gdzie miejsce znalazł, a nieład miał panować w dwu pokoiach prawdziwie studencki.

Nie trafiło się Chorążycowi spotkać z kuzynką, aż w kilka dobrych tygodni, i ledwie ją poznał. Gdy widział ostatnim razem, była żółta, blada i wychudła, teraz ją znalazł odmłodzoną, rozkwitłą, świeżą, z twarzą wesołą i uragającą światu, z wejrzeniem jasnym i śmiałym, zmienioną tak nadzwyczajnie, iż nie mógł się wstrzymać od podziwiania.

— Prawda? znajdujesz, żem znowu wyładniała — odezwała się do niego śmiejąc i poprawiając piękne swe włosy, z rodzajem kokieterii burszowskiej ułożone. — Cóż ty chcesz? wiecznie się gryźć niepodobna! Życie jest głupią rzeczą, którą trzeba władać rozumnie. Nauczyłam się o nic nie dbać. Walka... to walka, kto w niej padnie, sam winien.

Popatrzyła na Chorążycę, który milczał.

— No przyjdźże kiedy do mnie! — dodała. — Tyś się kochał we mnie, prawda? ale to już przeszło, a ja miałam i mam słabość do ciebie. Chciałabym z ciebie zrobić człowieka!

Poczęła się śmiać i podała mu rękę.

— No, do zobaczenia! nie prawdaż?

I nie czekając odpowiedzi poszła dalej wesoło.

Ta nowa metamorfoza Zoni znowu przykre jej wspomnienie odświeżyła Chorążycowi. Pochlebiał sobie, że zapomniał już o niej, że się zupełnie rozczarował i ostygł! Niestety! nie ma nic niebezpieczniejszego nad żar pod popiołami ukryty! Chorążyc wrócił do domu rozmarzony tym zjawiskiem, nęcącym go ku sobie siłą dla niego niezrozumiałą.

Czym mogła w nim budzić tę nadzwyczajną sympatię, sprzeciwiająca się rozumowi, nie mająca siedliska w sercu, gnieźdząca się w jakiejś fantazji zmysłowej! Ewaryst nie mógł sobie wytłumaczyć, i sam na siebie się oburzał.

Mógł zaledwie czuć dla niej politowanie, na miłość nie zasługiwała, a Chorążyc kochał się w niej namiętnie. Czuł to, że gdyby się jej dał wciągnąć w bliższe, codzienne stosunki, ta kobieta by go opanowała, a nawet, drżał na myśl samą, sprowadzić go mogła z drogi surowszych obowiązków, zaszczepić w nim swą niewiarę i szyderstwo ze wszystkiego.

Postanowił więc unikać jej, a to mu przyszło tym łatwiej, że w dni kilka odebrał nagle oznajmienie o słabości ojca, z rozkazem, aby jak najprędzej do Zamiłowa przybywał.

Przejęty trwogą, nie stracił ani chwili, a jednak, gdy już miał siadać na wózek pocztowy, ulegając niepojętej jakiejś słabości, zjechał do Zoni, aby jej swój wyjazd oznajmić.

Znalazł ją samą, siedzącą w oknie i zadumaną.

— Jadę do Zamiłowa — rzekł wchodząc szybko — ojciec mocno zapadł, muszę śpieszyć. Chciałem ci to oznajmić, nie wiem kiedy powrócę... Każesz mi co Madzi powiedzieć.

— Kłaniaj się kiedy chcesz — zimno odparła Zonia. — Przyznam ci się, że mi to przykrość robi, iż jedziesz, choć prawie cię nie widywałam. Nawykłam ot tak, nie wiem czemu, rachować na ciebie, choć na wypadek pogrzebu! — dodała z uśmiechem gorzkim. Ty mnie teraz unikasz, a ja często myślę o tobie. Ci, co mnie otaczają to hałastrą, niewiele warta...

— Wracajże proszę, a nie zapominaj o Zoni.

Wyciągnęła mu rękę, Ewaryst ją uściśnął ze wzruszeniem.

— Dwa słowa — dodał — kiedy już rachujesz na mnie, pozwólże mi spytać się, możesz być w potrzebie? mów otwarcie.

Zawahała się rumieniąc nieco Zonia, poprawiła włosy.

— Potrzeby moje nie są wielkie — rzekła — jeżeli możesz...

Nie dokończyła, Chorążyc natychmiast wypróżnił pugilares i co miał położył na stole. Zonia raz jeszcze milcząc, zawstydzona trochę, wyciągnęła rękę do niego.

— Dziękuję — rzekła cicho — i głosem złamanym dodała nakazująco.

Wracajże... proszę.

We wzroku, który ku niemu zwróciła, było coś jak wilgotna iza, a w głosie jak tłumiony płacz.

Ewaryst był również poruszony i chcąc ukryć wrażenie jakiego doznał, pożegnał się co prędzej i wyszedł.

Wsiadając do bryczki ujrzał ją zdala na galerii domu stojącą i dającą mu chustką znak na pożegnanie.

Wszystko to byłoby może niebezpiecznie podziałało na niego, gdyby nie ciężar, jaki miał na sercu, gdyby nie myśl o ojca chorobie, o tym co zastanie w domu.

Obiecawszy podwójną zapłatę na pocztach, pędził nie zatrzymując się aż do ostatniej stacji od Zamiłowa, dzień i noc, nie zsiadając prawie z bryczki. Najstraszniejsze trapiły go przeczucia.

W miasteczku, do którego przybył drugiego dnia wieczorem, miała go niespodzianie spotkać ta wiadomość, której się tak lękał. Znalazł tu starego Piusa, z oczyma zapłakanyymi. Chorąży od wczoraj nie żył!

— A! panie — jękał się, oczy ocierając dawny sługa domu — tak umierać to doprawdy lepiej jak żyć. Skończył jak święty, pan Chorąży... Czuł swój zgon nadchodzący, przygotował się do niego pobożnie i umarł z gromnicą w rękę, z modlitwą na ustach, jakby w Bogu usypiał.

Chorążyc obawiający się o matkę, której znał przywiązanie do ojca, tym pilniej jeszcze pośpieszył stąd do Zamiłowa. Przeraziła go ta myśl, jak tam znajdzie biedną wdowę i cały ten dom okryty tak nagłą żałobą.

Noc była, gdy stanęli u wrót. Zwykła cisza i spokój panowały we dworze, tylko z dala widać było przez lekko przysłonione okiennice pokoju, w którym ciało było złożone, światło otaczające grobowe łoże i śpiew cichy dochodził uszów ze swą nutą przeciągłą, tęskną, pełną bólu razem i nadziei.

Wchodząc wprost do ciała ojca, zastał przy klęczniku nad książką żałzawioną matkę, która z cichym smutkiem chrześcijanki modliła się, z majestatem boleści poważnej, powściągliwej, jaki wiara daje tylko głęboka.

Wstała na widok syna, który klęknął najprzód nogi ojca całując, a gdy powstał chwyciła go milcząc w objęcia i trzymała długo, jako jedyną już życia podporę.

Ewaryst znalazł ją dziwnie, nadludzko już uspokojoną, przytomną, panią swej boleści.

— Dziecko moje — rzekła, wyprowadzając go z sobą — nie mogłeś przybyć po ostatnie jego błogosławieństwo, lecz błogosławił cię nieprzytomnego i spłynię to słowo ojcowskie na gołwę twoją, a puklerzem ci będzie w życiu. O! jak piękną miał śmierć! o! jak ubłogosławioną, jako życia nagrodę...

— Teraz dziecko moje — dodała — tyś tu już panem...

— A! matusiu kochana, nie ja! nie ja! — przerwał Ewaryst — i niech mnie Bóg broni od tego, abym o tym pomyślał, tyś tu panią jedyną.

I przypadł do kolan jej rozrzewniony.

Nazajutrz dzień eksportacji i pogrzebu był wyznaczony, a rozporządzenia Chorążego tak wszystko ułatwiały, iż najmniejszego zachodu nie miał nikt około tego aktu uroczystego. Chorążyna tylko, na siebie biorąc odpowiedzialność, pogrzeb usiłowała wspianalszym uczynić niż go chciał mieć nieboszczyk.

Wśród egzorty żałobnej ks. Zatoka, przyjaciel Chorążego, sam się tak rozplakał mówiąc o cnotach jego, że choć z wymowy nie sływał, wszystkim do łez pobudził.

Szła za pogrzebem, podtrzymywana z jednej strony przez syna, z drugiej przez Madzię Chorążyna, dotrwała mężnie do końca i powróciła do Zamiłowa z tym samym męstwem, którego teraz nowe, osieroczone życie potrzebowało.

Ewaryst musiał, dla pomocy i pociechy matki jakiś czas przy niej pozostać.

Chorążyna nawet starodawnym obyczajem, zbytnej wagi nie przywiązując do nauk a wielką do praktyki i czynnego życia, chciała syna wyciągnąć z Kijowa i osadzić na wsi.

Sama zamierzała pozostać przy nim, dopóki by się nie żenił, a potem uspokojona o niego chciała osiąść w drugim folwarku i tam czekać końca, którego prawie z utęsknieniem wyglądała.

W domu tym, którego osią niewidomą był ów starzec, co teraz ubył mu tak nagle, brakło go na każdym kroku, przypominał się co chwila, lecz pozostawił po sobie wszystko w takim porządku, tak naprzód obrachowane, iż zdało się jakby jeszcze on miał w rękę zarząd cały.

— Tak Jegomość nieboszczyk chciał, tak pan Elias rozporządził — odzywało się ciągle.

Gdy się nieco uspokoiło w domu po pogrzebie i wszystko weszło w dawne karby, Madzia dopiero śmiała się zapytać Chorążycę o siostrę. Uczyniła to zakłopotana, rumieniąc się, wstydząc niemal tej pocziwej ciekawości swojej.

— Cóż z tą biedną się dzieje? — przebaknęła nieśmiało.

— Mało ją widywałem — odparł równie zmieszany Ewaryst. Na wyjezdny tylko byłem u niej. Nie zdaje mi się, aby tam zaszło co nowego, nic gorszego.

Madzia spojrzała badawczo na niego, chcąc więcej z niego wyczytać niż mógł jej powiedzieć. Ewaryst dodał prędko:

— Wierz mi, Madziu, ja nie straciłem wszelkiej nadziei... Biedna Zonia, której nieszczęściom winno jej wychowanie, w samych nich niech znajdzie lekarstwo.

— Nie rozpaczam! — powtórzył.

— A! dałby to Bóg! — odparła Madzia — aby się słowa twoje sprawdziły.

Rozmowa nie przeciągnęła się dłużej dnia tego, lecz następnych, przy wszelkiej zręczności, przy każdym spotkaniu Madzia usiłowała zrećnie wybadać kuzynka. Ten w istocie niewiele jej mając do powiedzenia, powtarzał swe pociechy.

Prawie dwa miesiące przeciągnął się pobyt Ewarysta na wsi, lecz w końcu, mimo usilnego nalegania matki, potrzebował wrócić do Kijowa, ażeby tam raz nauki dokończyć i zdać egzamina. Wszystko to razem nie powinno się było nazbyt przeciągnąć, a Chorążyna cieszyła się zawczasu, że ta podróż będzie już ostatnią i że Ewaryst, wróciwszy osiadzie na wsi. Jedyną jej myślą teraz było, dla siebie jak najmniej ze dworu zostawując, przygotować synowi pobyt wygodny i miły.

W czasie, który miał spędzić w Kijowie, Chorążyna chciała oczyścić, poprzerabiać, ustroić pokoje dla syna. Teraz on w jej przekonaniu był głową domu.

Na próżno Ewaryst prosił, aby go w dawnych jego pokoikach zostawiono, Chorążyna mu nawet nie odpowiadała. Z dnia na dzień ściągany wyjazd na ostatek został już na pewno oznaczony. Ponieważ przedtem testament był otwarty i w nim zapis dla Madzi i Zoni wyczytano, mógł Chorążyc pod pozorem częściowej jego spłaty (choć ta była zamążpójściem obwarowaną) coś zawieźć Zoni, aby jej życie ułatwić. W wigilię też czatowała nań Madzia, która ściągnęła swojego co mogła, prosząc go o zabranie listu do siostry.

Zaledwie przybywszy na powrót do Kijowa, nazajutrz pośpieszył do Zoni Chorążyc, a chcąc ją zastać samą, poszedł rano.

Nie było jej jeszcze w domu, lecz bardzo gadaltiw? służka nowa upewniła, że natychmiast pani nadejdzie, wstrzymał się więc, oczekując na nią.

Mieszkanie toż samo, które znał, mało co znalazł zmienione, coś jednak jakby nowym, innym życiem wionęło po nim. W oknie stały kwiatki, których tu nigdy nie bywało, więcej czystości, porządku, nawet małych elegancji dostrzegł zdziwiony nieco Ewaryst...

Między książkami rozrzuconymi na stoliku dostrzegł (nieco) i poezyj i romansów, wprawdzie bardzo śmiałych i jaskrawych, lecz z innego przybyłych świata.

Siedział chwilę rozpatrując się tym Ewaryst, gdy w progu stanęła Zonia i wesołym przywitała okrzykiem. Spojrzenie na żalobę kazało się domyślać straty jaką poniósł.

Zonia, która przy ostatnim ich widzeniu się była już odmłodzoną i zmienioną na korzyść swoją, wydała się Chorążycowi jeszcze piękniejszą teraz, ślady tego co przecierpiała znikły zupełnie, twarzyczka się wypełniła, oczy śmiało i wesoło patrzyły, ubrana była z pewnym staraniem, pół męsko, pół po kobiecemu i stawiała się z jakąś brawurą, z która jej było do twarzy.

Nie kryła bynajmniej radości jaką jej sprawiał widok Ewarysta, chwyciła go za obie ręce, wpatrzyła mu się w oczy i powtarzała poruszona:

— A! przecież wróciłeś myślałam, myślałam doprawdy, że cię chyba nigdy nie zobaczę i czułam, że ty mi jesteś potrzebny, ażem się na siebie gniewała!

Te oświadczenia niespodziewanej czułości wprawiały Ewarysta w niewysłowiony niepokój i trwogę. Chciało mu się uciekać, taką w nim budziła obawę.

— Mówiłam ci ostatnią razą, gdyśmy się widzieli — dodała po chwili — że mi ci ludzie, ta młodzież, z jednym wyjątkiem ciebie, obrzydliwość sprawiają! Wszystko to małe, dziecinne, nadęte, chytre — paskudne. Jacy z nich ludzie porosną, ja nie wiem...

Mówiła żywo, nie dając się prawie odzywać Ewarystowi, pilno jej było wypowiedzieć się przed nim.

— Widok tych miłokosów już mnie wcale nie bawi. Lalki otrębami powypychane. Wszystko to głośno wyznaje pryncypia, których jutro się wyprze dla kawałka chleba. Pamiętasz tego szanownego mistrza mojego i ojca Jewłaszewskiego, od którego całusa mnie uratowałeś.

Był to przecie wódz nasz i prorok, jasna gwiazda! Nie wiem skąd spłynął na niego strumień złoty, i prorok zmienił się w najpociesniejszego trutnia, który od swych adeptów jak od zapowietrzonych ucieka.

Żebyś go widział teraz! Nie zna nas! Boi się spojrzeć, aby nie skompromitować.

Jego *alter ego* Zyżyński dostał mały urzędzik i zerwał z nami... Dobrze są zasady, ale chleb i spokój dla nich jeszcze lepszy. Mizerne robactwo!

Splunęła z pogardą. Ewaryst, który patrzył na nią i słuchał z zajęciem, mimowolnie był pod urokiem jej słów gorących... wydała mu się, jak niegdyś, zachwycająca.

— Ludzie — dodała — mają jasne chwile szlachetne i poczciwe, to prawda, ale w ogóle i z natury swej są podli. Nie wyjmuję siebie!

Zwróciła oczy za okno, przy którym siedziała i zamyśliła się dumnie. Twarz jej z tym wyrazem pogardy dla świata była piękną jak starożytna maska tragiczna, i straszną zarazem. Chorążyc oka z niej spuścić nie mógł.

Po krótkim milczeniu zaczął mówić o domu, o Madzi i usiłował naprowadzić rozmowę tak, aby przywiezioną dla niej pomoc mógł oddać. Gdy zagał o tym, zdziwiła się mocno, ale weselej spojrzała i odetchnęła.

— W moim życiu — odezwała się — ty jeden zawsze przybywasz w porę. Dziwna rzecz, zaczynam wierzyć w jakiś fatalizm, który nas z sobą wiąże. Boję się, bym nie uczepliła się ciebie jak kamień do szyi, bo ja nie mogę być czym innym tylko kamieniem! Niestety!

Chorażyc powiedział jakichś kilka słów niezrozumiałych, był nad miarę wzruszony.

— Jak to nigdy pierwszym wrażeniom, które mają być tak trafne, wierzyć nie trzeba — dodała Zonia — wydawałeś mi się z początku niezdolnie sztywnym, teraz czuję w tobie życie.

Ewaryst chciał już co najprędzej przerwać tę niebezpieczną rozmowę i składał list i pieniądze, aby ją pożegnać, choć go wstrzymać usiłowała, gdy weszła pani Heliodora.

I ta od czasu jak jej nie widział Ewaryst zmieniła się w osobliwszy sposób, wybielała, utyla, spoważniała, a strój jej był daleko staranniejszy.

— Panią Heliodorę, niegdyś Paramińską, wdowę — odezwała się szydersko Zonia — prezentuję panu jako panią młodą, od miesiąca zaślubioną przez Radcę nadwornego Majstruka... A cóż? nie siurpryza! Wprawdzie Radca nadworny bez zębów, ale oboje mają co jeść.

— Ale, proszę cię — ty papugo nieznośna! — zawołała pani Majstrukowa. — Już ci język świerzbiał.

— Jakże nie? — odparła Zonia — taka metamorfoza! Heliodora wyrzekła się szatana i spraw jego, wieczorków ze studentami i rozpraw o chłopach i emancypacjach, a ma za to pozycję socjalną. Radcę bez zębów i...

Pani Heliodora bliską była gniewu. Zonia uściskała ją i zamilkła.

— Mogłabym i ja coś o tobie powiedzieć, ty szatanie długojęzyczny — odezwała się niegrzecznie pani Majstrukowa — ale się mścić nie chcę.

— Przynajmniej mi nie zarzucicie, abym przeszła do cudzego obozu! — odezwała się — a z nędznego życia mojego nikt mnie rachunku słuchać nie ma prawa!

Ewaryst byłby się może ze szczebiotania dwóch przyjaciółek wiele ciekawych rzeczy dowiedział, lecz skorzystał z przyjścia pani Majstrukowej, aby Zonię pożegnać.

Odprowadziła go do drzwi i w progu nakazująco powiedziała.

— Ale bywajże u mnie!

Mówiła to z takim przekonaniem o swej sile, jakby wiedziała, że Chorażyc oprzeć się jej nie potrafi.

Wchodził do niej z obawą, ale wyszedł teraz upojony tak, iż sam siebie się wstydział. Biło mu serce nie litością już dla szalonej tej Zoni, ale namiętnością ślepa, niepamiętną ni jutra, ni nawet godności własnej.

To, co powinno było Chorażycyca ustrzec od niebezpieczeństwa, jego życie przeszłe skromne, samotne, dalekie od zwykłych męskich płocności młodzieńczych, — czyniło go właśnie słabym. Była to pierwsza jego namiętność, wybuchająca z taką siłą, że walczyć z nią nie umiał.

Pragnienie zbliżenia się do Zoni, niepołamane, łączyło się w nim z trwogą zwiastującą niebezpieczeństwo. Wiedział, że oprzec się jej nie potrafi niczym, że ona może go zaprowadzić na bezdroża, i zawczasu czuł, że szał będzie musiał okupić wstydem i łzami.

W kobiecie tej grała chwilowa fantazja jakaś, pobudzając do drgania wystygłe serce, w nim z krwią razem poruszała się dusza. Było to pierwsze marzenie jego.

Nie chcąc myśleć nawet o tym, bo myślenie działało nań burząco, Ewaryst nie powrócił do siebie, poszedł do dawnego znajomego Euzebiusza Komnackiego, aby jakimś nowym wrażeniem zatrzeć pamięć o tym, co go tak silnie poruszyło.

Zastał go nad pisaniem rozprawy, otoczonego książkami, tak ostygnęło i zagrzebanego w studiach jak go zostawił.

Zazdrościł mu. Komnacki powitał go kondolencją, słyszał bowiem o śmierci Chorążego.

— Zapewne powrócić będziesz musiał na wieś, ty szczęśliwy człowieka — rzekł do niego Euzebiusz — gdy ja, prawdopodobnie, otrzymawszy stopień, gdzieś bakałarzować będę zmuszony.

— Nie wiem jeszcze kiedy wrócę do wiejskiego życia, ale i ja egzamina chcę zdać wprzódy, zabawię więc czas trochę dłużej.

— Gdyby nie książki i nie kilku ludzi poważniejszych, nudziłbym się tu strasznie — dodał Komnacki. — Próbowałem dla odmiany trochę się pokumać z młodzieżą i odwiedzić parę razy nasze znajome, panią Heliodorę, pannę czy panią Zonię — ale...

Tu Euzebiusz uciał nagle.

— Pani Heliodora poszła za męża — przerwał Ewaryst.

— Wiem o tym, musiała biedna skończyć na starym Radcy — mówił Komnacki — a owa Zonia wygląda jeszcze podobnego końca.

— Przepraszam — wtrącił — jest że to istotnie jaka kuzynka twoja? — Chorążyc zlekka się zarumienił.

— Daleko bardzo krewna — odparł — której dola mocno mnie jednak obchodzi.

— Tym gorzej — rzekł pan Euzebiusz — bo, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa szczęśliwą być nie może. Kobieta wielkich zdolności, jak się zdaje, ale jeszcze większego rozpasania umysłowego. Złe towarzystwo ją zgubiło.

— Zdaje mi się — odezwał się trochę dotknięty tym Chorążyc, czując już obowiązek bronięcia jej — że nieszczęścia, których doznała, sprowadzą w niej zmianę na lepsze.

Euzebiusz się uśmiechnął.

— Ha! daj to Boże — odezwał się — lecz są kresy, z których zawrócić się niepodobna, a ta biedna podobno je przekroczyła.

Chorążycowi zrobiło się smutno i boleśnie, lecz widział w tym razem lekarstwo na namiętność swoją.

— Przez parę miesięcy tu nie byłem — rzekł — nie wiem co się z nią działo.

— Uczyla się i trzpiotała razem — odparł Komnacki. Młodzież do niej lgnie, bo nigdy nic podobnego w płci niewieściej nie oglądała, a ona!

Ruszył ramionami.

— Nie słyszałeś o czym, o kim? — spytał nieśmiało Ewaryst.

— Nic tak dobitnego i pewnego — rzekł Komnacki spokojnie. — Wiem, że raz już przez nią podobno odprawiony bogaty ów młodzik, Zorian, na nowo się do niej uwiązał i przyjmowała go czas jakiś, ale przepędziła w końcu. Mówiono mi o innych, że chwilowo byli w łaskach, wszystkich podobno ten los spotyka, że nielitościwie ich wyszydźwszy precz odgania.

— W tym nie byłoby jeszcze nic tak ostatecznie złego — odparł Ewaryst.

Komnacki się skrzywił i zwrócił rozmowę na co innego, dłużej go dopytywać nie chciał Chorążyc.

Wrócił spokojniejszy do domu, sam się okłamując i dowodząc, że w istocie w stosunku tym nie było dlań tak wielkiego niebezpieczeństwa, jak sądził w początku. Sama płochość Zoni, na którą miał patrzeć, była zbawiennym lekarstwem.

Nazajutrz z ostyglejszą już myślą wszystko rozważywszy, powrócił do pierwszego, dawnego postanowienia, aby Zoni o ile możliwości unikać i nie spotykać się z nią, chyba bardzo rzadko.

Miał tyle mocy nad sobą, że choć po kilkakroć był już w drodze do Zoni, wrócił do domu, poszedł gdzie indziej, przemógł tę siłę, co go ciągnęła.

Upłynął tydzień, Chorążyc triumfował: a jednakże ciągle o tym tylko myślał i walczył z sobą. Zamykał się w domu, zagrzebywał w robocie.

Jednego wieczora znowu się tak zwyciężywszy, zasiadał do pracy, gdy drzwi się otworzyły, weszła Zonia.

Znać było po niej, że przywieszona jej pieniądze, po kobiecemu użyła, co jakoś do niej nie było podobne. Była strojna, kapelusik, futerko, zarekawek, aż do bucików ciepłych, wszystko miała jak z igły.

Wchodząc zatrzymała się w progu.

— Czy można?

Ewaryst porwał się zmieszany.

— Proszę się nie ruszać, siadam naprzeciw, ogrzeję się i wychodzę, bo wizyta moja, o tej porze, tak przyzwolitego młodzieńca mogłaby nawet skompromitować. Nie byłam w sile oprzeć się tej zachciance. Tydzień nie byłeś u mnie. Góra przyszła do Mahometa.

Wszystko to mówiła głosem jakimś nie swoim, słodszy, bardziej pieściznym, w którym drgało jakby uczucie.

— Byłem trochę chory i bardzo, bardzo zajęty! — odparł zmieszany Ewaryst — właśnie się wybierałem.

— Ale ja wiem, że kto nie chce przyjść jest zawsze chory i bardzo zajęty — rozśmiała się Zonia, rzucając zarekawek na stół i podpierając się na rączkach wedle zwyczaju. — Dlatego ja — dodała — chcąc cię widzieć koniecznie, przyszedłam sama.

Westchnęła.

— Widzisz, jak się stałam pokorną i łagodną, zamiast cię łajać, ja się tłumaczę. Co to się stało z tą Zonią!

Chorażyc słowa nie mógł znaleźć na odpowiedź, krew w nim pobudzona płomieniem biegła po żyłach... Zonia siedziała spokojna jakaś, pół smutna i patrzyła mu w oczy upornie, natarczywie.

Jużci też przez litość, nawet według waszych zasad chrześcijańskich należało, abys przychodził nawracać nieszczęśliwą, zgubioną grzesznicę — poczęła mówić — a grzesznica sama została zmuszoną przyjść kusić anachoretę!

Trzeba to było w żart obrócić i Chorażyc wyparł się ostatniego przydomku.

— Jeśli nie anachoretą, przynajmniej jesteś... no — purytaninem — dodała — choć była chwila, gdy się w Zoni kochałeś...

To mówiąc wstała z krzesła.

Poczęła się przechadzać po pokoju, zajrzała do drugiego, oglądała książki, z ciekawością kobiecą odgadywała życie Ewarysta, po tym, co do niego należało.

Książka jakaś zajęła ją, wzięła z półki nie pytając i włożyła do zarekawka. Obchodziła się z mieniem i osobą Chorażycy jakby do nich miała prawo zupełne.

Przeszedłszy się tak parę razy, wzięła swój zarekawek z książką.

— Idę — nie odprowadzisz mnie?

— Z chęcią — rzekł Ewaryst — ale jeżeli tam zastaniemy zwykle towarzystwo?

— Nikogo! dałam im wszystkim odprawę — odezwała się Zonia. — Zorian znowu mnie chciał uszczęśliwić, dwom czy trzem innym musiałam drzwi pokazać... a teraz się nudzę jak grzeczne dziecko. Winienes mi za to indemnizację!

Mówiąc tak zesłi powoli ze wschodów, w ulicy zerwała się była zawieja, śnieg miótt okrutny, Chorażyc zawołał na sanki. Siedli do nich oboje i zwoszczyk popędził cwałem.

— A! tak lecieć! lecieć, na koniec świata, zamknąwszy oczy!

Przysunęła się do Ewarysta.

— Nie każ jechać do domu! ruszajmy gdzie w świat. Mróz jest dobry, ja powoli usnę, a we śnie, mówią, lekka śmierć przychodzi... Tak sobie umrę, przytulona do ciebie...

Zamilkła.

Po krótkiej przejażdżce sanki stanęły u drzwi kamienic.

— A! już — odezwała się wstając... — tak prędko...

Powoli zadumana powlokła się na schody, spierając na rękę Ewarysta, nie mówiąc nic. Weszli tak na górę.

Tu jak przebudzona Zonia zawołała na sługę o samowar i herbatę.

— Będziem sami, w zawieruchę nikt nie przyjdzie — odezwała się.

Chorażyc był ciągle jak pod wrażeniem snu jakiegoś, męczącego razem i miłego... Zonia, choć mało zdawała się zważać na niego, widziała dobrze co się z nim działo. Niekiedy uśmiezek szyderski razem i wesoły przebiegał po jej ustach...

Nim podano herbatę wszczęła rozmowę o Zamiłowie, o siostrze, o przyszłości.

— Zakopiesz się na wsi — rzekła — to nieuchronne. Jest to rodzaj barłogu jak te, w których niedźwiedzie śpią przez zimę, spać będziesz wygodnie całe życie. Ożenisz się naturalnie z cnotliwą i spokojną istotą, która... będzie cię mocno kochała, nie mając kogo innego... Wszystko to bardzo ładne, tylko nie wiem, czy to nazwać życiem czy umieraniem. Tępieje wszystko, zmysły, umysł... człowiek grabieje, zdrętwia się, zastyga, nie cierpi i nie czuje. Myśl śmielszą zażegna ks. proboszcz, namiętność ukołyszże żona, sercu wystarczą uściski dzieci. Ale czy to życie?

Chorażyc nie śmiał się jej sprzeciwić, choć go raniła boleśnie tymi szyderstwami.

— Do rozpoczęcia takiego życia mnie jeszcze daleko — rzekł, zenić się wcale nie myślę.

— A! to cię ożenią! — przerwała Zonia.

— Nie mam dotąd ochoty — odezwał się Ewaryst.

Popatrzała nań.

— Taki klejnot jak ty będzie tak poszukiwanym — dodała Zonia — że w końcu ktoś go pochwyci!

Podawano herbatę. Pierwszy raz Zonia sama koło niej gospodarować zaczęła, dawniej robiła to służąca.

— Widzisz — rzekła — nauczyłam się kobiecych obowiązków, bo na cóż my biedne więcej się wam zdałyśmy? Obrabiamy wam chustki do nosa, gotujemy w kuchni, smażym konfitury i nosy ucieramy dzieciom.

— Kobieta wasza to jeszcze zawsze po staremu sługa... głowy ni myśli podnieść jej nie wolno, ani mieć serca na swój własny użytek, bo ona należy do pana.

— Że wy z takimi manekinami możecie żyć, kochać się, pieścić i wytrwać, to wam honoru nie czyni. Ja, gdybym była mężczyzną, chciałabym mieć kochankę, co by mnie dorosła. — Milczał jeszcze Chorażyc.

— Z niewolnicami wygodniej — dodała Zonia, podając mu herbatę...

— Wiesz — wtrąciła nagle — ja z miłości pojmuję nawet niewolę, ale dobrowolną!

— Przepraszam cię, Zoniu — odezwał się w końcu Ewaryst — lękam się, abyś ty fantazji nie brała za miłość.

Zonia pobladła nieco, oczy jej się zaiskrzyły.

— Myślisz? — spytała. — Ja bo nie wiem, czy która miłość nie jest fantazją. O wiekuistych na świecie mowy nie ma.

— Ale z nich trwała potem przyjaźń urasta — rzekł Chorążyc.

— Nałóg po prostu — odparła Zonia — ale i nałóg ma swą wartość!

Skrzywiła usta i dodała:

— Nie sądź o mnie surowo. Ewaryście, nie miałam nigdy fantazji, nie kochałam może nigdy, szukałam tylko kochania i pragnęłam go — ale, gdy raz znajdzie serce to, za czym biegalo po świecie!...

Przerwała nagle, milczenie dopowiedziało.

Godzina była późna. Chorążyc siedział jak na żarzących węglach, wstał wreszcie, aby ją pożegnać. Popatrzała nań niespokojnie.

— Wrócisz do mnie? — zpytała, chwytając go za rękę — nie zrazisz się zuchwalstwem moim i narzucaniem? Wrócisz?

Chorążyc szepnął coś cicho.

— Musisz — dodała — ja ci każe... nie broń bo się tej... sympatii (tu się uśmiechnęła), jaką masz dla mnie.

Położyła mu rękę na ramieniu, pochyliła głowę ku niemu.

— Jutro — pamiętaj! jutro!

Mniej pozornego a zręczniejszego człowieka nad Jefrema Wasyliewa trudno było znaleźć na świecie.

Dorobiwszy się znacznego handlu i posiadłości nieszpętnej, wcale niezaspokojony tym co miał, a mało z tego używał, dzień i noc przemyślał milcząco Wasyliew jakby dorobić się więcej. Patrzył on już na wyrosłe z ziemi jak grzyby fortuny ogromne, miał za co ręce zacześcić, bo i znaczny kapitał obrotowy nosił za czerwoną koszulą w brudnym pugilaresie, obawiając się go powierzyć kasie lata go nie przygniatały, umysł żywy był jeszcze, pole, na którym pracował, wdzięczne, łamał więc głowę jak to wszystko wyzyskać.

Największą troską była dlań kamieniczka, kupiona dla powiększenia handlu a niezbyt dobrze procentująca. Odnowione mieszkanie na pierwszym piętrze ledwie po długim oczekiwaniu znalazło lokatorkę, jużci nieszczęście go jej pozbawiło. Jewłaszewski, który po jejmości odziedziczył zapłacony lokal, w żadnym razie dłużej w nim siedzieć nie myślał nad termin a rad się nawet był pozbyć.

Utrapienie z tym piętrzem, które miało znowu stać pustką, tak uciskało Wasyliewa, że przyszła mu myśl genialna.

Postanowił założyć rodzaj herbaciarni i restauracyjki na górze. Był to doskonały sposób puszczania w obieg z zyskiem wielu artykułów handlu znajdującego się na dole, przywabienia nowych znajomości i zarobku, choć nie bez kłopotu. Dojrzeć zarazem sklepu na dole i gospody na piętrze, dla czynnego i bystre oko mającego człowieka nie było nad siły. Młodzież akademicka, z którą w wielorakich był stosunkach Wasyliew, dawała się pociągnąć łatwo, a i na resztę łaskawej publiczności, szczególnież czasu ożywionych kontraktów, liczył zabiegliwy gospodarz.

Nowe czekały go wydatki, bo dla przywabienia gości potrzeba było, na wzór moskiewskich restauracyj, sprowadzić choć mały Orchestrion od Kaufmana z Drezna; cały nowy sprawić inwentarz... na to go jednak starczyło.

Raz powziąwszy myśl, gdy się Jewłaszewskiego pozbył, Wasy-

liw piorunem ją wykonał i w czasie, gdy pan Ewaryst powrócił do Kijowa, już herbaciarnia stała otworem i jak wszystkie zakłady nowe cieszyła się powodzeniem wielkim. Szczególniej studenci uczęszczali tu chętnie, mając pokój oddzielny dla siebie, gdzie wrzawliwie rozprawiać mogli i rozmaitych wyłącznych używali przywilejów.

Schodziło się tu i uczącego się i czasem uczonego świata dosyć na wyborną herbatę, do której przekąskę zawsze dostać było można, a w razie potrzeby i wina aż do szampana.

Przy tym gospodarz był przyjacielski, wesół i wydawał się tak dobrodusznym, że go za bardzo potulnego miano. Zabłąkał się tu czasem i pragnący popularności pan profesor i obcy jakiś ciekawy podróżny, wprowadzony przez jednego z klientów miejscowych.

Bywali tu po drodze wszyscy niemal w styczności będący z młodzieżą. Na wytworność nie sadił się Wasyliw, ale to co dawał w szczupłych dozach, było dobre; herbata celowała. Każdego też wieczora, szczególnie zimowego, w pokoju na tyle, gdzie palono ile chciano wszelkiego zielska chodzącego pod imieniem tytoniu, pełno było gwarliwych kupek.

Jednego dnia, a miało się już ku wiosnie, choć lody i śniegi uparcie się jeszcze trzymały, siedziało tu kilku młodych ludzi i kilku starszych. Był i pan Euzebiusz Komnacki, i piękny Zorian, i część tych, co dawniej uczęszczali do Heliodory za czasów Jewańszewskiego.

— Znacznie się u nas zmieniło od roku — mówił jeden — postradaliśmy Jewańszewskiego, który nam kominka wywinał.

— Daj mu pokój — przerwał drugi — musiał on mieć słuszne i wielkie powody, ja go nie obwiniam.

— Ja też nie radbym — odezwał się pierwszy — jednak mi to niezrozumiałe, a koniec końców zawsze dezercja!

— No! no! — zaszemrali drudzy — człowiek był wielkiej inicjatywy, budził do ruchu i życia, nie godzi się go potępiać.

— Czekajmy, to się wyjaśni — dodał ktoś z boku.

— A! czekajmy! albo się wyjaśni lub gorzej zaciemni — poprawił inny...

Rozśmieli się wszyscy.

— Nasza poczciwa Heliodora pokutuje radczynią, i ani do niej zajrzeć — mówił z boku trzeci. — W ulicy spotkawszy ją, darmo się człek kłania, odwraca głowę, *nescio vos*.

— Zachciałeś, obawiała się zestarzeć, a nikt inny do ołtarza się nie kwapił.

Z ciemnego kąta wyrwał się ktoś z komentarzem trochę śmiałym, który śmiech tłumiony obudził, inni zaprotestowali.

— Wszystko to nic — wtrącił ktoś z boku — najbardziej żał to Zoni! To była bohaterka nasza, to była Tytania, jaką ją słusznie

nazywano, to była kobieta jakiej drugiej nie ma na świecie, a i tę straciliśmy.

Rozmowa o Zoni byłaby zaraz ożywiła się, bo kilka głosów gorących podniosło się ze stron różnych, gdy Tardziak, jeden z najzwyczajniejszych młodzieńców, nie tyle do nauki jał do gawędy i figlów, wszedł śpiewając małoską piosnkę i wiodąc z sobą jegomości, którego od niejakiego czasu często tu widywano wieczorami.

Był to cudzoziemiec, przybyły przed kilku miesiącami, którego znali z widzenia i nawet niby z bliska prawie wszyscy, ale właściwie kto on był, co tu robił, po co przyjechał, dlaczego siedział, powiedzieć nikt nie umiał.

Zwał się an i mianował Francuzem i na biletach stało: Monsieur Henri d'Estompelles, mówił jednak wyśmienicie po niemiecku, co Francuzom trafia się bardzo rzadko, nieźle po angielsku, wprawnie po włosku, rozumiał po rosyjsku i kaleczył też ten język, równie jak polski na ostatek nie było ludzi trochę znaczniejszych w Europie, o których by nie utrzymywał, że był ich przyjacielem, i przedmiotem, o którym by mówić nie mógł tak zręcznie, jakby był głęboko wtajemniczony.

Typ to był commis-voyageur'a, ale wyższego rzędu, bystre pojęcie, znajomość ludzi a raczej instykt w ich ocenianiu, jaki daje doświadczenie, ogromny, ucho baczne, wzrok co zdając się nie patrzyć widzi, przy tym powierzchowność zręczna, obejście się łatwe, wścibstwo i umiejętność badania a niewygadania się — znakomita. Średniego wzrostu, gibki, zawsze bardzo starannie ubrany, uperfumowany, pachnący, pan Henryk obracał się we wszystkich kołach, jakie mu tylko były dostępne. Cisnął się do arystokracji i wpływowych urzędników z natręctwem niemal bezczelnym, z pokorą aż do upodlenia posuniętą, obcował chętnie z młodzieżą i w hulankach brał udział chętny, grał we wszystkie gry, począwszy od bilardu, w którym był mistrzem, był jednym słowem do wszystkiego, a Małosrosjanie powiadali o nim po swojemu „kudy kiń to Kozak“ (gdzie go rzucisz, kozakiem wszędzie).

Pan d'Estompelles miał, jak powiadał, udział w jakiejś fabryce tkanin jedwabnych i podróże odbywał dla studiowania, gdzie by się one umieścić dały, zarazem jednak podejmował się sprowadzać wina z Bordeaux, maszyny z Belgii, zegarki ze Szwajcarii i konserwy mięsne z Ameryki.

Tych mnogich interesów, którymi był obarczony, wcale po nim dymyśleć się nie było podobna.

Na pozór nie robił nigdy nic, bawił się po dniach i nocach w takich towarzystwach, gdzie nawet guzika kościannego umieścić nie było podobna, a w rozmowach poruszał chętnie takie kwestie, które z powołaniem jego nie miały najmniejszego związku.

Chociaż na biletach stało owo de arystokratyczne, w demokratyczniejszych kołach mówił po cichu, że nazywał się po prostu De-

sfontpelles, bez apostrofy, a przybrał ją w interesie handlowym, aby z nią łatwiej wniknąć do towarzystw, które mu były potrzebne.

Potrzebnymi zaś, dziwna rzecz, zdały się być te, do których najchętniej uczęszczał, choć w nich owa apostrofa wcale nie była cenioną.

Średnich lat, ale trzymający się młodo i obyczajem mając do zbytku młodzieńcze, pan Henryk ze studentami był w najlepszej komitywie, za pan brat. Ugaszczał ich, dawał się zapraszać, i nie było nad niego lepszego, szaleńszego koleżki.

Rozumie się, że przybylec z zachodu wioził z sobą teorie socjalne najświeższego kroju, tylko co z pieca i gardłował za nimi. Sam się opowiadał przyjacielowi od serca Mazziniego i wielu innych znakomości jaskrawej barwy. W przedmiocie socjologii miał niepospolitą erudycję i zasady krańcowe. Zresztą w ideach, które głosił, ścisłej logiki, ciągu pewnego trudno było dopatrzeć, dosyć mu było gdy teoria świeciła nowością a szła daleko, aby jej przyklaskiwał.

Charakteru zdawał się niezmiernie otworzystego, wygadywał się na pozór ze wszystkim co miał, o sobie tylko milczał. Z tego co mu się kiedy niekiedy, pod naciskiem pytań niedyskretnych wyslizgnęło, nic nie można było wyciągnąć, nawet ułamki te zbliżone do siebie nie schodziły się.

Ale człek był miły, choć go do rany przyłożyć, dla kobiet galant i nie przebierający w nich, do kieliszka gotowy choćby o północy, do wszelakiej zabawy na promotora niezrównany.

Ci co mieli zręczność widywać lub słyszeć o nim od kół artystycznych, w których rad się obracał, powiadali, że tam, nadzwyczaj sprytnie, grał rolę zupełnie odmienną i silnie napiętnowaną konserwatyzmem, ale co komu innemu za złe by poczytano, jemu ucho działo jako doskonałemu filutowi, który w pole miał wyprowadzać możnych...

Nadzwyczajna ciekawość cechowała pana Henryka. Jakby zadaniem jego życia było wszystko wiedzieć, podsłuchać, znać każdego, wsunąć się wszędzie, nie opuszczał żadnej zręczności robienia nowych znajomości i inicjowania się w nowe stosunki. Dosyć powiedzieć, że był w przyjaźni z Wasyliwem, a wszędzie gdzie mieszkał z każdym z gospodarzy w najpoufalszej zażyłości...

Nie było rzeczy, której by sobie opowiadać nie kazał, choćby na pozór najmniejszej nie miała wagi, zaciekawiała go lada drobnostka.

Pamięć też miał nadzwyczajną, a choć nazwiska źle wymawiał, dość mu było raz widzieć człowieka i dowiedzieć się coś o nim, aby go sobie przypomnieć.

Powiedzieliśmy, że pan Henryk wchodził z młodym Tardziakiem, bardzo ładnym chłopaczkiem, z którym był w szczególnej zażyłości, gdy właśnie imię Zoni wymawiano.

Widował on ją z daleka i był jednym z najzapaleńszych czcicieli

jej wdzięków i charakteru niepodległego; docisnąć się jednak do niej dotąd nie zdołał.

Nie nazywał ją nigdy inaczej, jak „la belle Titania“.

— No, cóż o pięknej Titanii nowego? — zawołał zaraz.

— Nowego nic, stare żale nad tym, że dla nas jest tak jak stracona — rzekł ktoś.

— A! a cóż się z nią stało? — zapytał milczący Euzebiusz.

— Siedzi zamknięta od kilku miesięcy, prawie jej nie widać — począł jeden z tęsknych wielbicieli. Zmieniła się bardzo, a temu wszystkiemu winien ten Ewaryst.

— Co? Ewaryst? — zapytał Komnacki. Chyba jako krewny namówił ją do zmiany życia.

Zaczęto się śmiać i ramionami ruszać.

— Cóż nie wiesz, że się szalenie w sobie kochają, że po całych dniach są z sobą, chodzą, jeżdżą razem, zdaje się, że nawet w jednym domu mieszkają, on na dole, a ona na górze. Kto tam z nich kogo opanował, powiedzieć trudno, ale z charakteru Zoni wnosząc, ona kuzynka musiała wziąć za głowę...

— Ewaryst! — zawołał Euzebiusz — ale to niepodobieństwo! Prawda, że nam znikł nagle z oczów, że nie bywa nigdzie, lecz byłem pewny, że się gotuje do egzaminów.

— An o nich myśli! — przerwano.

— On! tak poważny, tak surowy, nie — wołał Komnacki — to coś innego być musi, wy go nie rozumiecie, ja go znam.

Śmieli się otaczający.

— Cóż? przyszła kryska na Matyska — rzekł jeden. — Ludzie tego temperamentu co on nie szaleją łatwo, ale raz puściwszy się diabelskiego tańca, gotowi do zdechu...

— Widzieliście Ewarysta, jak wygląda — rzekł Zorian, to szkielec, tak wynędzniał, ale ja, panowie moi, nie dziwuję mu się, bo Zonia, w której do dziś dnia jestem rozkochany, rozbroiłaby ascetę... To szatan czy anioł, nie wiem, a pewno niepospolita istota z gliny naszej ulepiona.

— Ma słuszość! słowo honoru! ma zupełną słuszość — dodał gorąco pan Henryk — ja ją wielbiłem z daleka, bo teraz się do niej zbliżyć niepodobna, ale oświadczam, że takiego uroku, takiego wzroku, takiego wzroku, takiego coś ponętnego, porywającego jak ona ma, w całym świecie nie widziałem; mogę się pochwalić, że co do kobiet najrozleglejsze studia czyniłem nad niemi, niemal po całym świecie, ale ani nasze artezjenki, ani rzymskie transteweranki trzynastoletnie, ani gruzinki, ani jasnowłose córki albionu... Każda w swoim rodzaju piękna, z nią się mierzyć nie mogą! To coś idealnego.

— Idealnego — zawołał jeden ze starych wielbicieli — chociaż ona wcale na anioła nie pozuje, ale na zucha, którego szorstkość czasem grozą przejmuje! Ba! — dodał — to wszystko nic jeszcze,

widzieć ją z dala, fraszka, słyszeć ją i widzieć razem, gdy ją szlachetny zapał ogarnia, gdy oczy się jej zaiskrzą, gdy stanie jak Juno zbrojna, straszna, niewyciężona, padać trzeba na kolana.

— Saperlotte! — przerwał Francuz — dużo by można dać, aby się móc choć zbliżyć do niej.

— E! dawniej nie było nic łatwiejszego — rzekł Zorian kwaśno — teraz nie wiadomo, co się jej stało.

— Jak to, nie wiadomo? Zakochała się w Ewaryście, on w niej, i nie dałbym złamanego szeląga, że się pobiorą.

— A naówczas — wtrącił szydersko p. d'Estompelles, znajomość będzie łatwa!

Zaczęto się uśmiechać.

— Zeby się miał z nią ożenić, to wątpię — zaprzeczył jeden.

— Dlaczego? — spytał Zorian — ona poprowadzić może człowieka gdzie zechce, czy do ołtarza i ślubu, czy do rzeki i na śmierć!

— I ja wątpię, ażeby się Ewaryst mógł z nią ożenić — rzekł Euzebiusz. Znam rodzinę, matka by się sprzeciwiła... Cała przeszłość tej biednej Zoni.

— W tej przeszłości nie ma znowu nic takiego, stanął w obrobie któryś.

Zaczęto się sprzeczać, za i przeciw, niektórzy uniewinniali, ubolewali drudzy, Francuz pociesznie ze złożonymi rękami objawiał życzenie, aby za mąż poszła co prędzej i męża sprzykrzyła.

— Co jest nieuchronnem w kobiecie tego charakteru — dodał — bo słyszałem, że człowiek, którego wybrała, ma być zimny, *terre a terre*, *pospolity*.

— Bardzo przepraszam — przerwał Euzebiusz — człowiek to i z charakterem, i ze zdolnościami, i z nauką, nie tylko nie pospolity, lecz jeden z najgodniejszych poszanowania, jakich mi się spotkać w życiu trafiło, ale zarazem skromny i umiarkowany.

Francuz się skrzywił.

Jest to cnota *negative* — dodał — ja ją mało cenię, gdy z garnka nie kipi i nie pryska, mało w garnku...

— A garnek, z którego kipi i tryska, najczęściej — rzekł Komnacki — wyszumi pianą pustą co miał w sobie, na ziemię!

To mówiąc wstał, wziął za kapelusz i pokłoniwszy się, wyszedł.

— Pedant zarozumiały! — rzucił ktoś za nim.

— Ci, co się tak zapinają mocno — rzekł Francuz — najczęściej albo bieliznę mają brudną, lub żadnej.

Rozmowa przeszła zaraz na fraszki.

Komnacki, który szczerze kochał Ewarysta, zmartwił się wiadomością o nim. Nie mogła ona zupełnie być zmyśloną, lecz pocieszał się tem, że przesadzoną być musiała. Bądź co bądź postanowił pójść do niego, mówić z nim otwarcie i przekonać się jak rzeczy stały.

W dawnym mieszkaniu Chorążycy dowiedział się tylko, że je opuścił i wyniósł się do domu, który mu wskazano. Poszedł tam natychmast.

Nie zastał go w domu. Naiwny sługa powiedział mu.

— Pan na górze.

— Prędko wróć?

— Nie wiem, proszę pana, bo on tam ciągle prawie siedzi. Jeżeli interes jaki jest, mogę prosić.

Po namyśle Euzebiusz, zgodził się na to, prawie w tejże chwili zszedł Ewaryst.

Przyjaciel znalazł go zmienionym tak, że ledwie potrafił ukryć swe zdumienie. Twarz miał schudzoną i wyżółkłą, oczy zapadłe i czarno obwiedzione, znużenie jakieś malowało się na całym obliczu, niepokój w wejrzeniu, smutek na czole. Zestarzenie zawczesne, chorobliwe, tak uderzało, iż witając go nie mógł się wstrzymać od zapytania.

— Nie jesteś chory?

— Chory nie jestem — odparł Chorążyc — lecz i zdrów bardzo się nie czuję.

— Jesteś zmieniony trochę.

— Sam to widzę! — westchnął Ewaryst.

— Możesz się zamęczyć przygotowaniem do egzaminów? — pytał Komnacki.

Uśmiechnął się gorzko Ewaryst.

— Gdzie tam! — rzekł cicho — wcalem o nich nie myślał, nie wiem co będzie z nimi.

Spojrzeli na siebie.

— Spodziewam się — odezwał Euzebiusz — iż wierzysz w przyjaźń moją dla siebie. Nie bierz mi za złe, że w imię jej rzucę niedyskretne pytanie? Co się z tobą dzieje? Chodzą wieści dziwne, tak dziwne, że ja im wierzyć nie chcę. Strwożony tu przyszedłem.

— Cóż mówią? co? — zapytał niespokojnie Chorążyc.

— Nie będę tał — ciągnął dalej Euzebiusz — powiadają, że wpadłeś w sidła kobiety, która cię opanowała. Znaliśmy ją po trosze wszyscy jako gwałtownego charakteru, dziwaczną, niepomiarowaną. Nie chce mi się wierzyć, abyś ty mógł sympatyzować z istotą tak różną od ciebie, nad której dziwactwami sam przede mną niedawno ubolewałeś.

Komnacki skończył, Chorążyc długo siedział namyślając się nad odpowiedzią.

— To, co się stało ze mną, dla mnie samego jest czemś niepojętem — rzekł Ewaryst. Przyznam ci się najprzód, że w niej zakochałem namiętnie na pierwsze wejrzenie. Przyczyna dla mnie ukryta, namiętność nigdy racjonalnie niepodobna wytłumaczyć. Walczyłem z sobą, zwyciężyłem się, a na ostatku, gdy w chwili, nie

wiem jak ją oznaczyć, litości czy obudzonej sympatii, zbliżyła się sama do mnie, zapragnęła mnie zaprząć w niewolę, poddałem się...

— Dziś — związany jestem, nie władam sobą.

— Lecz z twarzy twojej, ze słów nawet twoich widzę, że nie jesteś szczęśliwy.

Ewaryst zamilkł znacząco.

— Są chwile upojenia niebiańskie i straszne godziny zgryzoty — odezwał się pomilczawszy. — Zonia jest naprzemiany anielską istotą i czemś zdziżiałem strasznie. Szczęście z nią staje się męczarnią. Z tych niebios biją nieustannie pioruny...

— Cóż więc dalej? — zapytał Euzebiusz.

— Albo myślisz, że ja wiem? — odparł Chorążyc. — Jestem w położeniu najokropniejszym. Matka nakazuje mi, błaga o powrót, ja ani Zonie porzucić nie mam siły, ani tam zawieźć. Na to ona sama zgodzić się nie chce...

Z dnia na dzień, bez obmyślanego jutra żyję gorączkowo...

— A ona? zapytał Komnacki...

Chorążyc spuścił oczy.

— Któż tę istotę zrozumie — rzekł. Żyje tak jakby jutra nie miała, nie wierzyła w nie i całe chciała pochłonąć jednym tchnieniem. Ten stan, w jakim ja i ona znajdujemy się, nie może się określić, chyba gorączka...

— A wszystkie gorączki zabijają — dodał Komnacki.

— I najczęściej są nieuleczone — zakończył Ewaryst...

Milczeli oba. Chorążyc nie śmiał na przyjaciela oczów podnieść...

— Lekarstwa jednak szukać potrzeba — wtrącił Euzebiusz.

Smutną rezygnacją, jakby przyjętą pokutę za grzechy, widać było w rysach zmęczonych Ewarysta, obudzał litość tem poddaniem się losowi, przeciw któremu uznawał się bezsilnym, Komnacki czuł się w obowiązku odwołać się w tej sprawie do rozumu.

— Nie będę ci czynił wymówek, żeś upadł — rzekł, bo nie wiem czyby kto na twem miejscu był silniejszym, lecz szal przemija, trzeba się otrząsnąć.

— Mylisz się, szal nie przemija, ale rośnie — odpowiedział Ewaryst — a gdybym nawet ochłonął, sprawa sumienia cofać się nie dozwala. Ona mnie kocha, zawierzyła mi, nie myślała o swej przyszłości, cięży on cała na mnie.

Nie mam wyjścia.

— Więc się ożenisz? — spytał przyjaciel.

— Dla matki tego teraz uczynić nie mogę — odezwał się Ewaryst, lecz jestem gotowy!

Euzebiusz uderzył w rękę zrozpaczonego.

— Jakaż rękojmia przyszłości? — zawołał.

Właśnie to mówił, gdy coś zaszeleściało w przedpokoju, i zaledwie czas miał wstrzymać się, Zonia, weszła krokiem powolnym.

Jak Ewarysta, tak ją zmienioną wielce znajdował Komnacki, ale tu metamorfoza była inną. Dzikie stworzenie, zaniedbane, przybierające charakter męski, teraz stało się więcej kobietą. Zonia była nierównie piękniejszą i starała się być wdzięczną, strój jej był smakowny a nawet wyszukany i malowniczy choć jaskrawy i dziwaczny.

Życie w pełni było z jej wejrzenia, uśmiechała się na ustach, można było pomyśleć, że cała siła, którą Ewaryst uronił, do niej przeszła i zwiększyła jeszcze już i tak energiczny charakter. Wchodziła tu pewna siebie, jak pani, bez najmniejszego zakłopotania, spokojna, dumna, z półuśmiechem szyderskim nieco, lecz wesołym razem

— Nie przerywam! — zapytała stając w progu.

Komnacki skłonił się zimno.

— Pan dawno nie byłeś u nas — dodała — tak, u nas, bo zapewne wiesz, że ja i Ewaryst stanowimy parę szczęśliwą. Dlatego tak żyjemy samotni. Ja przynajmniej najmniejszej nie mam ochoty wyjść z tego życia we dwoje... Mnie w niem bardzo dobrze. Dla Ewarysta może życzyłabym czasem towarzystwa, dla siebie nie potrzebuję go.

Komnacki nie odpowiadając przypatrywał się bacznie pięknej Zoni. Dla niego była to istota nowa, wyszlachetniona, złagodniała nawet, choć zawsze jeszcze na kobietę zuchwała do zbytku.

Trochę nachmurzona twarz Ewarysta kazała się domyślać Zoni, że mógł być wzięty przez przyjaciela na konfesatę. Skrzywiła się i przystępując do Chorążca ręką pociągnęła po jego czole.

— Precz z tymi zmarszczkami! — zawołała. O czym że tak smutnym mówiliście panowie?

Oba zapytani milczeli.

— Mogłabym się domyśleć — dodała szydersko. Przyjacieli nie mógł przenieść na siebie, by nie dać poznać Ewarystowi, że sobie okrutny kamień przywiązał do szyi.

Ruszyła ramionami.

— Przyjacieli ma słuszność — mówiła dalej — ale niech powie on, czy nie byliśmy, czy nie jesteśmy szczęśliwi. Błysk szczęścia wart coś przecie. Ja, co nie ufam jakoś nieśmiertelności, żywotom z aniołami, znajduję, że choć raz się upić tu — godzi i trzeba... — Zarzuciła mówiąc to ręce na szyję Chorążycowi, który je namiętnie całować zaczął...

Scena ta niespodziewana tak zmieszała Komnackiego, że ledwie się nie porwał uciekać. Było w niej coś tak namiętnego, że świadek zdawał się nie w miejscu. Zonia nie czuła tego wcale.

— Nie psuj pan nam naszych dni jasnych — odezwała się do stojącego osłupiałego Euzebiusza. — Skończą się one aż nadto szybko, bo wszystko się kończy.

Przyznam się panu, że najśliczniejszym końcem byłoby dla mnie

teraz umrzeć, nierozczarowanej i szczęśliwej, ale los nie bywa tak litościwym, jest mściwy i zły...

Z podniesioną głową przeszła się zadumana po pokoiku, popatrzała na obu przyjaciół, zbliżyła do Ewarysta, któremu coś na ucho szepnęła i wyszła, lekko skłoniwszy głową Komnackiemu.

Upłynęło dużo czasu nim usta otworzyć mogli.

— Muszę cię pożegnać — odezwał się Euzebiusz, ściskając z czułością przyjaciela. — Byłem tu niepotrzebnym, czuję to, przyniosłem z sobą zaniepokojenie, przepraszam cię...

Chorażyc usiłował go wstrzymać jeszcze. Komnacki wyrwał się widząc, że na teraz słowa byłyby próżne...

Po wyjściu jego siedział Chorażyc w krześle długo zadumany głęboko i, spojrzawszy na zegarek, poszedł zwolna na górę. Była godzina obiadowa.

Mieszkanie Zoni dawniejsze, bo zmieniać go nie chciała, odświeżone, strojne, ubrane we wszystko, co życie uprzyjemniać może i myśl rozerwać, prawie pańską miało fizjognomię, która z małemi oknami, z dawnym pozorem tych izdebek była w sprzeczności Ewaryst starał się o to, aby jej szczęście otoczyć blaskiem, wysłać miękko, nadać mu poezję i wdzięk. Nie żałował nic, a że z domu nie chciał czerpać, bo się taił z tem, co się tu działo, bo kłamać musiał przed matką, robił więc długi.

Liche drzwiczki osłaniały portiery, firanki okrywały okna, podłogę brzydką zalegał dywan.. Sprzęty były wytworne i bogate.

Wśród tego zbytku i sama jego pani już się z nim harmonizowała; a wszystko co ją otaczało podnosiło jej wdzięk oryginalny, drażniący, upajający.

Zobaczywszy w progu Ewarysta, Zonia rzuciła książkę, którą trzymała w ręku.

— Miałeś gościa, nad którego wolałabym każdego innego. Komnacki czyni mi wrażenie rozumnej ryby... Krew musi mieć zimną jak one.

— To bardzo dobry i bardzo do mnie przywiązany człowiek — rzekł Chorażyc.

— Alboż i ryby nie są dobre? — odezwała się Zonia szydersko...

— Trochę słabości, trochę czegoś ludzkiego daje wdzięk i smak człowiekowi; dlatego ja mogłam oszaleć za tobą, bo w rozumnym i świętym był grzesznik pokorny...

Przyszła i znowu go objęła rękami.

— Ty bo dziś jesteś chmurą... a temu winien Komnacki. Do szczęścia nigdy nie trzeba ludzi przypuszczać dosyć, aby na nie spojrzeli, wzrokiem je zwarzą...

Dawać do stołu! — zawołała ku drzwiom. — Po obiedzie sanki i w świat! Pamiętajsz ten krótki przejazd nasz, tego dnia, gdy cię porwała, gdyśmy przytuleni do siebie, milczący, rozmarzeni lecieli jakby w obłoki! a! to była chwila, którą ja... w chwili sko-

nanía przypomnę... Zapłaciła mi za życie całe. Czułam serca twego bicie, wiedziałam, żeś moim...

Chorażycowi zajaśniały oczy i twarz się rozśmiała.

— A! to była chwila, na której nazwanie w języku nie ma słowa...
— dodał...

Siadali do stołu. Zonia naląła wina sobie i jemu i wychyliła chciwie kieliszek, rzuciła się równie łapczywie do jedzenia i zmuszała Ewarysta, aby ją naśladował. Pił wprawdzie i ożywił się nieco, lecz jeść nie mógł. Cała burza rozbudzonych myśli czarnych wiła mu się po głowie zawieruchą żalobną, jakieś złowrogie przepowiednie puszczykami mu hukały...

Siebie byłby chętnie dał na ofiarę zemście losu, który nie cierpi szczęść kradzionych, ale ją! Drżał o tę istotę nieopatrną, upojoną, która nie widziała przed sobą przepaści.

W Zamiłowie ciągle na Chorążycę oczekiwano; matka go tłumaczyła, nie śmiała przynaglać do powrotu.

— Byłoby to egoizmem — mówiła — niech siedzi póki wszystkiego nie skończy, ażeby już tam nie wracał.

Była spokojną, modliła się tylko na intencję jego, aby mu bez zbytniego wysiłku poszło wszystko szczęśliwie. List każdy stanowił tu teraz epokę, liczono czas na listy Ewarysta, oczekiwano na nie z niecierpliwością, posyłano ciągle na pocztę, a w odebranych wyczytywano więcej niż w nich było.

Chorążyc tłumaczył się niezręcznie i każde inne niż matki oko znalazłoby w tych pismach zawikłanych łatwą do podejrzeń pobudkę.

Madzia, nie będąc wcale podejrzaną, jakimś instynktem niepokoiła się o Ewarysta. Być bardzo mogło, że, jak odgadywała, Zonia kochała się w nim potajemnie — coś jej szeptało przecuciem smutku czegoś złego...

Wiedziała, że się kochał w Zoni, bo ona jej to śmiejąc się z niego opowiadała, lecz teraz, po tym wszystkim co z nią zaszło, mógłże on ją kochać jeszcze, albo ona zbliżyć się do niego?

Było to niepodobieństwem.

Coś go tam jednak trzymało, a w listach czuć było jakby żal i srom jakiś, zdradzający się mimo woli.

Nie byłaby Madzia nigdy potrafiła nic złego na Ewarysta pomyśleć, bo w nim widziała ideał, tymczasem smutne ją czekało rozczarowanie.

W czasie pobytu w Kijowie, skazana na długie samotności godziny pani Trawcewiczowa de domo Makowska, wpadła na myśl dowiadywania się o stryjecznego brata jakiegoś, o którym słuchy chodziły, iż miał być urzędnikiem w Kijowie.

Chodząc i śledząc, po nici doszła do kłębka, znalazł się w istocie pan Krzysztof Makowski, w biurze sądu jakiegoś nadzwyczaj lichą

zajmujący posadę, stary, ubogi, brudny, sierota bez rodziny, dla którego kieliszek był jedyną konsolacją żywota.

Stryjeczni, którzy się nigdy nie znali i spotkać nie spodziewali, uradowali się sobie wzajemnie; pan Krzysztof, który o swych protoplastach zapomniał, dowiedział się o nich z ust Trawcewiczowej, a ona tak była szczęśliwa, iż miała się przed kim wygadać, że staroego słuchającego cierpliwie pokochała serdecznie.

Ten tylko, kto długo wszelkich związków bliższych był pozbawiony, pojmie jak oboje starzy odżyli wspólnymi wspomnieniami.

Pan Krzysztof, chociaż miejsce miał na oko bardzo podrzędne i choć ubogo się nosił i wydawał, a na kieliszeczek nie żałował, uciułał był jednak trochę grosza, i po wyjeździe siostry, gdy nagle zachorował, rozporządził mieniem swym na jej korzyść.

Nigdy w świecie się nie podobnego nie spodziewała biedna wdowa i gdy nie rychło, drogą urzędową doszło ją zawiadomienie, iż po śp. Krzysztofie synu Wojciecha Makowskim, koleżeńskim registratorze, ma deponowane w opiece półtora tysięcy rubli i ruchomości, naprzód o mało nie omdlała, potem pojechała dać na mszę za duszę nieboszczyka, na ostatek wpadła do Zmiłowa chwalić się swym szczęściem, opowiadając, że musi natychmiast jechać do Kijowa.

Gdy po kilkugodzinnej relacji opuszczała z listami do Ewarysta dwór, Madzia wzięła ją na stronę i uściskawszy prosiła pod sekretem, aby się dowiedziała o Zonię.

— A jużciż! a jakże! dowiem się dokumentnie, niech panienka będzie spokojna.

Odbieranie z opieki pieniędzy, wyszukiwanie ruchomości, ich sprzedaż, nie były rzeczą tak łatwą jak się Trawcewiczowa spodziewała. Formalności, chodzenia, podpisywania było bez końca.

Miała więc czas Trawcewiczowa szukać i Ewarysta i Zoni.

Tym sposobem mimo woli dowiedziała się o tym, że mieszkali w jednym domu, że byli ciągle razem, że, jak jej powiedziano, Zonia teraz opływała w dostatkach i stroiła się. Resztę odgadnąć nie było trudno, a ludzie tę parę pokazywali z uśmiechem palcami, opowiadając sobie jej dzieje.

Doszedłszy tajemnicy tej Trawcewiczowa zachorowała.

— Jezusie Nazareński! — wołała jak się jejmość nasza dowie o tym, umrze z desperacji! Umrze, powiadam! Chorążyc, takie życie, i to krewna, i taka szalona... i tak bez Boga i wstydu!

Jak ja tam powrócę! jak ja im w oczy spojrzę! Cc powiem! Choć ty idź zaraz wskroś ziemi! Bodaj były oczy moje tych rubli nie oglądały, gdy na taką sodomę naszego panicza miały patrzeć.

Narzekaniom nie było końca. Ewaryst uląkł się języka ekonomowej i sam poszedł do niej, rumieniając się ze wstydu, prosząc upokorzony, aby matki nie martwiła i nie mówiła nic.

Przyrzekła to skłopotana stara. Trzeba było powracać nareszcie, ale zamiast wprost do Zmiłowa, ekonomowa pojechała do folwarku,

w którym przebywała, stamtąd odesłała listy, kazała powiedzieć, że chora. Obawiała się zdradzić czymś, bodaj łzami.

Nazajutrz po (jej) powrocie Madzia, siadłszy na wózek prosty, kazała się zawieźć do niej.

Przed nią tajemnicy żadnej nie mogła ani chciała robić Trawcewiczowa, zresztą świerzbiał ją tak język, że utrzymać go nie było sposobu.

— Panienko moja złota! — krzyknęła łamiąc ręce — z czym ja przyjechałam, com przywiozła, to wołałabym tego Kijowa nigdy nie oglądać..

Madzia przelekła się i pierwsze słowo jej było:

— Chorążyc!

— A tak! tak! Chorążyc! — zawołała ekonomowa. — O Chryste Panie!

— Chory?

— A panienko moja! lepsza by choroba była.

I strzeliła jak z procy. — Co tu tać, żyje z twoją siostrą jak mąż z żoną, bez ślubu, bez wstydu.... całe miasto na to patrzy.

Ledwie słów tych dokończyła, gdy trzeba było Madzię ratować, bo padła bez zmysłów.

Co się z biednym, wstydliwym, kochającym dziewczęciem działo, gdy otworzywszy oczy przypomniała tę straszną wieść, co jej serce przebiła — opisać niepodobna. Trawcewiczowa żalowała teraz, że jej powiedziała wszystko, a Madzia nie pojmowała jak się pokaże Chorążynie, nie zdradzając swej boleści i wstydu.

Zatrzymała się do nocy, a wróciwszy musiała udać ból głowy, aby pójść się wyplakać do łóżka. Chorążyna wprawdzie domyślała się, że nie najlepsze pewnie wiadomości o Zoni musiały być przyczyną choroby, lecz wołała o to nie badać.

Nazajutrz Madzia z wypieczonymi rumieńcami chodziła, snuła się raczej z gorączką w głowie i piersi. Myślała co począć, chcąc koniecznie jeśli nie Zonie, którą uważała za zgubioną, to Ewarysta ratować. Miłość jej dla siostry zmieniła się w oburzenie, wstręt, gniew prawie.

Zrzuciła jej ideał czysty z podstawy jego posagowej i potłukła nielitościwa. Tego jej przebaczyć nie mogła. Za dobrodziejstwa, Za dobrodziejstwa, które doświadczała od Chorąstwa, za ich serce, wypłacić się taką niewdzięcznością! Madzia była w rozpacz. Nawykła do cichej swej roli posłusznego dziecięcia, które nie śmiało stąpić kroku, kierując się wolą własną, obawiała się sama siebie, nie była pewną, czy godziwym będzie to co pomyśli..

Brakło jej odwagi i doświadczenia, choć czuła obowiązek. Zazdrościła zuchwalstwa siostrze, z którego ona tak zły robiła użytek.

Inne uczucia mieszały się z tymi i wprawiały ją w stan niezwykajny, który oka Chorążyny ujść nie mógł, bo Madzia nie umiała udawać i kłamać.

Na kilka jej zapytań: Co ci jest? Jesteś jakaś nieswoja? — odparła rumieniąc się, pomieszana składając bólem głowy. Chorążyna poprzestała na tym.

Tymczasem dni i noce marzyła co zrobić. Byłaby natychmiast poleciała sama, aby wyrwać Chorążycę, zawstydzić i do opamiętania przywieść siostrę, podróż była niepedobieństwem. Chąc ją przedsiębrać, trzeba się było choć w części wypowiedzieć przed Chorążyną, zaniepokoić ją, a ona i tak już miała dosyć w życiu do zniesienia.

Z przeróżnych tych myśli pozostała w końcu jedna, uparta, aby się poradzić poczciwego księdza Zatoki, przyjaciela domu.

Zwierzenie się przed nim, jako przed duchownym, nie pociągało za sobą żadnego niebezpieczeństwa, zresztą był on tak przywiązanym do domu Dorohubów, tak zacnym a prostodusznym człowiekiem, że na złe go użyć nie mógł.

Ponieważ przyjeżdżał teraz rzadziej, a czasu miał niewiele, Madzia musiała sobie skomponować jakieś nabożeństwo, aby pojechać do niego.

Nie było w tym nic nadzwyczajnego i staruszka podejrzania mieć żadnego nie mogła.

Do dnia wybrała się Madzia z Zamiłowa, aby trafić na mszę ranną, a po niej z kościołka poszła do plebanii.

Ks. Zatoka siadał właśnie do kawy, gdy Madzia weszła do niego. Domyślił się, że ją coś musiało niezwykłego sprowadzić.

— Mój ojczu, odezwała się całując go w rękę, przebac mi, że ci zatruje twoją ranną godzinę, przybyłam prosić o radę.

— Siadajże i śmiało — rzekł wesoło ks. Zatoka, wcale się nie spodziewając nic tak bardzo ważnego...

Madzia od łez zaczęła; ksiądz jeszcze i z łez łatwych u kobiet nie wnioskował nic wielkiego.

— Słyszałeś, ojczu, o siostrze mojej? — odezwała się nareszcie ośmielając.

Do ks. Zatoki doszło coś było o płochości panienci, ale nie wiedział szczegółów.

— Zonia — dodała Madzia — wychowała się w domu, gdzie jej religijnego pokarmu brakło, rzucona była przez sieroctwo swe w świat bez opieki. zbłąkała się biedna nie potępiam jej, choć może inni jej nie przebaczą. Będąc w Kijowie, patrzyłam sama na jej postępowanie, odczekałam wiele, poradzić nic nie mogłam.

Madzia zarumieniła się, spuszczać oczy, nie śmiała wypowiedzieć wszystkiego.

— Teraz — dodała prędko — mam wiadomość pewną, że Chorążyc, który się nią dawniej zajmował, gdy ona owdowiała

— Alboż za mąż wyszła? — zapytał ksiądz.

Płacz na to odpowiedział, ks. Zatoka zaczynał się niepokoić żywo...

— Cóż Chorążyc? co? zbałamuciła go? — przerwał gorąco.

— A! ojcie! ja nie mogę powiedzieć! krzyknęła zanosząc się Madzia — żyją z sobą bez ślubu, razem, w jednym domu...

Zakryła oczy, ks. Zatoka z całych sił uderzył w swe szerokie ręce...

— Jezu miłosierny! — zawołał — on, Chorążyc! A cóż to będzie, gdy się staruszka dowie — ona.

Pochwycił się za głowę.

— Może to plotki — przerwał — to do niego niepodobne. Staczejniejszego młodzieńca nie spotkałem w życiu!

— Wiadomość tę przywiozła Trawcewiczowa — odparła Madzia — niech jegomość dobrodziej wypyta się ją, jeśli chce. Mnie to mało nie zabiło.

— Ona jest moją siostrą! to syn naszych dobrodziejów!

Znowu płacz mową przerwał.

— Im dłużej to tak pozostanie — mówiła zza łez — tym gorzej, trzeba zerwać, nim się Chorążyna dowie, nim...

Ale dokończyć nie mogła.

Ksiądz kawę swą porzuciwszy, krokiem ogromnym biegał poruszony po izdebce, coraz to ręce załamując.

I on, choć starszy, doświadczony, w tej pierwszej chwili nie widział takiego ratunku, któryby chorążynie mógł oszczędzić boleści i obejść się bez jej udziału w tej sprawie.

Świeżo znękana śmiercią męża, osłabła na zdrowiu, mogła biedna staruszka paść ofiarą tego ciosu, który zawisł nad nią. Znając ją wiedział ks. Zatoka, że nawet śmierć jedynego syna może by ją tak nie przygniotła, jak jawny i tak wielki upadek.

Potrzeba było Chorążynę oszczędzić, ale cóż począć bez niej, w imię jakiego prawa? Człowiek, który uniesiony namiętnością nie zważał ani na srom, ani na swe obowiązki, mógłże być posłusznym głosowi obcego człowieka, radzie i prośbie przyjaciela.

Po smutnej namysłu chwili, ks. Zatoka zwrócił się do płaczącej Madzi.

— Dobrześ zrobiła — rzekł — zawiadamiając mnie o tym. Może być, że jaka rada się znajdzie, ale w tej chwili, muszę się przyznać, że wobec tego wielkiego nieszczęścia i ja tracę głowę. Wezwę Boga na pomoc azali mi nie ześle natchnienia.

— Jakkolwiek to nad siły moje — odezwała się Madzia — choćbym się ze wstydu i bólu spalić miała, pojechałabym ratować syna moich dobrodziejów, ale jakże wyjechać?

— I na co by się to zdało — przerwał ksiądz. — Siostrę byś nie nawróciła, a Chorążycy nie wybawiła. Ale Chorążyc! on! To mi się w głowie nie mieści.

Po krótkim namysle dodał proboszcz.

— Pojechałbym ja, ba! a co tam począć? Przede mną się nie przyzna, zbędzie lada słowem.

— Przecież to jawne i tak jawne, że całe miasto patrzy na to! — odezwała się Madzia. — Nie kryją się wcale.

— A dawno się to stało? — zapytał duchowny.

— Nie wiem — westchnęło dziewczę.

Na tym się skończyła zupełnie bezowocna narada, która księdza tylko, jako przyjaciela Chorążynę, wzburzyła i zgryzła. Odprawiwszy o ile mógł uspokojoną Madzię, ks. Zatoka rozbierając to, co mu powiedziała, wpał na myśl, że wszystko plotką chyba być musiało. Dla przekonania się pojechał tegoż dnia do Trawcewiczowej.

W ganku swojego dworku, zobaczywszy gościa niebywałego, stojąca ekonomowa, odgadła zaraz, co go sprowadzało.

— Już mu panienka powiedziała! — szepnęła sobie.

Proboszcz nie długo czekając, zawołał.

— Cóż to jejmość za plotkę przywiozła?

Obraził tym niezmiernie de domo Makowską.

— Daj Panie Boże, aby to plotka była — odezwała się prostując dumnie — tylko, że na nieszczęście, święta prawda, a ja nawet tej niewinnej duszyczce wszystkiego tak nie opowiadałam jak mnie tam ludzie. Na co zresztą było słuchać, dosyć patrzeć. Na dole w kamienicy stoi Chorążyc, a na górze; a no, jako żywo, całe dni u niej siedzi, zamknięci we dwoje romansują. Jedzą razem, jeżdżą na spacer, ani dbają o ludzi.

Już to prawda, że siostra panny naszej do niej nic nie podobna, bo to kozak czysty, a niczego się nie wstydzi. Żyła naprzód z tym, do którego była strzeliła raz, ten miał się z nią żenić, tymczasem i dziecko umarło i on. Wychudła była, wymizerniała, strach, a teraz krew z mlekiem, jak łania, i co dawniej chodziła w przydeptanych trzewikach, stała się elegantką, stroi się, aż strach. Chorążyc na nią tysiącami, słyszę, ekspensuje i w długach po uszy...

— Otóż — odezwał się ksiądz, wysłuchawszy opowiadania Trawcewiczowej — otóż prawdziwa kara Boża i plaga na dom ten pocziwy i święty. Dowie się, uchowaj Boże, Chorążyna to ją ubije. Cóż on myśli, żenić się, czy co?

— Albo ja wiem? — odparła ekonomowa. Jak się dowiedział, że ja jestem w Kijowie, a oczy przecie mam, przyszedł sam do mnie prosić, abym go nie wydała przed jejmością.

— Nie wstydzi się! — krzyknął proboszcz.

— A, no, jużciż, musiał wstydu zbyć w to błoto leżąc... — dokończyła ekonomowa — Cóż, jegomość powie jeszcze, że ja plotki wożę? Dałam słowo, że Chorążynie nie powiem, bo i bez tego bym nie zrobiła takiego skandalu, ale Madzi nie mogłam ukryć. Toć siostra rodzona!

— Milcz że, moja pani Trawcewiczowa i dalej wiadomości tej nie puszczaj, może się nam uda wprzód zaradzić na to, niż się matka dowie.

— A komuż ja mam gadać? Kurczętom moim! — odparła ekonomowa. — Co tu kto u mnie bywa?

Niech jegomość pilnuje tylko, aby kto inny nie przywiózł wiadomości, bo z sąsiedztwa znajomi raz wraz jeżdżą do Kijowa, a żeby chcieli nie chcieli to się dowiedzą. W mieście o tem bębnią.

Gdy w Zamiłowie ochraniano tak nieszczęśliwą matkę, aby do niej smutna nie doszła wiadomość, Ewaryst też drżał na myśl o tem, co będzie gdy się ona dowie. Czule przywiązany do niej, wiedział, co cierpi, rad był też dla niej osłonić tajemnicą swój stosunek z Zonią, ale ona była despotyczną.

Zdawała się z niego szukać chluby, umyślnie się z nim popisywał i na przekór Chorążycowi, czynić go jak najjawniejszym.

Życie to we dwojgu, w początku wystarczające jej, zaczynało, nawykłej do liczniejszego towarzystwa przykrzyć się coraz bardziej.

— Jedyny sposób obraliśmy — mówiła do Ewarysta — aby się co rychlej nią przesyć.

— Maszże jej już za wiele?

— O! nie! nigdy, nigdy — odpowiedziała Zonia — lecz ty, niewinny baranku, ochłodłszy dostaniesz zgryzot sumienia... Życie potrzeba urozmaicać jak jedzenie.

Powtarzała to ciągle, wreszcie dodała.

— Niepodobna długo wytrwać w takiej samotności, ja potrzebuję ludzi.

— Ale w naszym położeniu — odparł Ewaryst — kogoż mamy zapraszać, kto chce bywać.

— Jak to? w naszym położeniu? — oburzyła się Zonia — nie może być piękniejsze i szlachetniejsze nad nasze, kochamy się nie zważając na świat i ludzi, wbrew wszystkim legalnym przeszkodom, odważnie... nie mamy się czego wstydzić... Niech patrzają i owszem...

Nadeszła wiosna, Zonia w domu usiedzieć nie chciała, nie mogła, a idąc na przechadzkę ciągnęła z sobą Ewarysta. Trafiało się, że spotkali dawnych znajomych Zoni, która ich witała i zaczęła i ledwie Chorążyc zdołał ją wstrzymać od dłuższej z nimi rozmowy, od pociągnięcia ich za sobą przez nią.

Chwile wielkich rozczuleń i zapałów przeplatały teraz często spory i wywoływane jakby naumyślnie sprzeczki; których Chorążyc zawsze wychodził pobity.

Nie umiejąc się jej opierać, na pół z rozpacz, pół z rezygnacji przystawał na co chciała. Jednego bardzo pięknego dnia majowego zażądała Zonia jechać za Dniepr do jakiegoś lasku, który służył za cel dalszym wycieczkom. Obiad został przyspieszony, konie zamówione i natychmiast po nim, znużona już samotnością z Ewarystem, Zonia kazała jechać, nie bez myśli, że po drodze trafią się może znajomi.

Miała już najmocniejsze postanowienie wciągnięcie kilku przynajmniej do siebie i zmuszenie Chorążycy, aby się nie sromął i nie krył ze szczęściem, z którym ona się trochę popisywać chciała.

Miłość jej była już w tej drugiej epoce rozwoju, gdy sama sobie nie starczy i potrzebuje pokazać ludziom.

Rachuba Zoni nie zawiodła jej, i w lasku, w którym wysiedli, zastali szumną męską majówkę na trawie z butelkami i koszykami. Chorążyc nie dozwolił się zbliżyć do widocznie już bardzo podwielonych panów, lecz kilku z nich, a między nimi i pan Henryk d'Estoppelles, zobaczywszy tę, którą nazywali Tytanią, chwycili kieliszki i pobiegli naprzeciw wypić jej zdrowie.

Francuza nieraz już spotykała Zonia, zawsze zapatrzonemu w nią z wyrazem zachwyty, ścigającego ją oczyma gorącemi. Choć rozmiłowana w Chorążycu, nie mogła być na to obojętną. Francuz niezmierną swą śmiałością wielce jej się podobał. Każde zuchwalstwo było jej sympatycznym.

O ile Chorążyc tym toastem na cześć Zoni był oburzony i zmieszany, o tyle ona, może trochę na przekorę jemu, przyjęła go wesoło, wdzięcznie i gdy drudzy panowie powrócili do swego kółka, wstrzymywał Francuza rozmową bardzo żywą.

Pan Henryk, jakby wiedział w co grać, by łaski pięknej Tytanii pozyskać, uderzył zaraz w teorie społeczne najskrajniejsze, w krytykę stanu obecnego dowcipną, choć z komunałów złożoną.

Zonia pomagała mu do niej serdecznie, gorąco. Po długim osamotnieniu ten powrót do swojego żywiołu nabierał dla niej nowego smaku.

Nie pytając Chorążycę, wobec niego odezwała się do Francuza, podając mu rączkę, która teraz była zawsze starannie bardzo rękawiczką paryską okryta.

— Proszę pana, abyś nas odwiedził. Ewaryście — dodała — połącz swoje prośby z mojemi...

Chorążyc ledwie słów kilka zamruczał, lecz były dostateczne dla pana Henryka, aby się czuł już upoważnionym do oddania wizyty.

W Ewaryście budził ten awanturnik i blagier wstręt niewypowiedziany. Zonia znajdowała go niezmiernie zabawnym, dowcipnym, czytany, a co u niej szło przede wszystkim, śmiałych i gorących przekonań.

— Jesteś chyba zazdrosny — wołała śmiejąc się — bo niepodobna Francuzowi odmówić znakomitych darów umysłu. Z nim się czuje jakby od cywilizowanego świata powietrze inne, zdrowe zawiąło na zgnilizny nasze.

Pan d'Estoppelles, nie czekając dłużej zaraz nazajutrz przyszedł do Ewarysta i upomniał się, aby go zaprowadził do pani; nie można mu odmówić było. Zonia jakby się odwiedzin tych spodziewała, była bardzo starannie ubraną i przyjęła go z niezwykłą sobie kokieterią.

Chorążyc stał trochę milczący na boku, gdy najgorętsza rozmowa zawiązała się między panem Henrykiem a Zonią. Zdawało się, że

na ten występ Francuz cały swój zapas wiadomości, konceptów, teorematów i aforyzmów wyczerpał. Mówił z gorącością wielką, a dla dodania odwagi swym słowom nieustannie przywodził imiona i zdania swych znakomitych przyjaciół Anglików, Włochów i Francuzów.

Z nimi wszystkimi, dawał do zrozumienia jasno, był we wspólności idei, byli to jego „intimes“, nazywał ich po imieniu, zdradzał się z najbliższymi stosunkami. Ludzi tych, których Zonia z zachwytem książki czytała, on był powiernikiem i bratem. Olśniewał ją tem, i gdy po nadto przedłużonej wizycie wyszedł, Zonia zawołała, że jest nim zachwycona.

Przykro to podziało na Ewarysta, który nie ukrywał wzruszenia.

Zonia rzuciła mu się na szyję.

— A! ty zazdrośniku — zawołała — nie obawiajże się, abym go pokochała. Wprawdzie doskonale rozumiem, że dwóch naraz kochać można, gdy przedstawiają dwa różne a pokrewne nam typy, ale on mnie tylko bawi, a ty, ja ciebie potrzebuję jak chleba i powietrza!

Francuz raz otrzymawszy prawo bywania w tym domu, korzystał z niego z natrętnością, na której znaczeniu omylić się nie było podobna. Był zakochany, wybierał zrećźnie godziny gdy Ewarysta nie było w domu i zasiadł godzinami na górze. Można było posądzić nawet Zonię, że mu to ułatwiała pewnymi wskazówkami.

A jednak kochała Ewarysta! Była do niego namiętnie przywiązana, ale miłość Francuza pochlebiała jej i Francuz z całym swym dowcipem, zrećnością i błagą umysłowo był od niej niższym, gdy w Ewaryście, milczącym i posłusznym nawet, czuła opór jakiejś siły nie dającej się zwyciężyć.

Francuzem rzucała jak piłką...

Każdą jej myśl najzuchwalszą, którą Ewaryst zbywał milczeniem, pan Henryk podnosił, wychwalał, rozjaśniał, zachwycał się nią. Chorążyc był kochankiem, ten czcicielem i bałwochwalcą.

Jednego dnia pan d'Estompelles zastawszy ją samą, ośmielił się wreszcie do tego stopnia, że padłszy na kolana wyznał jej najgorętszą miłość swoją.

Zonia porwała się z miejsca śmiejąc.

— Wstawaj pan! — zawołała — nie bądź śmiesznym. Ja Ewarysta kocham i nie zdradzę go, bo bym miała wzdargę dla siebie. Jestem wolna, mogę rozporządzić, gdybym go kochać przestała.

Tu zatrzymała się nieco, jakby jej przyszła myśl jakaś.

— Kochasz się pan? — spytała go zamyślona. — No, miejże cierpliwość czekać? Kto wie? Ja pana lubię, może się złożyć tak okoliczności!...

Niezmiernie zdziwiony niespodziewanym tym zwrotem, Francuz rozplynął się w wyrazach wdzięczności.

— Cicho! dosyć! siadaj pan — przerwała Zonia — do tego wypadku, o którym uczyniłam wzmiankę, może bardzo daleko, może nigdy się tak nie złoży... Ale jeśli kochasz, dajże dowód czekając, kto wie.

Czekać i kochać jest wielką rozkoszą! — dodała ironicznie — ja sama tego doświadczyłam na sobie, gdym się w Ewaryście zakochała...

Natychmiast piękna Tytania zwróciła rozmowę na inny przedmiot, wpadła na nowy ustrój społeczny, na reorganizację małżeństwa i rodziny według zasad nowych i nie dała już Francuzowi mówić o miłości. Na pożegnanie pozwoliła mu ucałować swą rękę i uścisnąć.

— Zatem każesz mi pani czekać? dajesz nadzieję? — zawołał pan d'Estompelles.

— Zrozumiejmy się — dodała Zonia, patrząc mu w oczy. — Ja kocham szalenie Ewarysta, wątpię, bym w życiu drugi raz kochać mogła, ale może przyjsć chwila, chwila przesytu, fantazyi, naówczas...

D'Estompelles, jako Francuz, więcej w tym wyznaniu czytał niż było napisano, trzymając się tej teorii, że kobiety tylko przez pół to mówią co czują, wyszedł więc uszczęśliwony.

Gdy w godzin kilka Chorążyc wrócił, Zonia mu się rzuciła na szyję.

— Wiesz! wiesz! — krzyknęła ze śmiechem. — D'Estompelles tu był i padłszy na kolana oświadczył mi miłość swoją?

Chorążyc się namarszczył strasznie.

— Powinnać mu była drzwi pokazać! — zawołał.

— Wstydzę się, dlaczego? kochać się wolno każdemu, bo to uczucie bezwiedne, przymusowe. Cóż on temu winien, że się we mnie kocha, albo ja, żem w tobie zakochana? Pośmiałam się z niego, ale myślę dlatego tracić gościa, który mnie bawi...

A spostrzegłszy, że Ewaryst stoi nadąsany, dodała.

— Słuchaj ty! Powinieneś wiedzieć, że Zonia nie zdradzi nigdy, bo zdrada jest tchórzostwem i podłością, a ja mam odwagę i cześć godności mojej. Tego dnia, gdy kochać przestanę ciebie, o pokocham innego powiem ci to głośno, tak, jak teraz to mówię.

Niech dają do stołu!

Całe sąsiedztwo Zamiłowa wiedziało już o przyczynie, dla której Chorążyc przedłużał tak pobyt swój w Kijowie, jedna matka nic się nie domyślała. Z dobrą wiarą w to co do niej pisał, aby ociąganie się wytłumaczyć, powtarzała nieraz przed sąsiadkami jakie go tam różne trudności trzymały, a panie litościwe, spuszczały oczy i słuchały w milczeniu.

Biednej matki przeznaczeniem było zostać rażoną jak od pioruna wiadomością, do której wcale nie była przygotowana.

Ewaryst, obawiając się żądać zbyt wiele pieniędzy z domu, aby na nadzwyczajne swe wydatki nie zwrócić uwagi i podejrzeń nie obudzić, pożyczał jakieśmy mówili u lichwiarzy i robił długi.

Zonia nawykłszy do zbytu i życia kosztownego, wcale się z pieniędzmi obchodzić nie umiała; fantazyje jej, często krótkotrwałe, bywały bardzo drogie.

Głównym dostarczycielem pieniędzy Chorążycowi był niejaki Lejzor Cudnowski, często jeżdżący do Kijowa i chciwie wyzyskujący zręczność zarobkowania.

Nie mogło mu się to jednak pomieścić w głowie, dlaczego Chorążyc, tak zamożny, innego kredytu nie miał i wysokie opłacał procenta. Niepokoiło go to... Przyszedł na ostatek do fałszywego przekonania, że interesa Zamiłowskie źle stać musiały, że nieboszczyka zbyt szacowano wysoko i że kapitał jego pożyczony synowi mógł być w niebezpieczeństwie.

W dodatku pieniądze na jakąś spekulację były mu pilno potrzebne, począł się upominać natarczywie. Ewaryst oddać nie mógł, ofiarował procenta podnieść. Lejzor się przestraszył.

Gdy ani prośby, ani groźby, ani nalegania nie pomogły, postanowił udać się do Chorążyni.

Nic o tym nie mówiąc Ewarystowi, zmilczawszy ruszył do Zamiłowa. Człowiek był zapalczywy niezmiernie, a gdy szło o pieniądze, bez względu na nic w świecie.

Jednego dnia oznajmiono Chorążynie, że Lejzor Cudnowski, którego ona nie знаła wcale, potrzebuje pilno mówić z nią w interesie.

Zdziwiona staruszka wyszła spokojnie do sali jadalnej, w której Lejzor stał już niecierpliwie czekając na nią.

Palił go już niepokój o swój kapitał.

— Jestem Lejzor Cudnowski — rzekł kłaniając się, tonem bardzo śmiałym i głośno. — Pani Chorążyna mnie nie zna, ale, ja panu Chorążycowi służyłem na jego żądanie, mam z nim rachunki znaczne. pieniądze odebrać nie mogę, muszę się do jaśnie pani obrócić.

Chorążyna z podziwienia krzyknęła.

— Co? co? pieniędzy mój syn miał potrzebować, kiedy ile chce ma leżących w domu? Cóż to jest! szachrajstwo jakieś?

Lejzor się oburzył.

— Ja nie jestem żaden taki co szachruje — zawołał — zresztą co tu gadać długo, przecie mam weksle jego ręką podpisane...

— Ale to nie może być! — oburzyła się Chorążyna — weksle są chyba fałszowane. Mój syn nie potrzebował pożyczka.

Żyd na wyraz, fałszowane rzucił się jak oparzony.

— Fałszowane! — krzyknął. — Co to znaczy fałszowane? Mnie w moim życiu nikt tego nie powiedział żebym ja co fałszował. Ja nie jestem fałszerz żaden...

Ręce mu drżały, gdy pugilares rozwiązywał i usta się już zamknąć nie mogły od gniewu.

— Pan Chorążyc potrzebuje dużo na swoją kochankę — mówił jękając się — może nie chce, aby pani o tym wiedziała... Takie życie kosztuje wiele! Co za dziw, że tyle traci!

Chorążyna nie zrozumiała z początku.

— Co pleciesz, człowiecze? — zawołała.

— Tak! to ja fałszerz i plotę — ofuknął się Lejzor, i do pieniędzy moich dojść nie mogę, i jeszcze będę musiał takie słowa znosić! Co to pani nie wie, że on jak mąż z żoną żyją z panną Raskówną, siostrą tej co jest przy pani? Toż to widzi i wie cały świat.

Chorążyna zachwiała się, chwyciła za stół i z piersi jej wyrwał się krzyk tak bolesny, że Madzia i stara służąca wbiegły przestraszone w sam czas, aby jej nie dać upaść zemdlonej.

Lejzor przejrzał dopiero jaśniej, gdy zobaczył co się stało. Odprawiono go czekać do przedpokoju, nim Chorążyna przyjdzie do siebie.

Nie potrzebowała na to długiego czasu, niezmierna energia i siła charakteru dźwignęły ją natychmiast. Nie uroniwszy łzy, nie powiedziawszy słowa próżnego, przeżegnała się Chorążyna i kazała zawołać żyda do sali, Madzię i sługę odprawiając. Musiała tylko usiąść w krześle, bo nogi jej utrzymać nie mogły.

Lejzor wszedł znacznie ostygly i zmieszany.

— Jaśnie pani daruje, począł.

— Co się waćpanu należy? — zapytała Chorążyna, proszę o te weksle.

Żyd przystąpił do stolika i położył na nim papiery.

— Zaraz będziesz miał wypłacone — drżącym nieco głosem do-
dała Chorążyna. — Nie myśl waćpan, ażebyś mnie tą potwarzą
swoją pierwszy o tem oznajmił, o czem ja wiedziałam dobrze. Syn
mój nie ma sobie nic do wyrzucenia, ratował biedną krewną swą,
a źli ludzie na niego wymyślili czernidło. Zabolało, żeś acan śmiał
to przed mną powtórzyć.

— Jaśnie pani! — począł Lejzor.

— Nie mamy z sobą nic do mówienia, dosyć — przerwała Cho-
rażyna nakazująco — dosyć, ani słowa więcej.

Bierz waćpan pieniądze, a jeżeli potwarze rozgłaszać będziesz,
wiedz, że znajdę środek, aby nie uszły bezkarnie.

Chciał Lejzor jeszcze raz mówić, nie dopuściła stara.

— Dość! — zawołała — nie chcę słyszeć nic więcej.

Kasa była przy Chorążynie, która zawołała Madzi, dając jej
klucze. Cała suma Lejzerowi należna wynosiła do sześciu tysięcy
rubli.

— Przynies mi szkatułkę, zawołała do wylekłej i domyślającej
się jakiejś katastrofy, wychowanki.

W oczach milczącego i nie śmiejącego się już odezwać Lejzora
dobyła Chorążyna zwitek zawierający kilkadziesiąt tysięcy rubli,
oddzieliła z nich co było potrzeba i wzgardliwym ruchem ręki rzu-
ciła je na stół, biorąc weksel.

— Żegnam waćpana — rzekła pokazując na drzwi. Jeszcze raz
próbował się odezwać, lecz powtórnie ręką wskazała mu wyjście...
Dopiero, gdy ten świadek wyszedł, rozplakała się biedna Chora-
żyna; ale Madzi nie powiedziała ani słowa, nie poskarżyła się, mil-
czała uparcie.

Po południu kazała wszystko przygotować do podróży, nie tło-
macząc się ani dokąd, ni po co ma jechać. Z suchymi oczyma, gło-
sem poważnym dawała dyspozycje.

— Ty nie masz potrzeby jechać — rzekła do Madzi bladej i wy-
straszonej — pojedzie ze mną służąca. Spodziewam się powrócić
wkrótce, nie chcę byś się drogą nadaremną męczyła.

Pocałowała ją w głowę i parę łez na nią pociekło. Nie domyślała
się Chorążyna, że biedna wychowanka wiedziała wszystko i tała
przed nią.

— Paniusiu droga — cicho ośmieliła się odezwać Madzia — ja
bym w drodze może na co się przydać mogła, albo na miejscu.
Salomea nie zawsze zdrowa, często cierpi na ból głowy.

Chorążyna popatrzała na nią.

— Nie, moje dziecko, lepiej, żebyś w domu została. Wierz mi,
nie pytaj!

Madzia, której żal było puszczać Chorążynę samą, do nóg jej się
z płaczem rzuciła.

— Droga pani moja — rzekła, nie szczędź mnie anielskiem sercem swoim. Ja wiem wszystko.. jam już z tą boleścią chodziła dawno... Pozwól mi odslugiwać sobie za zdradę niewdzięcznej tej...

Popłakały się tak obie. Wahała się Chorążyna czy ją ma zabrać z sobą, chcąc jej oszczędzić jeszcze wrażeń, lecz Madzia prawie się nie dała odpędzić.

Nazajutrz rano przybył ze mszą świętą powołany ks. Zatoka i znalazł staruszkę bladą, przygnębioną trochę, ale mężną i zrezygnowaną.

Po mszy zamknęła się z nim, chcąc mu zwierzyć się ze swym nieszczęściem.

Po pierwszych słowach, nie dając się jej rozżalać, przyjaciel domu przerwał cicho. — Wiem ja już wszystko nie krwaw pani sobie serca; wiem, płacze i modłę się.. Bóg da, że duszę uratujecie..

Chorążyna potrzasała głową.

— Co pocznę, nie wiem jeszcze sama — rzekła. — Uda mi się wyrwać z rąk tej nieszczęśliwej czy nie? Mamże naprawiając zgorzsenie, namawiać go do ożenienia się z kobietą, która nigdy z godnością niewiasty, matki domu dostojęństwa nosić nie potrafi? Wedle prawa i sumienia winienby iść do ołtarza... a jaka przyszłość?

Ks Zatoka nic nie odpowiedział długo.

— Bóg natchnie — szepnął w końcu. — Lecz będziesz że pani mieć siły?

— Zaczernę je w miłości syna — rzekła z powagą Chorążyna.

— Co później się ze mną stanie, Bóg jeden wie, lecz póki nie spełnię com obowiązana, dotrzymam siły wszystkie.

— Mój ojciec — dołożyła w końcu — nadzieja w Opatrzności, że syna uratuję. Nie będzie głuchym na głos matki, powróci mi do domu, ale, niestety, choć droższy mi będzie niż kiedy, nie ten to mój już dawny Ewarystek, który nigdy na sobie plamki nie miał.. Zbrukali mi go źli ludzie, abyśmy pokorniejsi byli i cnotą się chlubić nie mogli.

Imię Pańskie niech będzie błogosławione, nawet gdy karze i smaga dzieci swoje.

Smutny to był wyjazd z domu, podróż męcząca, a przybycie do Kijowa nawet mężną Chorążynę tak ucisnęło, że Madzia musiała ją najprzód położyć w łóżko, gdyż trzęsała się jakby febry dostała.

Należało teraz obmyśleć środki, jakich miała użyć Chorążyna dla odzyskania syna. Nie była jeszcze pewną czy ma go wezwać do siebie, czy narażając się na nieuchronną i przykrą scenę z Zonią, o której zuchwalstwie wiedziała, wprost wniść na górę w godzinie, gdy Ewaryst tam się znajdował.

Położywszy w łóżko biedną trzęsącą się staruszkę, Madzia z niepokojem, który jej usiedzieć nie dawał w pokoju, z głową rozpaloną znużeniem i płaczem, wybiegła przed bramę domu zajezdneho na Padole, w którym się zatrzymali.

Był to wieczór wiosenny i co żyło korzystało z niego. Tłumy snuły się po ulicach, na które osowiałemi z bólu oczyma patrzyła.

Nagle wzdygnęła się i w pierwszej chwili chciała rzucić się nazad do bramy, gdy tuż o krok od niej stanęła Zonia, w ładnym bardzo ubraniu wiosennym, w kapelusiku pół męskim, który nosiła zawsze, z twarzą czerstwą i świeżą, z wesołymi oczyma i poznając siostrę, krzyknęła.

Madzi myśl przez głowę przebiegła, że może los szczęśliwy nadarzył to spotkanie, ażeby Chorążynie oszczędzić strapienia.

Pozostała więc, ostrem wejrzeniem mierząc Zonię. Ta przysłała ku niej niezmiészana wcale i położyła jej rękę na ramieniu.

— Madzia? a ty co tu robisz?

— Ja? — odpowiedziało dziewczę z oburzeniem w głosie — ja bym powinna cię pytać, niewdzięczna i niedobra Zoniu, co ty robisz? Coś zrobiła?

— Ja! — odparła Zonia, dumnie wykrzywając usta, powiem ci co robię: kochamy się z Ewarystem, a żyjemy z nim jak mąż z żoną.

Jeśli myślisz, że przebywając tu, czy ty, czy ktokolwiek inny zerwiecie to małżeństwo serca i dusz, to się mylicie. Ewaryst nie da się oderwać ode mnie, a ja go nie puszcze...

— Także już wstyd wszelki straciła! — krzyknęła Madzia!

— Wstyd? Nie rozumiem czego się mam wstydzić — zawołała Zonia — Wstydem byłoby oddać się nie kochając, ale my się kochamy!

Madzia zakryła oczy, Zoni się źrenice zaśkrzyły.

— O, ja wiem — ciągnęła dalej szydersko — ty byś chciała nas rozłączyć, bo ty sama się w nim kochasz, a pokorna, cnotliwa, pobożna wychowanka Chorążyniej, spodziewasz się imienia małżonki. Wybije to sobie z głowy.

Nie ma słów na odpowiedź Madzia, tylko wykrzyk zgrozy.

— Ja dawno znam, czuję tę twoją miłość dla niego — dodała Zonia — cóż z tego. On cię nie kochał i nie kocha! Poszukaj sobie innego...

— Zoniu, ty tracisz zmysły — przerwała wreszcie Madzia. — Bogiem się świadcę, nie myślałam, ani marzyłam o takim związku, nigdy się go nie czuła godną. Złutuj się nade mną, ja zniosę wszystko, ale nad matką nieszczęśliwą.

— A? czy i ta przyjechała! — zapytała żywo Zonia — aby mi zrobić scenę!

Madzia zamilkła.

— Bardzo dobrze — dokończyła Zonia — nie będę jej unikała, i owszem! Czekam! Staniemy z sobą oko w oko. Bądź pewna, że nie ucieknę, że się nie wstydę, że nie uczynię nic, aby się pozbawić tak dramatycznego epizodu w życiu moim.

Madzia osłupiała.

— Zaklinam cię — zawołała odciągając ją na stronę — oszczędź

tej biednej pani mojej chwilę okropną. Której może nie przeżyje. Oznajmij Ewarystowi, skryj się, ktoś wie? może Chorążyna da się przebłagać i ja nie wiem! On się może ożenić z tobą.

Zonia słuchała z ciekawością na przemian gniewną i szyderską.

— Ja nie myślę ani przebłagać, bo się czuję niewinną, ani się kryć, ani upokarzać, ani prosić. Co do ożenienia, kwestya czy ja bym mu się poddała!

Wyście ludzie z innego świata, ja jestem poganka i swobodne dziecko natury...

Zatrzymała się nieco i zapytała żywo.

— Więc jest Chorążyna? mów!

Madzia głową dała znak potwierdzający.

— Więc bardzo dobrze, raz się to wyjaśni i rozwiąże. Nie cierpię ukrywania się i tajemnic, to niegodne człowieka, co się szanuje.

Zawróciła się, uśmiechnęła wzgardliwie, patrząc na przerażoną siostrę i nie żegnając ją odeszła prędkim krokiem.

Patrząc na nią łatwo rozpoznać było, że zamyśliła się głęboko; potracali ją przechodnie, zaczepiała się o otwarte drzwi sklepów, szła krokiem nierównym. Prędko ten pochod ustał nagle pod naciskiem myśli nowej, zwolniła chodu, poczęła się oglądać jakby szukała kogoś. Nastrezył się jej zdala idący Komnacki, który chciał ją pominąć niepostrzeżony, ale skinęła nań, aby się zbliżył i czekała...

— Mój Ewaryst się nudzi i tęskni za panem — odezwała się łagodnie — przyjdźże pan kiedy do nas, a jeżeli ja nie jestem w łaskach, to do niego. Na przykład jutro rano. Mam pewne dowody, dla których życzyłabym sobie bytności pańskiej i bardzo o nią proszę. Nie dla siebie — dodała — ale dla Ewarysta. Przyjdźże pan, bądź łaskaw.

Nie mógł się oprzeć żądaniu pan Euzebiusz, skłonik się i zamruczał, że służyć będzie.

Zonia szła dalej powolnym krokiem ciągle i, zamiast obrać najprostszą drogę do domu, wybierała widocznie ulice, na których najwięcej osób spotkać się spodziewała.

Zobaczyła Zoriana, do którego teraz rzadko raczyła słowo przemówić, i ten nie śmiał się nawet zbliżyć do niej, dała mu znak, aby przyszedł.

— Cóż to pan tak z wielkiej miłości dla mnie przeszedłeś do nienawiści, czy co? — poczęła.

— Ja! a toż skąd wniosek? — odparł Zorian zdziwiony.

— Przecież mógłbyś się kiedy pokazać u nas — odezwała się. — Wiem to, że z Ewarystem nie macie stosunków i nie lubicie się, ale ja nie jestem obowiązana koniecznie podzielać jego fantazji. Ja potrzebuję ludzi i towarzystwa, możesz czasem przyjąć do mnie.

— A! Zoniu! — pochwylił w uniesieniu młodzieńczym zapal-
czywy Zorian, który wzdychał do przywrócenia dawnych stosun-
ków. — Zoniu! pozwól mi się tym dawnym imieniem nazywać!
Gdybyś znała serce moje i gorącość tej pogardzonej miłości, dawno
byś się trochę ulitowała nade mną.

— O miłości nie ma mowy — przerwała Zonia — był czas, żem
cię lubiła i myślała, że kochać będę, ale nie wiedziałam, że prze-
szedłeś na wiarę turecką i że po kilka naraz sułtanek uszczęśliwiasz.
Ja zaś z nikim serca podzielać nie umiem, zbyt jestem dumna.

— To były potwarze! — zaklął się uderzając w piersi Zorian.

— Daj pokój! to była natura twoja, z którą ja walczyć nie myślę;
to należy do przeszłości.

— Dlatego przyjsz na gawędę do mnie możesz. Wiesz co? jutro,
na górę do mnie wprost, dobrze?

— Królowo! aniele! — krzyknął zachwycony Zorian. — Pójdę,
gdzie rozkażesz, w ogień, w wodę!

Uśmiechnęła się z politowaniem.

— Na takie próby tak ładnego chłopaka narażać nie myślę —
rzekła. — Kijowskie czarownicze by mnie zabiły... Do widzenia,
jutro rano...

Pożegnała co prędzej Zoriana, widząc nadchodzącego w dali pana
Henryka d'Estompelles. Z tym była poufalej i lepej niż z innymi,
a Francuz miał wielkie nadzieje.

Zręcznie przesunęła się ku niemu na drugą stronę ulicy i już z dala
zaczęła się uśmiechać. Henryk, któremu się rzadko trafiało to szczę-
ście spotkania jej samej, biegł naprzeciw niecierpliwym. Znak dany
mu upoważniał do towarzyszenia i rozmowy.

— A! pani, co za dzień dla mnie! — zawołał — pozwolił mi zająć
miejsce u swojego boku.

— A nawet z wielką przyjemnością, bo mam kilka słów, które mu
chciałam powiedzieć, licząc go za przyjaciela.

— Przyjaciela! — westchnął Henryk — wielbiciela! czciciela!

— Wszyscy Francuzi przesadzają, wiesz pan dlaczego? — ode-
zwiała się Zonia. — Oto dlatego, że prawdziwego uczucia im braknie.
Kochacie głowami i zmysłami nie sercem, dlatego zmagacie się na
czułości, nie wiedząc miary ich i wagi.

— To niesprawiedliwość, przynajmniej co się mnie tyczy — go-
rąco odparł Henryk. — Ja panią kocham sercem, głową, zmysłami
i wszystkim władzami jakie mam...

— No — ale ja w ulicy oświadczeń słuchać nie mogę — odparła
Zonia — odłożmy je na później. Jeżeli wśród tych władz znajduje
się możność dawania dowodów przyjaźni...

— Pani wątpisz?

— Pytam tylko.

— Ofiaruję życie jeśli trzeba — zawołał Francuz.

— Przesada — przerwała Zonia — żądam małej przysługi.

D'Estompelles zadrżał z radości, dawało mu to nadzieję.

— Słuchaj pan — poczęła Zonia, prowadząc go z sobą w uliczkę pustą, co jeszcze bardziej rozradowało Francuza. — Słuchaj pan. Rodzina Ewarysta i moja zjechała się tu, aby nas rozerwać.

Francuzowi oczy z radości błysnęły.

— Wiem, co sobie myślisz — przerwała głowę potrząsając — sądzisz, że gdy nas rozpędzą, ja na ówczas na pociechę podam panu rękę. Ale, nie! Mam w sercu Ewarysta, a teraz gdy mi grożą, że go odbiorą, kocham go jak tygrisica.

P. Henryk spuścił głowę.

— Mówiłam panu — dodała zimno — gdy przestanę kochać, możesz mieć nadzieję, inaczej nie! Pan mi powinieś usłużyć teraz, choćby mu ta służba nie smakowała.

Znacznie chłodniej Francuz wtrącił:

— O cóż to chodzi?

— Powiem panu zaraz — rozkazująco głosiła Zonia, z góry patrząc na niego. — Jutro rano, choćby nawet przed dziesiątą, będziesz się pan przechadzał nieopodal od naszego domu, mając na oku drogę od Padołu. Ma nią przybyć Chorążyna, matka Ewarysta, potrzeba, abyś mi dał znać nim nadjedzie lub nadejdzie..

Potem przyjdiesz pan do mnie, siądziesz w salonie i nie opuścisz go dopóki ja nie pozwolę. Rozumiesz pan?

— Doskonale i zastosuję się do rozkazów literalnie — rzekł Francuz grzecznie. — Szczególniej mi się podoba siedzenie w salonie.

Zonia, która z roztrągnięciem go słuchała, podała mu rękę i zakończyła. — A teraz idź pan swoją drogą, ja muszę jeszcze do Heliodory...

Wymknęła mu się i znikła. Pani Majstrukowa zajmowała teraz dom drewniany własny, to jest męża swojego, który dosyć będąc zazdrosny, gości nie lubił, a nawet żeńskie towarzystwo Zoni miał w podejrzeniu.

— Kobiety między sobą — mawiał — to jak farmazony. zawsze mają pełno sekretów i jedne drugim do wszystkiego złego dopomagają...

Dla spokoju domowego pani Heliodora wyrzekła się dawnych znajomości, choć za niemi czasem wdychała. Postarawszy nieco, lubiąc wygodne życie, które teraz miała, szanowała je i całe dni spędzała na sofce z cygaretką i książką. Zonia bywała u niej czasem, gdy mąż nie znajdował się w domu, a niekiedy na chwilę wpadła do niej. Z dawnej przyjaźni pozostało im dość miłe wspomnienie. Heliodora mogła przed towarzyszką swobodnych dni wydobywać ich wspomnienia.

Zonia wpadła do niej w godzinie, gdy i Radca Majstruk był w domu, który szczególnie miał wstręt do młodych pięknych ele-

gantek. Tolerował jedną Zonię, znajdując, że była szelma jak ogień sprytna. Brała go szturmem.

Spotkawszy we drzwiach zawołała, podając rękę.

— Nie pytam, czy pani w domu, bo Radca jesteś tak zazdrosny, że jej głowy na ulicę nie dasz wychylić.

— Ja?

— A tak! Wszak mogę na chwilkę?

— Proszę bardzo! — zawołał, drzwi otwierając Radca i wprowadzając Zonię. — Zostaniecie u nas na herbacie.

— Nie mogę, mam dwa słowa do Heliodory, w moim interesie — rzekła Zonia — i lecę do domu bo mi pilno.

— Oho! pilno! — uśmiechnął się Radca — to już interes serdeczny i niebezpieczny.

— Nie tak jak się wam zdaje — odpaliła Zonia — moje serdeczne interesa kończą się na jednym!

To mówiąc weszła do przyjaciółki, wymijając Radcę, który pozostał w salonie.

— Wiesz — poczęła wprost wchodząc i nie witając się. — Wielką wojnę mi wydaje familia. Matka Ewarysta, kobieta surowa i nieubлагana, zjechała z moją siostrą. Myślą niezwodnie obiedz tego biedaka, mnie skonfundować i nas rozerwać. Ale — ja się też bronić będę.

Heliodora porwała się przestraszona.

— Cóż ty zrobisz?

— To już zostaw mnie — odparła Zonia. Mam cię tylko prosić o jedno, wyrób mi to u tego tyrana twojego (wiedziała, że słuchał pode drzwiami), aby ci pozwolił jutro przyjść do mnie rano i posiedzieć. Przy obcych nie będą śmieli robić mi historii.

— No — to cóż? zawołała Heliodora — albo my tam u ciebie możemy siedzieć załogą ciągle?

— Ja to wiem — przerwała Zonia — ale będę miała czas Ewarysta do oporu przygotować... choć na wstępie pomieszam im szyki.

Gdy to mówiła, zaciskała usta i, jak koń arabski przed bitwą, rzucała ognistym wzrokiem dokoła. Nie tyle obawy było w niej widać, co zapału.

Heliodora namyślała się, nie bardzo może chciała się mieszać w cudzą sprawę. Zonia ją uściskała.

— Przyjdź, proszę cię, daj mi ten dowód przyjaźni. Radca nie będzie przeciwny.

Gruby głos podsłuchującego pode drzwiami, na pół ze śmiechem, powtórzył za nią.

— Radca nie będzie przeciwny, jeżeli idzie o to, aby arystokratom figla wypłatać...

— O to idzie — dodała Zonia.

Heliodora nie mogła się już opierać — przyobiecała.

Nie tracąc więcej czasu pocałowała ją w czoło Zonia, zawinęła

się do wyjścia i we drzwiach podawszy rękę gospodarzowi, wybiegła tym razem już wprost pośpieszając do domu.

Ewaryst, którego długa jej przechadzka samotna niepokoiła, zobaczywszy ją przesuwaną się pod oknem, wybiegł na spotkanie. Od dawna Zonia nie witała go z taką czułością, z takimi oznakami przywiązania jak teraz, zarzuciła mu rękę na ramię i tak prowadziła na górę.

— Stęskniłem się za tobą! — zawołała.

— A gdzie bawiłaś tak długo?

— Na przechadzce najprzód, potem u Heliodory. Ta mnie zatrzymała. Jestem dziś jakaś rozmarzona, smutna, niespokojna i potrzebuję ciebie mieć przy sobie.

Weszli tak razem na górę. Zonia zrzuciła z siebie ubranie spacerowe i padła na krzesło, wskazując miejsce obok Ewarystowi, któremu w oczy patrzała.

Nie chciała mu powiedzieć nic, a nie mogła się powstrzymać od niepokojącego wyrazu w głosie i twarzy. Obie ręce wyciągnęła ku niemu.

— Tyś mój! prawda, żeś ty mój! — odezwała się namiętnie — że mi ciebie nikt odebrać nie potrafi?

Pytanie to zdziwiło bardzo Chorążycę. Ciągły niepokój, który go trapił, budził się za lada słówkiem.

— Moja Zoniu — przerwał zbliżając się ku niej — skądże to pytanie? czy wiesz co? Czy się obawiasz czego?

— Ja? niczego w świecie się nie lękam oprócz jednego ciebie — odparła Zonia smutnie. — Wiem, że póki będę miała twe serce, mogę polegać na niem, ale mamże ja to serce twoje? nie ostygłoż ono w piersi? Nie znużyła cię ta dziwaczna, niecierpliwa, śmieszna Zonia? nie zamęczyła cię swem kochaniem? Mów!

— Potrzebujesz słów! — rzekł z westchnieniem Ewaryst. — Cóż znaczy słowo, gdy wiesz z życia naszego o tych ofiarach, które ci niosę chętnie, a które są wielkie. Zoniu! ja dla ciebie kłamię, oszukuję matkę, dręcę się w sumieniu, a ty chcesz, abym ci powiedział, że cię kocham!

Rzuciła mu się na szyję nic nie mówiąc i tak na niej zawisła zadumana, rękę Ewarysta przyciskając do ust gorących.

— O! nikt cię tak jak ja kochać nie będzie! — zamruczała. —

Prawda, nie przyniosłam ci dziewiczego, ale uwiędłe, biedne serce, co nie rozkwitłszy zaschło...

Ale ja tamtego nie kochałam, on mnie tylko uczynił spragnioną miłości, którą całą, pierwszą wylałam na ciebie, Ani ty, ani ja już tak drugi raz w życiu kochać nie będziemy. Jeden kwiat taki rozwija się na tej suchej, kolczystej łodydze nędznego żywota...

Ciebie nikt tak kochać nie będzie, i ja nie będę tak nigdy kochaną. Jestem dumna tą miłością, bo ty wierzysz w piekło i nie wahałeś się dla mnie stanąć nad urwiskiem, w którym one gore...

A! czemu w takiej miłości nie można dotrwać do końca...

Ewaryst chciał jej przerwać, nie dała mu się odezwać, usta zatykając ręką.

— Mam straszne jakieś przecucia — ciągnęła dalej — sama nie wiem co mi jest. Zdaje mi się, jakby mi ciebie odebrać chciano!

Spojrzała na niego, Ewaryst pobladał strasznie.

— Ty dziś masz te przecucia — odezwał się — ja z nimi ciągle żyję, ja się budzę po nocach, słyszę we śnie głos matki, postać jej widzę przed sobą ciągle! Każdy jej list przeraża mnie, nie śmiem, rozłamać pieczętki.

Nie pojmuję nawet, że dotąd ktoś mnie nie oskarżył...

Przyznam ci się, że wołałabym już może przetrwać straszną gozdzinę, którą przeczuwam nieustanie.

— A! nie wywołuj jej — przerwała Zonia. — Jesteś pewnym, że będziesz miał siłę nie zaprzec się mnie... zobaczywszy łyzy matki?

Ewaryst głowę zwiesił.

— Dostyc tego — rzekł głosem złamanym — nie mówmy o tem.

— Owszem, zbrójm się na tę chwilę, myślmy o niej — zawołała Zonia — ja stanę mężnie, nieuleknie, choć stokroć więcej w ich oczach winna, w moich nawet, ale ty? ty?

— Ja? — odezwał się Chorążyc. — Nauczyłaś mnie być prawdziwym. Zoniu powiem ci więc, ja nie wiem co pocznę.

— I nie wiesz na czym skończysz! — szepnęła głosem łagodnym kobieta... Tak! masz słusność, lepiej nie mówmy o tym... nie myślmy... kochajmy się i korzystajmy z chwili każdej, bo wszystkie policzone...

Na oczach Zoni nigdy Ewaryst prawie łyzy nie widział, zdziaczała biedna płakała zawsze wewnątrz, pożerając łyzy swoje; teraz z rzesy toczyły się dwie krople srebrne i zbiegły po policzkach. Ewaryst całował ją w czoło, długo milczeli oboje. Nagle Zonia podniosła się, twarz rozjaśniając, plaskając w dłonie, wołając na sługi i ciągnąc za sobą Ewarysta do zastawionego stołu...

— Śliczny wieczór wiosenny! — wołała — wypijemy herbatę, potem siądziemy w oknie razem i będziemy odychać jego powietrzem, szeptać, marzyć... aż do dnia!

Ja dziś jestem ciebie spragniona, głodna, nie wypuszczę cię na chwilę!

Chorażyna wstała bardzo rano, nabrawszy energii, która ją na krótko opuściła; chciała być najprzód na nabożeństwie i pojechała do kościoła razem z Madzią. Ztąd miała odwieźć ją i zostawić w gospodzie, nie chcąc brać z sobą. Nabożeństwo przeciągnęło się dość długo... W chwili rozstania Madzia przyłgnęła do rąk staruszki, która pocałowała ją w głowę z lekka odepchnęła.

— Módl się — rzekła — i czekaj na mnie.

Siły, których wczoraj zabrakło, dała staruszce woła i przekonanie obowiązku; jechała sama jedna, blada, drżąca, lecz czując, że się nie cofnie i nie da niczem sprowadzić z drogi.

Gdy powóz stanął przed domem, Francuz już był z oznajmieniem na górze. Ewaryst, znajdujący się w mieszkaniu swoim na dole, wyjrzał, ale nie domyślił się matki, nie przeczuł jej. Wysiadająca Chorażyna znalazła się ze służącym sama, w niepewności czy miała iść do syna wprost, czy do Zoni.

Jeszcze się namyślała, gdy Ewaryst wyjrzał, słysząc szelest w sieni, zobaczył matkę i zachwiał się. Trwało to jedno okamgnienie, natychmiast przybiegł do niej i zniżył się jej do kolan.

Poruszona i zmieszana staruszka, nie mówiąc nic, razem z synem weszła do jego mieszkania.

Na górze Zonia z rozpaloną twarzą stała w oczekiwaniu gorączkowym. Domyśliła się, że Chorażyna wstąpić musiała do syna i ulękła się widocznie. Cała jej rachuba na świadków w niwecz obróconą.

Ewaryst jak winowajca, z głową zwieszoną, blady, czekał odezwania się matki, która lzy połykała.

— Przyjechałam po ciebie — poczęła Chorażyna drżącym głosem, ale bez gniewu. — Każdy człowiek zbłądzić może, ale zły trwa w grzechu. Poblądziłeś okrutnie, Ewaryście, czyniąc współniczką winy twojej kobiecie, której winienesz być opiekę i przykład cnoty, poblądziłeś jawnością występku, zgorzeniem, nie mówię żeś mnie serce zakrwawił, bo cóż moje znaczy, gdyś obraził Boga i prawa Jego!

Ezy mowę jej przerwały, lecz je natychmiast otarła...

— Przyjechałam zerwać te obrzydłe, występne związki — dodała — pojedziesz ze mną.

O Zoni nie mówiła nawet. Ewaryst stał niemy.

— Im prędziej, tym lepiej — zawołała Chorążyna, bez żadnych pożegnań, tłumaczeń. Damy jej co zechce, obmyślimy los, ale ciebie ja zabieram zaraz...

Spojrzała nań.

— Matko kochana, to nad siły moje, nawet dla ciebie tego uczynić nie mogę!

Wyrazy te z dały się Chorążynie dech i mowę odbierać; rękę przyłożyła do piersi, tchnęła z wysiłkiem.

— Ewaryście — przerwała — nie mów tego! nie mów! Nie poznaję w tobie syna mojego pocziwego Eliasza, ciebie samego nie poznaję. To nie twoja mowa.

Ewaryst miał czas się namyślać.

— Inny sposób widzę naprawienia zła jakie uczyniłem — odezwał się — nie godzi mi się użyć innego. Powiniennem się z nią ożenić.

— To być nie może — żywo odparła Chorążyna — kościół nie uważa za ważne małżeństwo, które się w grzechu poczęło. Zonia jest twoją bliską krewną — nareście — oddała dumnie — nie jest to synowa dla Chorążego, ani córka dla mnie, ani żona dla ciebie, ani matka dla rodziny...

— Nie bądź okrutną, matko droga, miej litość — rzekł Ewaryst. — Posłusznym ci być nie mogę, poświęcając ją — nie mogę...

— Więc kochasz tę... — spytała Chorążyna łamiąc ręce.

— Kocham ją.

— I cóż to jest za miłość! — wołała oburzona — sromotna! bydlęca! Ewaryście! Co się z tobą stało! O nieszczęśliwa ja! Któż mi odda syna!

Ewaryst padł jej do nóg, ale ściskając je — jęczał i powtarzał.

— Matko — ja jej opuścić nie mogę...

Tym oporem niespodziewanym Chorążyna zdawała się równie zdumiona jak pomieszana!

Zamilkła...

— Chcesz więc, abym dała do wyboru między mną a nią, bo ja z nią nigdy nic wspólnego mieć nie będę?

Syn łamiąc ręce nie mówił słowa — blada, straszliwie ściągnięta twarz jego mówiła co się z nim działo.

Na górze Zonia stała w oczekiwaniu gorączkowem, rzucając oczyma dokoła i zdając namyślać się co pocznie. Siedziała Heliodora niespokojnie spoglądając na nią, stał pan Henryk, znajdował się już Komnacki, a na schodach słyhać było idącego Zoriana.

— Heliodora, proszę cię, bądź tu gospodynią za mnie — odezwała się zmienionym głosem — ja muszę zejść do Ewarysta.

Gwałtownie otworzyła drzwi, rzuciła nimi, zbiegła pędem ze schodów i zaczerwieniona, dysząca, z oczyma piorunującymi, nieulekniona i dumna, wtargnęła raczej niż weszła od pokoju Ewarysta. Chorążyna czuła ją nadchodzącą, Chorążyc zdreptał.

Wejrzenie, którym ją spotkał w progu, prosiło o litość nad matką. Chorążyna, która niedawno stała jeszcze przybita i płacząca, na widok Zoni, przybrała dumną i zimną postawę.

— Jestem Zofia Raszkówna — poczęła głosem podniesionym, śmiało stojąc naprzeciw Chorążynie — jestem kochanką Ewarysta i nie wstydę się tego. Staję przed panią nie prosić o żadne przebaczenie, ale przyznać się do tego, że nie on mnie, ale ja go uwiodłam. Tak jest, kocham go i on mnie kocha. Chcesz nas pani rozdzielić w imię religii, ja stoję przy nim w imię serca, mojego i praw jakie mamy do siebie. Dla mnie religią jest natura.

Chorążyna tak była przerażoną tym wyznaniem zuchwałym, iż nie rychło odpowiedziała.

— Z waćpanną ja do czynienia ani do mówienia nic nie mam, odezwała się dumnie. To jest syn mój, ja waćpanny znać nie chcę.

Odwróciła się.

— Mamo! — zawołał Ewaryst.

— Milcz! — przerwała matka. — Wolno tej obłąkanej i bezwstydną nie znać Boga i praw Jego, nie mieć wstydu, przestać być kobietą, ale tobie synu rodziców chrześcijańskich, nie godzi się Boga, którego znałeś, wypierać.

Zwróciła się do Zoni.

— Ustąp waćpanna stąd i zostaw nas samych.

— Nie pójdę na krok — zawołał Zonia — gdzie on, tam i ja. Nie związała nas żadna przysięga u ołtarza, ale ja jego a on mnie opuścić nie może...

Chorążyna z dumą na nią spojrzała.

— Ewaryście! ta kobieta mnie ztąd wypędza!

Syn padł jej do nóg. Zonia patrzyła na to założywszy ręce.

— Nie ustąpię — rzekła jak do siebie. — Jeżeli Ewaryst chce mnie rzucić, nie bronię mu. Niech spyta sumienia swojego.

Jeszcze moment Ewaryst ścisnął nogi matki, która już widząc, że nic począć nie może, wyrwała się ku drzwiom. Zonia ustąpiła jej z drogi.

Za matką włókł się syn, stłumionym głosem powtarzając.

— Matko, ulituj się.

Chorążyna nic już nie odpowiadała, oczy jej nawet spotkać się nie chciały ze stojącą naprzeciw Zonią, która czekała końca tej sceny, z męstwem dzikiem, rosnącym w miarę niebezpieczeństwa.

Wyrwawszy się synowi, który za nią szedł schylony, staruszka otworzyła drzwi, drząc i staniając się, słudze kazała się do powozu prowadzić. Nie odwróciła się do Ewarysta, który rękami uciskając głowę, gdy ją zobaczył odjeżdżającą, wpadł nazad do mieszkania i nie widząc Zoni rzucił się w rozpacz na krzesło.

W milczeniu zbliżyła się do niego, z pokorą.

— Ewaryście! przebaczenia! litości! męstwa — poczęła cicho.

Pierwsza najstraszniejsza walka zwycięsko przetrwana. Uspokój się, wszystko skończone. Utuliła dłońmi głowę jego.

Chorążyc siedział jak nieprzytomny, jęki bez słów ciężkie wyrwały mu się z piersi. Chciał gonić za matką, zrywał się i upadał nazad na siedzenie.

— Męstwa! powtarzała Zonia.

Lecz to męstwo, które mu natchnąć chciała, w niej samej się wyczerpało. Pobudzała je w sobie, a ręce się jej trzęsły i lice bladło trupio...

Ewaryst ochłonął wreszcie trochę, popatrzył na Zonię z wyrazem boleści łagodnym i wstał.

— Muszę jechać za matką — rzekł. — Nie obawiaj się. Wiem, co ci winienem i nie opuszczę...

Zaciągnąłem obowiązki, które spełnię, będziesz żoną moją. Przebłagam matkę.

Oczy Zoni zaświeciły krótko i lżą zaszyły, potrząsała głową.

— Żoną! — rzekła — wolę być kochanką — to ofiara przynajmniej...

— Nie możemy się przecie naigrawać z praw boskich i ludzkich, przerwał Ewaryst — inaczej się to skończyć nie może i nie powinno.

Nie otrzymawszy na to odpowiedzi, Chorążyc przeszedł się po pokoju.

— Muszę jechać do matki — powtórzył — bądź spokojna.

— Jedź — krótko odparła Zonia — stanie się co przeznaczone.

Zlekka przycisnąwszy usta do jego czoła, odstała od Ewarysta, jakby mu wolną chciała zostawić drogę.

— Będę czekała w trwodze twego powrotu — dodała — jedź — jam na łasce twej. Uczyń co ci się podoba...

— Zoniu! — zawoła Ewaryst, zwracając się do niej — ale już była wyszła i drzwi się zamknęły za nią.

Na górze oczekiwali ją świadkowie powołani, usiłując rozpoznać z twarzy, co przynosiła z sobą. Heliadora zbliżyła się, do niej, lecz głową tylko poruszyła znacząco, dając jej znać, że mówić nie ma o czem i nie może...

Sprawa nie była skończoną.

Podszedłszy ku środkowi pokoju, okiem potoczyła po gościach swoich.

— Przebaczycie mi — rzekła z przymuszonym szyderstwem — mieliście być świadkami dramatu, tymczasem artyści zawiedli...

Skłoniła się jakby ich pożegnać chciała i wszyscy zrozumiałwszy, że dłużej zatrzymywać ich nie chciała, zabrali się do wyjścia.

Uśmiechnęła się do Francuza i szepnęła mu niewyraźnie.

— Możesz mi być potrzebny...

Heliodore uścisnęła.

— Fatygowalaś się na próżno — rzekła jej — wszystko się odbyło na dole. Pani Chorążyna nie chciała sobie nóg kalać o progi moje.

— Ale jakże się skończyło?

— Pierwszy szturm odparł Ewaryst zwycięsko — mówiła z pewnym zwątpieniem Zonia — co będzie z drugim, ja nie wiem.

Ufam mu.

Potrzęsa głową pani Majstrukowa, powstała i widząc, że już więcej nic z milczącej i pogrążonej w sobie wydobyć nie będzie mogła, pożegnała ją słowami pociechy.

— No — bądź że spokojną. Chorążyc uczciwy chłopiec, on cię tak nie porzuci... Podrożą się i pożenią was. Inaczej nie może być. Ucałowawszy raz i drugi zamyśloną, wybiegła pani Heljodora.

Zonia usiadła w oknie, sparta się na rękę i patrzyła w ulicę, a nie widziała nic. Ogniste płatki latały jej przed oczyma. Ewaryst chwyciłszy pierwszą dorożkę jak mu się nastreczyła, kazał się wieźć po gospodach, bo nie wiedział, gdzie szukać matki.

Nie było ich zresztą tak wiele, aby poszukiwanie zbyt mogło zabrać czasu. Woźnica kierując się domysłem, zawiózł go tam właśnie, gdzie zdrętwiała w krześle Chorążynę cuciała Madzia z Salomeą.

Staruszka przyjechała tak osłabła, że ją z powozu wysadzić musiano, nie odezwała się do Madzi, a pytać jej nikt nie śmiał i nie potrzebował. Już to, że powracała sama, mówiło dosyć.

W rozpacz Madzia, łamiąc ręce, zacinając usta, aby nie dać się z nich wydobyć duszącym ją łkaniem, biegała około Chorążynnej. W myśli jej stało, że ona powinna iść i starać się siostrę skruszyć i ubłagać, aby się upokorzyła, lecz wczorajsze z nią spotkanie tak małą dawało skutku nadzieję?

Kobiety krzątały się jeszcze około Chorążynnej, która płakać zaczęła po cichu, co za szczęśliwy znak uważano, gdy Ewaryst wbiegł do pokoju.

Nie zważając na świadki, które się natychmiast cofnęły, padł do nóg staruszce. Płakał i on, nie mogąc przemówić nic, prócz nazwiska — matko!

Chorążyna nie dając się złamać przywiązaniu macierzyńskiemu, nie odpowiadała długo.

— Jeżeli mi przynosisz to, czegom od ciebie żądała — rzekła w końcu — dobrze, że posłuchałeś sumienia, otworzę ci ręce moje. Jeżeli chcesz wymódl na mnie, abym błogosławiła twojemu szaleństwu — Ewaryście, nie znasz mnie...

Pojadę sama płakać, modlić się, prosić Boga o upamiętanie twoje, — ale nie pobłażę występкови. Ojciec z grobu uznałby mnie winną i siebie niegodną. On by na to nie zezwolił nigdy — ja nie mogę...

A gdy syn milczał, dodała jeszcze.

— Rzuć tę bezwstydnice, jedź natychmiast ze mną, to moje słowo ostatnie. Zapłać jej za grzech i sromotę swą co zechce.

— Matko — przerwał Ewaryst — sądzisz ją niesprawiedliwie, bez litości. Ja jej porzucić nie mogę.

Chorażyna odtrąciła go z lekka.

— Idźże, powracaj do niej — zawołała gniewnie — jeżeliś między nami dwiema wybierając, ją wolał nade mnie... Idź...

Stał naprzeciw niej milczący Chorażyc i gdyby była spojrzała na niego, zmiękłoby może serce macierzyńskie, byłaby się skruszyć dała, lecz umyślnie unikała nań wejrzenia. Straszna chwila milczenia upłynęła, przerywana tylko cichym łkaniem Madzi w drugim pokoju...

Po upływie jej, Ewaryst jeszcze się schylił do nóg matki, usunęła się od niego.

— Masz do wyboru — rzekła między mną a nią, innej drogi nie ma. Wybieraj.

— Opuścić jej nie mogę — odezwał się syn chmurno...

Usłyszawszy to Chorażyna powstała z energią, do której niedawno nie byłaby sił miała. Krokiem prędkim, nie odwracając się ku niemu, wyszła z pokoju.

Ewaryst słyszał jak przerywanym, ale nakazującym tonem wydawała rozkazy do wyjazdu natychmiast. Służba zaczęła posłuszna biegać i zbierać rzeczy, ściągając tłumoki, pospiesznie chwytając wszystko... Chorażyc stał sam w izbie, postanowiwszy dotrwać tu do końca. Miał jeszcze nadzieję, że matka nad nim się ulituje.

Wtem po cichu zbliżyła się doń Madzia.

— Ewaryście — zawołała cicho — zlituj się, zabijasz matkę. Kocham Zonię, żałuję jej, ale ona ma siły do zniesienia nieszczęścia, w które popadła własną winą. Chorażyna! ona tego nieprzeżyje!

— Madziu! ty mów za mną, za siostrą! proś ją — zawołał Ewaryst! — ja Zoni opuścić nie mogę... Byłbym podłym.

Skończyło się na płaczu. Tymczasem rzeczy już wynoszono do powozu. Konie zaprzęgano. Chorażyna słabym głosem powtarzała ciągle: Jechać! jechać! Musiano z pomocą miejscowych ludzi porzucić naprędce co jeszcze zostawało i staruszka się do powozu prowadzić kazała. Zobaczywszy ją wychodzącą, pobiegł Ewaryst za nią, aby, choć, przy świadkach, jeszcze sięgnąć po jej rękę. Chorażyna usunęła mu je gniewnie.

— Jechać! — odezwała się ostatkiem głosu...

I powóz potoczył się, zostawiając Chorażycę wśród podwórca, osłupiałego, skamieniałego z bóleści. Ludzie, patrzący a nie rozumiejący

co się działo, mieli tyle litości nad nim, że go do izby prawie gwałtem zaprowadzili.

Nie wiadomo, jak długo byłby tu siedział, nie wiedząc co się z nim dzieje Ewaryst, gdyby Komnacki, który niespokojny kroki jego śledził, nie wszedł i nie wdając się ani w badania żadne, ani w pocieszenia napróżne, nie skłonił go do powrotu do domu. Zabrał go do dorożki i wywiózł jeszcze nieoprytomnionego.

Tu zaledwie wszedł na dół, gdy Zonia nadbiegła z góry. Nie pytała go, wiedziała, że wracał wypiwszy dla niej kielich gorzycy do dna.

Serce jej zakrwawiło się, patrząc na nieszczęśliwego, nie było słów na pocieszenie, milczenie mówiło wszystko.

Komnacki był tak niespokojny o stan przyjaciela, że szepnął o doktorze. Ewaryst, dosłyszawszy to, potrząsł głową.

Krótko zabawiwszy i zostawiając ich samych, wyszedł pan Euzebiusz...

Reszta tego pamiętnego dnia upłynęła w pogrążeniu jakimś milczącym. Zonia z rękami na piersi skrzyżowanymi chodziła po pokoju. Ewaryst siedział, ruszyć się nie mogąc. Nadeszła noc tak i oboje nie myśleli o spoczynku, aż siły się wyczerpały i sen pochwycił ich tak jak siedzieli..

Rano wymknęła się Zonia na górę, Ewaryst zwlókł się do łóżka. Komnacki przyprowadził doktora, mimo zakazu, ale ten głową potrząsłszy uznał, że on tu nic radzić nie może. Cisza straszna zaległa dom, jakby życie się zatrzymało.

Nie ma jednak boleści, która by pierwszej gwałtowności z czasem nie postradała. W kilka dni na pozór wróciło wszystko do dawnego porządku. Na Ewaryście, który nigdy wesołym i trzpiowatym być nie umiał, nawet w chwilach szczęścia zachowując powagę charakterowi właściwą, nie tak wielkie było przejście tej burzy, jak na Zoni. Stała się milcząca i zamknięta w sobie. Zbliżała się czasem do Chorążyca, jakby chciała przynieść mu jakimś wyrazem lub pieszczotą ulgę w smutku i cofała się. Zmarszczone czoło nosiła ciągle, a zostawszy sama godzinami jak wryta stała w jednym miejscu... Walka wewnętrzna odbywała się w jej sercu, choć żadnym słówkiem nie oznajmywała przez usta.

Gdy Ewaryst zbliżał się do niej, chcąc ją wywieść z tego pogrążenia w sobie, drgała jak przestraszona i zlekka unikała pieszczot jego, usuwając się pod różnymi pozorami.

W rozmowach krótkich ani on, ani ona nie wspominali o tym co przeszło... Oboje starali się zatrzeć dla siebie wspomnienie dnia straszego.

Ewaryst nareszcie wmawiał w siebie, że matka odezwie się do niego i ulegnie konieczności, ale z Zamiłowa nie przychodziło nic.

Tydzień już upływał w niezmienionym tym stanie ducha obojga, gdy Zonia zaczęła się z niego pozornie otrząsać! Można się było do-

rozumieć w niej jakiegoś postanowienia, które nowym życiem ją natchnęło...

Ewaryst nie wychodził jeszcze, ona potrzebowała ruchu, nie przyjmowała nikogo, ale parę razy wybiegała z domu na godzinę i wracała poruszona a niespokojna. Widywał ją Komnacki chodzącą po jednej ulicy ogrodu samą, z głową spuszczoną, nie rozeznającą tych co ją mijali. Piękna twarz jej nosiła ślady widome cierpienia, zarazem dumy i jakby gniewu na świat cały.

Jednego dnia z przechadzki weszła tak zadumana do Heliodory i siadła naprzeciw niej, nic nie mówiąc.

Pani Majstrukowa parę razy zagadnęła ją o coś i nie otrzymała odpowiedzi.

— Nieznośne życie takie! — zawołała nagle. Wiesz, lepiej się utopić! Raz próbowałam się otruć, a gdybym teraz znowu na inny sposób chciała się pozbyć życia, to się znajdzie dobrodziej, który mnie na powrót na tortury odda...

— Co to pleciesz! — odezwała się Heliodora. — Nie rozumiem ciebie. Postawiłaś na swoim.

— Prawda, bardzo pięknie! — rozśmiała się gorzko. — A widziałś ty Ewarysta? Od czasu jak matka się z nim tak nielitościwie obeszła, jak zabity! Patrząc na niego gniew mnie porywa i rozpacz.

— Cierpi dla mnie, za mnie, a ja nic na to poradzić nie mogę.

— Przesadzasz wszystko — przerwała pocieszając pani Majstrukowa.

— Nie umiem sobie kłamać — mówiła Zonia. — Na Ewarysta patrząc... szaleję. Co ten biedny człowiek winien? Jam go wciągnęła, rzuciłam mu się sama na szyję. Nie wiedziałam, że miłość zabija!

Ze spuszczoną głową zaczęła chodzić po pokoju, nie słuchając oklepanych frazesów, którymi ją Heliodora pocieszać chciała. Niekiedy poruszała ramionami.

— Tyle tylko potrafili — rzekła pomilczawszy — że miłość, która by może ostygła była, zrobili gorętszą. Ewaryst nigdy mnie może tak nie kochał, a ja...

— A ty? — spytała Heliodora.

— Ja? słuchaj — krzyknęła gwałtownie — dałabym zań życie! To mówiąc rzuciła się we drzwi i uciekła...

Stan gorączkowy trwał ciągle.

Komnacki, który się co dzień tam dowiadywał, śledząc zmiany, jakich się spodziewał w Ewarystyce, nie mógł zrozumieć nic oprócz tego, że się coraz mocniej do Zoni przywiązywał. Jej chłód czasami jakiś przymuszony, czasami niespodzianie zmieniał się w szalone roznamiętnienie, z którego gwałtem się wyrывała.

Z Zamiłowa nie było nic.

Nikomu się do tego nie przyznając Ewaryst potajemnie napisał do Madzi, żądając od niej wiadomości o zdrowiu matki.

Odpowiedzi długo nie było. Przyszła wreszcie ukradkiem pisana,

polana łzami, w słowach zamknięta niewiele, poza którymi było czytać, czego wypowiedzieć nie mogła.

„Pani Chorążyna“ — pisała Madzia — „w drodze nam chorowała i po powrocie musiałyśmy po doktora Mochnackiego posyłać, bo było niedobrze.

„Teraz, choć trochę jest lepiej, ale taka zmieniona, że nam się serce, patrząc, kraje. Prawie nic nie je, pół dnia się modli a płacze. Dawniej gospodarstwo i interesa zajmowały ją, teraz są jej obojętne. Gdybyś pan widział panią Chorążynę, przestraszyłbyś się i pożałował.

„Imienia pańskiego ani razu nie wymówiła, a co dawniej ciągle zaglądała do pokojów, które były dla niego przeznaczone, teraz tam jej noga nie postąpiła.“

Z listu widział Ewaryst, że się nie mógł żadnej spodziewać zmiany; on też Zoni porzucić nie mógł. Położenie się stawało tym cięższym, że potrzebował pieniędzy na życie, a to do czego miał prawo dawno zostało wyczerpanym, na całym zaś majątku i kapitałach pani Chorążyna miała dożywocie. Prosić nie chciał, że strony matki nie było nadziei, aby się nad nim ulitowała, musiał żyć dalej długami, które robił, a tych warunki coraz cięższe się stawały.

Pocziwy, spokojny, zimny na pozór Komnacki był jedyną ucieczką obojga, radziła się go i zwierzała mu Zonia, otwartym sercem mówił z nim Ewaryst.

Poszedł do niego z nową myślą, która mu przyszła po odebraniu smutnego listu Madzi.

— Znam o tyle matkę moją — odezwał się do niego — iż wiem, że nie ulegnie, mnie nie pozwala na to sumienie. Zdaje mi się, że gdybym raz się ożenił, matka by się naówczas przebłagać dała. Widziałyby, że rzecz spełniona, pobłogosławiona, obalić się nie da, przebaczyłyby nam. Jak ci się zdaje?

— Być by to bardzo mogło — rzekł po namyśle pan Euzebiusz — lecz przed ożenieniem, które jest związkiem nierozzerwanym, wiekuistym, namyśleć się trzeba, mój Ewaryste. Pomimo gorącej miłości waszej, która jest może wypadkiem młodości obojga, czy wasze dwa charaktery są dla was stworzone, ja nie wiem. W pojęciach waszych zachodzą radykalne różnice. Ty jesteś człowiekiem umiarkowanym i spokojnym, ona gorączkową i rwącą się do wszystkiego co nowe, co obiecujące a mamiące.

— Dziś godzicie się z sobą, bo miłość z obu stron ustępstwa robi, ale później, gdy ona musi ostygnąć, gdy ty na wieś ją wyciągniesz, życie twoje jednostajne i spokojne jej nie starczy. Naówczas ona w najdziwniejszych pokusach szukać będzie pokarmu wybujałej fantazji, a ty...

Ewaryst nie chcąc się zgodzić na określenie charakteru Zoni, nie mógł zaprzeczyć, że w głównych rysach Komnacki miał nieco słu-

szności. Zdaniem jego innego wyjścia z tego położenia nie było, tylko to jakie on wykazywał, ożenienie.

— Mój drogi — przerwał Komnacki — trzeba najprzód się upewnić, czy się ona zgodzi na to. Ile razy mi się trafiło słyszeć ją mówiącą w tym przedmiocie, jeśli dobrze rozumiał, protestowała zawsze w imię swobody i godności człowieka przeciwko małżeńskiej niewoli, znajdując, że kobieta i mężczyzna powinni być w każdej chwili zupełnie wolni, tak się rozstać, jak przystali do siebie.

—! A zawołał Ewaryst — ty wiesz czego Zonia nie wygaduje, gdy raz sobie cugle puści. Nie idzie za tym, ażeby stała przy tym jak przy niezłomnej prawdzie.

— Ale ja ją słyszałem sto razy powtarzającą toż samo — odparł pan Euzebiusz. — Jest to właśnie jeden z tych aksjomatów, przy których się ona upiera najmocniej i na nim zasadza swoje mrzonki o reformie społecznej.

— W tym jestem pewien, ulegnie — dodał Ewaryst.

— Rozmyśl się dobrze nim ten krok stanowczy postawisz — rzekł Komnacki. — W każdym innym razie bez namysłu powiedziałbym ci: żeń się, z tą biedną, choć bardzo ponętą istotą; sumienie każe mi mówić; namyśl się dobrze.

Wieczorem zaproszony na herbatę przyszedł Komnacki. Zonia w czasie niebytności Chorążyca, jak zwykła była bez ceremonii plądrować po jego papierach, tak i teraz szukała w szufladkach czy nie było listu, znalazła pismo siostry, odczytała je, zamyśliła się głęboko, a wieczorem chodziła chmurna. Byli we dwoje tylko.

Ewaryst zaraz po herbacie wszczął rozmowę i napomknął, że innego nie mieli wyjścia tylko ożenienie.

— Rozumiem — odezwała się Zonia — chcesz matkę tym sposobem zmusić do przyjęcia faktu spełnionego. Gdy ksiądz pomruczy nad nami po łacinie i da nam parę pierścionków, Chorążyna ulec będzie musiała? wszak tak! Ale ja, właśnie dlatego, by się jej nie narzucać, na ślub nie pozwolę. Obeszliśmy się bez ślubu raz... obchodźmyż się i dalej. Cały urok naszego związku wolnego zniknie, gdy się on stanie przymusowym... Ja tego nie chcę.

— Wedle waszych praw przykuci byśmy byli do siebie, to idea upadająca! Ja bym musiała być twoją, ale w tejże chwili nie chciałabym nią być, bo musu nie znoszę.

— Zresztą ani ty, ani ja nie możemy przysięgać na to, że się będziemy kochali, to absurdum. Do miłości żaden ksiądz zmusić, żadna przysięga znaglić, żaden obowiązek skłonić nie może, gdy serca wystygną.

— Przepraszam, że zapożyczę frazesu łacińskiego z książki francuskiej, którą wczoraj czytałam. *Spiritus flat ubi vult*, tak samo miłość, która jest spirytusem także i niezbadanej natury...

Mówiła żywo, głośno, dumnie, a dokończywszy pochwyliła w dłonie głowę siedzącego męża i pocałowała go w czoło.

— Kochanką jak kochanką — rzekła — a żoną byłabym nieznośną, zupełnie jak pies trzymany na łańcuchu, który po jakimś czasie zły jest i wściekły... Wystawże sobie mnie tam u was, w spokojnym Zamiłowie, obok świętej Chorążycznej, skazaną na chodzenie po palcach, na mówienie po cichu rzeczy pozwolonych, na męczarnię poskramiania się we wszystkim. Wedle moich pojęć — dodała — każdego człowieka zadaniem jest rozwijać się wedle sił swoich najpotężniej, wedle was obowiązkiem jego jest poskramiać się, jest ducha gnębić, ciało, które go mieści, męczyć, aby oddziaływało nań, nie mieć ciekawości, bo to prowadzi do piekła, nie mieć własnej myśli, bo ta wiedzie do herezji, słowem, stać się automatem w rękach księdza... A tym ja być nie chcę i nie mogę.

Strząsnęła głową, okrytą włosami bujnymi, odsunęła je z twarzy i zamilkła.

Ewaryst patrzył na ziemię. Komnacki chciał mu wejrzaniem powiedzieć: A cóż, nie miałem słuszności?

Ażeby jednak poprzeć przyjaciela pan Euzebiusz zwrócił się do Zoni:

— Nie będę się z panią spierał o zasady — rzekł. — Spytałem ją tylko o jedno. Czy miłość najwyższa nie jest i nie powinna być bodźcem do ofiar, i czy dowodem jej najlepszym nie jest ofiara z siebie?

— Jest ofiar granica — odpowiedziała Zonia. — Życie dla ukochanej istoty gotową jestem dać, przekonań moich i swobody dusznej — nigdy. Ta zalecana przez pobożnych faryzeuszów ofiara intelektualna jest gorzej niż samobójstwem, bo zabija duszę i upadła!

Ewaryst spojrzął na nią, mówiła z zapałem ogromnym a wejść z nią z tej drogi, po której kroczyła, na ubity gościniec pojęć ścisłej ortodoxii, nie było sposobu. Była jawną buntownicą.

Oba przyjaciele zamilkli.

— Ja to jedno widzę — dodała Zonia — że Ewarystowi cięży to życie ze mną i to stanowisko niejasne, według niego, że rad by wyjść z zawikłania, pogodzić się z matką... A! ja to pojmuję! ja nad tym boleję; wszystko jestem gotową zrobić, tylko nie mówić na czarne, że mi się wydaje białym...

Zatrzymała się nagle... i przystąpiła znów do Ewarysta.

— Drogi, mój, trochę męstwa! — zawołała — przetrwajmy chwilę przelomu, a zwyciężymy... Ludzie, co się dziś oburzają, zobojętnieją i zostawiają nas w pokoju naszym i w tym, co zowią naszym grzechem!

Rozśmiała się i zanuciła, ale wesołość, którą okazywała, była widocznie zapożyczoną i wymuszoną.

Natychmiast potem rzuciła jakieś pytanie radykalne Komnackiemu, zmuszając go do rozprawy z sobą, której on nie lubił, bo nie zwykł był z kobietami wdawać się w uczone spory, znajdując, że mają logikę serca doskonałą, ale grzeszą przeciw logice myśli.

Szyderstwami zasypała go piękna Zonia, bijąc w to szczególnie, co Komnackiego najmocniej drażnić mogło. Mimo tej rozprawy 'a ostre rozstali się potem przyjacielsko, bo Zonia choć się kłóciła z nim, miała dlań szacunek.

W kilka dni potem Komnacki siedział u siebie w domu, nad książkami, gdy nie oznajmując się wpadła, z tą samowolą z jaką zawsze wszystko spełniała co jej przyszło do głowy, Zonia.

Choć uśmiech na ustach miała, czoło było zasepione.

— Nie prawdaż — zawołała, od progu — wizyta niespodziewana i niemiła, przepraszam za nią, ale jesteśmy przyjaciółmi.

— Nie kłopotz się pan mną — dodała, widząc, że Komnacki zapina surdut i poprawia ubranie — ja natychmiast wychodzę.

Stała naprzeciw niego.

— Oboje kochamy Ewarysta — rzekła — choć każde z nas inaczej, potrzeba o nim pomyśleć. On nie ma sił do wytrwania na tym wyłomie. Kocha mnie, ale matka! ma swe prawa. Ja nie znałam prawie matki, dlatego może jestem tak dziką i zuchwałą. Miałeś pan słuszną mowę, że prawdziwa miłość zmusza do ofiary. Tak. Ja go kocham bardzo i jestem gotową na największą, najstraszniejszą jaką mogę uczynić.

Tu, spojrzawszy na Komnackiego i odgadłszy myśli jego, wtrąciła:

— Mylisz się pan i nie rozumiesz mnie jeśli sądzisz, że mówię o ślubie. Nie. Ofiary przekonań nie uczynię, mówiłam to, co innego chcę zrobić.

— Daj mi pan słowo, że to pozostanie między nami?

— Chętnie.

Zonia, parasolik zarzuciwszy od niechcienia na plecy, przeszła się milcząca porę razy po pokoiku.

— Ewaryst się zamęczy, zabije ze mną — rzekła — czuję obowiązek porzucenia go. Niech myśli co chce, a jeżeli mnie nie zrozumie i myśleć będzie źle o mnie, uzna mnie płochą, swawolną, tym lepiej, nie będzie szalonej kochanki żałował.

— Powiadam panu, on się zamęczy na śmierć, a ja zabójstwa przez miłość popełnionego na nim, nie chcę mieć na sumieniu. Wolę cierpieć, wolę ginąć!

Komnacki załamał ręce z niemym uwielbieniem, ale razem z pewnym niedowiarstwem.

— Mam dużo siły nad sobą, gdy raz obudzę w sobie wolę. Pan wiesz, że w człowieku wola stanowi oś, na której się życie obraca; ja ją mam.

— Walczyłam z sobą i z miłością moją, z egoizmem namiętności, na ostatek żał mi się zrobiło tego człowieka, puścić go muszę. Kochał mnie, ale był biernym zawsze w całych tych dziejach miłości naszej. Kochał mnie wprzódym nim się we mnie ta pasja dla niego obudziła; potem ja go uwiodłam, jak go rozzuchwalałam, jam spoiła, jam uczyniła niewdzięcznym synem...

— Ja powinnam naprawić to złe, oddać tego człowieka samemu sobie i rodzinie. On może być szczęśliwy, wracając przez pokutę i skruchę nazad do owczarni, a ja w tej trzodzie zdechłabym z tęsknoty za górami i swobodą.

— Kocham go z całych sił duszy mojej, ale takiej ofiary uczynić nie mogę. Życie, chętnie. Gdyby jutro kazał mi się z sobą utopić w Dnieprze, bez namysłu, a do Zamiłował nigdy...

— Więc cóż pani myślisz począć? — przerwał Komnacki.

— A! to jest moja tajemnica! — uśmiechnęła się smutnie bardzo Zonia, patrząc w okno. — Ofiara postanowiona, wola niezłomna! — zawołała z bólem — a! panie! teraz gdy mi przychodzi spełnić ją, rozstać się z tym szczęścia marzeniem, stargać ten mój węzeł złoty, porzucić tego człowieka, przed którego sercem i charakterem dusza moja klęczała w uwielbieniu, gdy pomyślę, że nigdy nie usłyszę z ust jego słodkiego imienia, Zoniu, gdy powiem sobie, nigdy! panie, szaleję z bólu!

Zacięła usta, przymknęła oczy.

— Ale cóż ja bym zrobić mogła dla niego, co tyle uczynił dla mnie, tylko to jedno? dam mu swobodę i wrócę spokój sumienia.

Oczy czarne, we łzach pływające, zwróciła ku Komnackiemu z pytaniem.

— Nie umiem pani powiedzieć więcej nic nad to, że mam dla niej poszanowanie najwyższe.

— Dziękuję — sucho odparła Zonia. — Tak — dodała po namyśle — ofiara wielka, ale aby się mniejszą wydawała, dodam, że fantazja w niej udział ma także.

— Jestem nielitościwą dla siebie jak dla drugich, gdy wnijdę w duszę moją, widzę w niej jasno. Pomimo miłości dla Ewarysta, to życie z nim ciążyło mi, było pozbawione ruchu, powietrza, widnokregu. On był nadto dobry i posłuszny, były chwile... Tu przerwała i natychmiast dodała:

— Więc, widzi pan, kropla egoizmu jest w tym kieliszku goryczy i osładza go.

Komnacki nie śmiał pytać ani o szczegóły, ani o wyjaśnienie tego, co nazwała swoją tajemnicą.

— Mam pańską aprobatę? — zapytała.

— Uwielbienie — odezwał się Komnacki.

— Ani słowa Ewarystowi! — mówiła gorączkowo. — Ja sama jeszcze nie wiem kiedy i jak to wykonam... Chciałabym na wieki rozstanie wziąć z sobą tego szczęścia wspomnienie żywe! A ust odebrać nie mogę od napoju, po którym męty i fusy życia mi zostaną.

— Lituj się pan nade mną i nie potępiaj mnie, choćby pozory przeciwko Zoni były. Spełnia ofiarę...

— Pamiętaj!

Podawała rękę i wyszła, drzwi zatraskując za sobą. Komnacki pozostał chwilę przestraszony, niepewny co począć i ciekawy... Nie mógł wytrzymać, by zaraz nazajutrz nie pójść wieczorem do Ewarysta.

Tu, tak wszystko jakoś zastał po dawnemu, Zonię tak ożywioną, tak wesołą, tak starającą się rozerwać Chorążycę, iż wątpił, aby to z czym mu się zwierzyła, prawdą być miało.

Wziął to za wybuch jej bujnej fantazji.

Najmniejszego znaku w mowie jej nie było, który by dał wnosić, że zwątpiła o przyszłości.

Mówiła nawet o niej i uśmiech latał po ustach. Jedno go uderzyło tylko, że wesołość Zoni była daleko bujniejszą, dziecinniejszą niż zwykle, coś w niej nienaturalnego znajdował. Czulość dla Ewarysta nigdy żywszą i jawniejszą nie bywała. On też zdawał się ożywiony i tego wieczora swobodniejszej myśli niż zwykle.

Na dzień następny Zonia ułożyła projekt wycieczki w okolice, na którą zaprosiła Komnackiego.

— Ale nas troje będzie mało, trzeba młodego i weselczego żywiołu dodać trochę — wołała biegnąc. — Zaprosimy tego eleganta Zoriana, z którego się śmiać można, weźmy Francuza, którego blaga jest wysmienita, a człowiek też dobry, gotowa bym i Heliodorę spoważniała zagarnąć, ale zazdrosny wielce Radca wprosi się z nią, bo jej nie wierzy. Między nami mówiąc, ma rację, Heliodora się czasem zapomina... biedne stworzenie!

Ewaryst, choć doborowi towarzystwa rad nie był, lecz że zastąpić go nie miał czem, a wiedział, że to Zoni robiło przyjemność, na wszystko przystawał. Tegoż wieczoru zamówiono konie, rozesłano zaproszenia.

Zonia starała się upewnić, że Komnacki im nie chybi.

Pogoda na dzień następny zwiastowała się tem pewniejsza, że wieczorem nadciągnęła burza gwałtowna z piorunami i w czasie jej barometr zaczął się podnosić do góry. Powietrze więc miało być odświeżone, liście zieleńsze, pył przebity w wypranych szatach.

Przepowiednia nie zawiodła, ranek nadszedł prześliczny. Zwykle obojętna na wygody życia i nie bardzo o czem pamiętająca Zonia, tego dnia zdziwiła wymaganiami Ewarysta, którym mu trudno było uczynić zadość. Chciała mieć pasztety, szampana i wszystko, co najkosztowniejsze a najwytworniejsze.

Widząc, że Chorążycę trochę się wahał, dodała, rzucając mu się na szyję.

— Ten raz! mój drogi, kto tam wie, czy kiedy znowu zbierzemy się na taką hulankę wesołą. Wiesz, że rzymski poeta powiada, chwile chwytac trzeba. Tyle ich człowiek przepłacze... Ewarysiu! ten raz!!

Chorażyc się nie opierał, pozwolił jej wziąć co chciała, co zamarzyła i ostatek pieniędzy wydał na to, nie mówiąc, że nie wiedział czem istotne potrzeby załatwi jutro.

Wszyscy goście zaproszeni stawili się, nawet w kwestii będąca Radczyni Majstrukowa, za którą w ślad szedł mąż pęcherzowato nadęty...

Wesołość towarzyszyła wyprawie. Wprawdzie na niebie oczyszczonym burzą, druga się zdala zbierać zdawała, ale zdaniem wszystkich nie mogła ona przyjść przed nocą.

Przodem wysłana służba z zapasami tak wszystko w małej karczemce wśród lasu urządziła, że gdy powozy przybyły, szampan już był zamrożony, stoły nakryte i wszystko gotowe na przyjęcie...

Zonia do trzpiotowatości posuwała wesołość, ścisnęła Heliodorę, bawiła pana Majstruka, śmiała się z Zorina, a szczególnej nalegała na Francuza, aby on zstępował i wyręczał gospodarza, a do szaleństw pobudzał.

Panu d'Estompelles dwa razy tego mówić nie było potrzeba. Zaczął od tego, że do Radcy się przysiadł, aby go spoić, co wprędce mu się udało, chciał toć samo uczynić z Ewarystem, ale ten miał po ojcu staropolską głowę i mógł pić dużo, nie poddając się winu, które go nie upajało...

Zorian, wielbiciel pięci pięknej bez wyboru, tego dnia pozbawiony przedmiotu, do którego by mógł wzdychać, bo Zonia go zbywała ostro, zwrócił trochę już zawróconą głowę ku wyświeżonej pani Heliodorze, która go przyjmowała po staremu, sympatycznie i kiedy niekiedy tylko przestrzegała.

— Radca patrzy! uważajże! nie masz pojęcia jak zazdrosny!

— Niech patrzy, kiedy on już tak jak ja niewiele widzi — mówił Zorian przysuwając się. — Oprócz pani oczek i białych ząbków, ja już oślepiem na wszystko...

— No, widzisz — szepnęła Heliodora — gdy było można, to się nie umizgałeś, a teraz...

— Zawsze można! — wykrzyknął aforystycznie Zorian...

— A cichoż, zlituj się, Radca słucha! — wołała Heliodora.

— Słucha, ale nie słyszy, daję słowo — kończył Zorian — więcej pił niż ja, a mnie oprócz głosiku pani... nic już nie dochodzi.

Spóźnione te umizgi ładnego chłopca w najlepszy humor wprawiły Heljodorę.

Zonia przechadzała się, nalewała sama, wznosiła toasty, ścisnęła Ewarysta, ukradkiem coś szeptęła Kownackiemu, na ostatek, gdy już późno być zaczynało, pozzała się klócić o coś z Francuzem i śmiejąc się a spierając z nim, odprowadziła go na stronę.

Stała tak, aby ich widziano, ale we wrzawie rozmowy nikt nie mógł usłyszeć.

D'Estompelles szedł za nią, z twarzą mocno zarumienioną, co ją wcale piękną nie czyniło.

— Masz pan dobrą pamięć! — zapytała go nagle.

— Wątpisz pani o tym? — odparł Francuz.

— Nie pytam...

— Słowa mojego nie zapominam nigdy, cudzego rzadko.

Rozmowa niezmiernie żywa się stawała, jak rakiety wolanta lały słowa.

— Pamiętasz pan, com mu kiedyś powiedziała?

— Wszystko com z jej ślicznych ust słyszała!

— Mówiłam raz, żebyś czekał.

Francuz się rzucił.

— Właśnie to czynię.

— No, a gdyby ta chwila, na którą pan czekać miałeś, nadeszła...

D'Estompelles o mało nie padł na kolana.

— Patrz na nas — odezwała się Zonia — udawaj pan, że się kłócimy.

— Na Boga! jaśniej, moja królowo... co każeś?

— Powiem panu najprzód, że mi, że mi się życie z Ewarystem znudziło, chcę zmienić teatr i rolę...

D'Estompelles, który tak radykalnego nic się może nie spodziewał, trochę się zmieszał.

— Pokryjomu ja nic nie robię nigdy — dodała dumnie Zonia. Kochać pana — nie Kocham, ale może nawykniemy do siebie. Nie mam nic oprócz tej sukni co na mnie. Chcesz pan mnie wziąć i uciekać gdzie za świat do Paryża? *C'est a prendre ou a laisser**), dokończyła.

Francuz osłupiały stał wytrzeźwiał zupełnie, chwilę niemy jakoś i zmieszany zdawał się namyślać. Niepewność ta trwała pół minuty może. Zonia tego dnia była cudnie piękną, ubrała się z wielką elegancją, jakby chciała i potrzebowała się podobać. D'Estompelles oczarowany, zawołał.

— Uciekamy! dokąd chcesz? kiedy? jestem w pogotowiu. *A la vie et a la mort!***)

— Dam znać kiedy — odezwała się Zonia, wyciągając rączkę drżącą ku niemu i bledniejąc.

— Słowo!

— Przysięga, jeśli trzeba.

— Gdzie słowa za mało, tam przysięga nic nie znaczy — dodała Zonia. — Gotuj się pan do podróży. Jeszcze raz muszę mu powtórzyć, nie mam nic prócz sukni, którą włożę. Z tego domu nie godzi mi się wziąć, nic! nic!

D'Estompelles w zachwyceniu patrzył na nią.

— Nie jestem bogaty, ale co mam u nóg twych składam.

— Ja bogactwa nie potrzebuję, nawet uboga być potrafię — dodała, idąc już ku towarzystwu Zonia. — Myśl pan tylko, abyś na dany znak był gotowym... Pojedziemy do Paryża.

D'Estompelles prędko podchwycił.

— Gdzie każesz...

Jeszcze raz zwróciła się Zonia ku niemu.

— Słowo?

— Najświętsze!

Szybkim krokiem powróciła z nim do stolika, chwyciła swój kieliszek szampańskiego.

— Piję zdrowie Francji i szlachetnych a miłych jej dzieci — zawołała.

Wszyscy wzięli kieliszki, tylko Radca uląkł się politycznej aluzji i trochę zatrzymał, lecz Zorian, którego interesem było w tej chwili aby pił jak najwięcej, dolał mu do szampana koniaku i zmusił do wychylenia. Po czym jak najserdeczniej się uściskali, co Heliodorze zrobiło taką przyjemność, że się aż przechyliła z ławki, śmiejąc z tej serdeczności męzowskiej.

Komnackiego bacności nie uszła rozmowa na uboczu z Francuzem ani toast wzniesiony, lecz położył to na karb jakichś układów o dalszą zabawę, której gospodarstwa podjął się d'Esompelles.

Chociaż chmura, od dawna już zbierająca się na zachodzie, coraz przybierała groźniejsze rozmiary i momentami warczało w niej, nikt nie zdawał się widzieć, że nadchodziła.

Dopiero silna błyskawica i trzask padającego nieopodal w lasku piorunu spłoszył gości i zmusił uciekać pod dach. Zorian skorzystał z zamętu i porwał Heliodorę pod rękę uprowadzając ją, gdy Radca niespokojny, a nie bardzo nóg pewny, jeszcze się zza ławy, na której siedział, dobywał.

Jedna ciasna izdebka, przyciemniona teraz nadchodzącą nawałnicą, i alkierzyk mały służyły gościom za schronienie...

Po pierwszym uderzeniu piorna deszcz się puścił jak z wiadra i gromy zaczęły padać jedne po drugich z taką gwałtownością, iż rozmawiać było trudno. Po oślepiającym blasku błyskawic następowały ciemności, wśród których Radca napróżno oczami szukał żony, mrużąc: ale gdzież jesteś Heliodoro?

Oprócz tego, skutkiem burzy i szampana, gdy siadł na ławie, tak gwałtownie spać mu się zachciało, że w końcu zdrzemnąć się musiał.

Zonia w jakiś stan niezwyčajny upojenia wprawiona została burzą, stanęła w progu z kieliszkiem i za każdym gromem piła zniszczenia zdrowie.

— A! co za śliczny fajerwerk na zakończenie — wołała, czy mogła pięknej, cudowniej się zamknąć ta biesiada?

Pioruny! bijcie! choćby w nas!

Heliodora, przeciwnie, obawiała się ich i za każdym wykrzykiwała coś stłumionym głosem, na pół omdlała, przechylając się w objęcia litościwego Zoriana. Radca drzemał...

Francuz stał zamyślony, jakby go wesołość niedawna opuściła nagle. Ewaryst był u boku Zoni, która mu rękę położyła na ramieniu

— A! gdyby litościwy który uderzył teraz w nas dwoje! Co za śliczna, wesoła śmierć, Ewaryście! — zawołała kłoniąc się ku niemu.

— Ale pioruny są nielitościwe i głupie — dodała — biją w drzewa, trzaskają w wodę, mordują tych co by żyć chcieli, a żaden nie przyjdzie gdzie go biedny, znękany woła!

Deszcz powoli ustawać zaczynał i niebo się odsłaniało na jaskrawo malowanym zachodzie. Czas i potrzeba było powracać do miasta...

Zonia sama jedna z Ewarystem siadała do najmniejszego powoziku, chciała być z nim. Radca śpiący, z żoną i Zorianem zabrał się do drugiego, w trzeci siedli Komnacki i Francuz, który zdawał się niezmiernie znużony, ale zarazem szczęśliwy.

Pan Euzebiusz, żartując sobie z jego upojenia, bo tak tłumaczył dziwny wyraz twarzy, rzekł mu wsiadając.

Wiesz panie Henryku, wydajesz mi się tak, jakby w ciebie jeden z tych piorunów uderzył!

— Kto wie? — odparł Henryk — może!!

Uśmiechnęli się, lecz na tym pytaniu i odpowiedzi skończyła się ich rozmowa, dojechali do Kijowa, nie przemówiwszy już do siebie; Francuz udawał drzemkę...

Nic potem nie zmieniło się w życiu Zoni i Ewarysta, nie można było w niej dostrzec najmniejszego śladu myśli, które sobie karmiła. Okazywała tylko czułość nadzwyczajną dla Chorążycza i była momentami zadumana.

Jednego wieczora poskarżyła się na ból głowy przy herbacie.

— Wiesz, idź ty na dół do siebie — odezwała się do Ewarysta — ja się położę...

To mówiąc objęła go, uściśnęła z całych sił, gorącymi ustami dotknęła czoła i dodała.

— Dobranoc.

Chorążycz zszedł na dół, nakazując milczenie ludziom.

Gdy wstał rano, wchodzący sługa na zawołanie wydał mu się tak zmieszonym, że go to uderzyło.

— Co ci jest?

— Nic mi panie...

To mówiąc zająknął się, schylił i po pewnym namyśle, rzekł.

— Pani nie ma.

— Jakto, nie ma? poszła na spacer? któraż godzina? — spytał Ewaryst.

— Nie, proszę pana — służąca powiada, że pani wyszła jeszcze wczoraj wieczorem, gdy się pan położył i nie powróciła.

Na stoliku leży jakiś list. Ewaryst jak oszalały poleciał na górę... W istocie na stole zapieczętowaną zobaczył kartkę, którą rozerwał z pośpiechem.

Stały na niej te słowa.

— „Daruj! dłużej żyć nie mogłam z tobą! Bądź zdrow!

Przebacz wszystko. Nie goń za mną, zostaw mnie memu przeznaczeniu. Bądź zdrow!”

Drżącą ręką, niewyraźnie nakreślone były te słowa.

Stał nad nimi zdrtwiał Ewaryst, gdy wszedł Komnacki. Trzymał w ręku papier, którym mu oznajmiła Zonia, aby z rana Ewarysta odwiedził.

Chorażyc rzucił mu się na piersi wołając.

— Nie ma jej!

— Wiem o tym — odezwał się Komnacki. — Mężna, choć obłąkana, kobieta, spełniła to co sądziła obowiązkiem...

Nie będziemy malować tych pierwszych chwil tęsknoty i samotności, które dla Chorażycy o mało nie stały się groźnymi. Parę dni snuł się po pustych kątach domu, chwytając co pozostało po Zoni, która nic nie zabrała z tego czym ją obdarzał. Znikł tylko medalion Ewarysta, w którym były przez nią ucięte mu włosy.

Trzeciego dnia Chorażyc położyć się musiał, wezwano doktora, który zawyrokował, że chory miał z zaziębenia febrę niedobłą. Komnacki z własnego popędu napisał, oznajmując o tym Madzi i dodając, że Zonia nie wiadomo jakim sposobem, zniknęła, uchodząc dobrowolnie...

W istocie Ewaryst ani dopytywał, ani się dowiedział co się z nią stało, choć w mieście mówiono głośno, że uciekła z Henrykiem d'Estompelles, co ją ostatecznie w opinii publicznej zabiło.

Użalano się nad Chorażycem, potępiano kobietę bez serca, niegodną tego szczęścia jakie ją spotkało... D'Estompelles uchodząc zostawił ogromne długi i żadnego śladu dokąd się udał ani ochoty do zapłacenia ich. Jak się tam o nim wyrażano, nie będziemy powtarzali.

Tegoż dnia, gdy wiadomość o ucieczce Zoni rozeszła się po mieście, skorzystał z niej Zorian i poszedł z nią do pani Heliodory w godzinie, w której Rady w domu nie było.

Pani Majstrukowa zakrzyknęła naprzód. — Nie może być! a to wariatka! — Potem jednak dołożyła, że zawsze się po tej wietrznicy można było tego spodziewać, a ona uważała nawet, że z Francuzem pokryjomu dawno miała stosunki...

Rozmowa o Zoni tak długo się jakoś przeciągnęła panu Zorianowi, że dopiero powrót do domu pana Rady go wypłoszył.

Ewaryst leżał chory, a choć słabość nie zdawała się niebezpieczną, była tej natury upartej, o którą się wszelkie leki rozbijają.

Nadjechała pani Chorażyna z Madzią.

Zawczasu, unikając zbyt wielkiego wrażenia, oznajmił Komnacki przyjacielowi, że się przybycia matki jego spodziewa, i gdy starszka weszła przestraszona, załzawiona, niepamiętna tego co się stało i co ucierpiała, Ewaryst podniósł się płacząc padł w jej objęcia. Osłabienie wywołało te łzy.

O przeszłości mowy nie było. Chorążyna nie chciała o niej pamiętać i pragnęła, aby on także o niej zapomniał. Nie przyszło to łatwo...

Starania matki, powracający z wolna spokój ducha, dały Ewarystowi sił tyle, że mógł powoli być przewiezionym do Zamiłowa. Chciała tego Chorążyna, wiedząc jak do miejsc i do rzeczy wiąza się żywe a bolesne wspomnienia.

Madzi poleconym było zrobić co chciała z tą pozostałością po siostrze. Weszła na górę zapłakana, aby przeczytać tam kartkę historii serca ludzkiego, wypisaną tym co jej towarzyszyło. Najmniejszy sprzęt, papier, książka, miały na sobie piętna przeszłości. Na książkach Zonia kładła przypisy i znaki, stare jej seksterna świadczyły o pracy tej duszy, chciwej wiedzy i upojonej jedną jej wypitą kropelką.

Były tam i pamiątki krótkiego życia z Teofilem i ów czepeczek dziecięcia, które nie żyło, schowany gdzieś z listami. Jakby gardziła tym co o niej powtędzą ludzie Zonia nie zniszczyła nic, nie spaliła żadnego świstka...

Na Madzi te pokoiki robiły wrażenie mieszkania po umarłym. W istocie była też ona dla nich umarłą.

Rozbudziła się litość w sercu dziewczęcia i żal jakiś zatracenia tych wspomnień, wczoraj jeszcze drgającego życia; obowiązek jednak nakazywał rozproszyć to i zniszczyć. Madzia kazała wszystko sprzedać z licytacji, a grosz na ubogich oddała. Chorążyna znalazła to najrozumniejszym...

Zaproszono do Zamiłowa na pierwsze dni pobytu w nim Komnackiego, który, pomimo zajęć przykuwających go do miasta, przeprowadził Ewarysta.

Dokoła niego nikt nigdy imienia znikłej nie wymówił, unikano wszystkiego, co ją w jakikolwiek sposób przypominać mogło... Chorążyna jak była surową wprzód, tak się stała niewypowiedzianie czułą i dobrą dla syna. Serce macierzyńskie dawno mu przebaczyło.

Miał na sercu Komnacki, aby w jej opinii podnieść nieszczęśliwą Zonię. Jednego dnia począł opowiadać swą rozmowę z nią, ale starszka mówić mu nie dała. Przepraszam pana, ja o tym wiedzieć nie chcę! Słuchać nie będę.

Usiłowanie to spełzło na niczym. Madzi tylko po cichu udało mu się szepnąć o tym, a biedne dziewczę zasromane nie zrozumiało rehabilitacji, która w jej przekonaniu niemożliwą było. Zmilczała, nie mówiąc słowa, nie mogła darować też siostrze, która Chorą-

życowi zwichnęła życie, odebrała zdrowie, uczyniła go nieszczęśliwym.

Wstawszy z łoża i na pozór wróciwszy do zdrowia, Ewaryst nad wiek wydawał się postarzałym i smutnym. Zajęcie około gospodarstwa i interesów nie dawało mu zbyt myśleć o przeszłości, lecz widać było, że to, co spełniał z obowiązku, niewiele go obchodziło. Automatycznie jakoś zabawiał się, pracował, czytał, chodząc z niestartą nigdy chmurą na czole.

Chorażyna wysilała się dla niego na nowe rozrywki, ściągała ludzi, uprzedzała najmniejsze zachcianki, życia mu młodzieńczego przywrócić nie mogła. Pozostał jakby pokutnikiem, noszącym na sobie pamięć i brzemień grzechu...

W cichym domu, z oczyma w ten posąg smutku (jak go zwała) wlepionymi, Madzia kręciła się posługując staruszce i jej synowi. Czasem łza, patrząc na niego, zakręciła się jej w oku, ale z nią zaraz uciekała do kątku.

W parę lat po opisanych wypadkach sąsiad Zamiłowa, pan Zenon Przetocki, który tam niekiedy bywał i Magdzię widywać miał zręczność, a wiedział, że miała trochę grosza i wiele przymiotów dobrej żony i gospodyni, oświadczył się o rękę jej Chorażynie.

Staruszka bardzo była za tym; zdziwiła się mocno, gdy zarumieniona Madzia, upadłszy jej do kolan z płaczem, prosić zaczęła, by jej do tego nie zmuszała, że za mąż iść nie chce i nie myśli, a służyć jej będzie, zupełnie losem swym zaspokojona.

— Bardzo ci dziękuję, moje dziecko — odparła Chorażyna — ale ja nieśmiertelna nie jestem; zostaniesz tu sama. Gdyby się choć Ewaryst ożenił, to byś w domu pozostać mogła, ale tak, przy kawalerze... nawet nie będzie wypadało... Gdzież się podziejesz? co poczniesz?

— Moja dobrodziejko! — zawołała Madzia — jakbym tu pozostać nie mogła, na starość przysiadę gdzie u panien miłosiernych i tak życia dokończę...

Łzy jej biegły z oczów, drżała tuląc się do Chorażynnej a powtarzając, że jej opuścić nie chce i nie może. Musiała stara zmilczeć i przeprosić pana Zenona, tłumacząc dziewczę wstrętem do małżeństwa...

Ewarysta Chorażyna gwałtownie ożenić pragnęła, nie śmiano mu o tym mówić, nastęrczano zręczności poznania młodych osób, matka intrygowała po trosze, niewidocznie; Chorażyc grzecznie się zawsze wywijał tak iż najmniejszej nie dawał nadziei, aby to kiedy do skutku przyjść mogło.

Po upływie lat kilku, matka otwarcie ośmieliła się go nakłaniać do tego.

— Choćbyś wielkiego serca nie miał — mówiła — przywiążesz się, samemu człowiekowi żyć niedobrze, nie będę mogła umrzeć spokojnie o ciebie.

Opierał się Ewaryst i nierychło odpowiedział matce, nagradzając dawny swój upór powolnością synowską.

— Dobrze, niech mi mama żonę wybierze i da — ożenię się dla matki.

Tak się stało, stara Chorążyna wyswatała mu młodą, ładną, dobrą, powolną panienkę, która miała tę jedną wadę, że w niej duszy nie było...

Ewaryst przywiązał się do niej, jak do dobrego dziecięcia, które trzeba było prowadzić na pasku. Ożenienie jego Madzia oplakała po cichu, ale było. Ono dla niej rękojmią, że w domu pozostanie, że na swój ideał patrzeć będzie mogła z daleka i poić się marzeniem dziecięcym...

Zmarła pani Chorążyna. Madzia w tym samym pokoiku, który zajmowała za życia, pozostała pomocnicą młodej pani, z kluczami chodząc i wyręczając ją w gospodarstwie. Ewaryst był dla niej z przyjaźnią wielką, lecz od czasów Zoni, choć z twarzy mu jej nie przypominała, nosiła wspomnienie tej niezapomnianej i zbliżyć się nie mógł do niej, nie myśląc o ztraconej.

Głosem też czasem Madzia mówiła tak podobnym, że Ewaryst mimowolnie drgał całym i aby go nie słuchać uciekał...

O zbiegłej pannie Raszkównie nie tylko w Zamiłowie nic nie wiadano, bo tu nic dojść nie mogło, ale i Kijowie też, nawet między dawnymi przyjaciółmi pana Henryka d'Estompelles, do których się on podobno odzywał, nikt nic nie wiedział... Znikła jakby wpadła w wodę.

Pamięć tylko tej Tytanii została między młodzieżą i stary Jewłaszewski, który dosłużył się wysokiego jakiegoś stopnia w hierarchii naukowej, w chwilach wynurzeń poufnych opowiadał o niej z entuzjazmem, jako o istocie nadzwyczajnej.

— Nie podzielałem ja nigdy jej przekonania — mówił z powagą — bo była nadzwyczaj krańcową, lecz niepodobna było wigorowi jej umysłu i sprężystości charakteru się nie dziwić. Przewidzieć było łatwo, że coś tak przerosłego zginie marnie, bo to się utemperować nie mogło!

Kto te dni grozy sądu Bożego przeżył w stolicy Francji i był świadkiem ostatniej walki zrozpaczonej i oszalałej komuny, z wojskiem, po części z niemieckiej już niewoli zbiegłym, mszczącym się na swoich za klęskę poniesioną od wroga, ten dni tych grozy i sądu nie zapomni póki żywota.

Paryż przypominał ogniem Bożym zniszczone grzeszne grody wschodu, wielki kataklizm dziejowy spadł nań jakby z niebios samych.

Komuna w konwulsyjnych, ostatnich drganiach wściekle się mściła za własne szaty na wszystkim, co ją otaczało. chciała, by z nią ginął świat, miasto, skarby, pamiątki, wszystko...

Paryż gorzał, na wieczornym niebie olbrzymią roztaczając lunę, płomienie i dymy buchały do góry, powietrze przejęte było zgorzeliwą, smrodem petrołu, dymami prochu, wonią krwi, która rynsztokami płynęła i w kałużach ścinała się po ulicach...

Trupy zalegały podwórza, barykadowały przejścia, rzędami stały oparte o mury, kupami wałały się po ogrodach... Młodzież, starców, kobiety, dzieci, matki z niemowlętami u piersi widać było wśród tych stosów zwłok, nad którymi płakać nie było komu.

Na ostatni akt tej tragedii rozpoczętej orgiami regencji i rozpustą Ludwika XV, spadała zasłona ognista...

Paryża w Paryżu poznać nie było podobna; byłoż to owo miasto wesela i uciechy, co śmiać się umiało gilotynie Robespiera i wchodzącym wojskom koalicji na gruzi Cesarstwa? miasto, co wabiło świat ku sobie piosnką i rozkoszą?

Wyglądało jak gród zwyciężony i zdobyty, niestety, przez własne dzieci na własnych dzieciach, z przelewem krwi, w którym ni jedna, ni druga strona nie szczędziła ani kapłaństwa ni starości, ani niemowlęctwa ni słabości...

Prawda, że w tym szale całego tłumu, niewiasty stawały się żołnierzami barbarzyńskimi, a dzieci hohaterami

Też wieczora miasto było jak cmentarz i trupiarnia straszna, a na czole miało przymień pożaru..

W maleńkiej uliczce, w sąsiedztwie złobytego cmentarza Pere la Chaise, odgrywał się dramat, jakich ten dzień liczył tysiące. Kupka komunardów broniła się wściekłemu napadowi wersalczyków, podnosząc jeszcze nad głowami poszarpaną, zbloconą, zszarzaną jak łachman czerwoną chorągiew!

Przyparci do muru komunardzi, wystrzelivszy ładunki ostatnie, strzaskawszy kolby na głowach napastników, stanęli bezbronni, czekając śmierci.

Na czele ich, w podartym mundurze jakimś, z twarzą zaognioną, z włosami rozczochranymi, z pianą na ustach, ze zgrzytem zębów, wykrzykując: niech żyje komuna! — stał człowiek lat średnich, niepomny już, że śmierć była przed nim.

Oczy krwawe zdawały się wyskakiwać z powiek, twarz powalana prochem, ręce pomazane krwią, odzież poszarpana od kul i cięć świadczyły, że walczył już od dawna.

Gdy reszta towarzyszków jego próbowała przed naciskającym batalionem wersalczyków ocalić się, drapiąc się na mur, do którego była przyparta, on jeden stawiał czoło kulom i bagnetom bezbronny nie myśląc o ratunku. Urażał śmierci, miał tę gorączkę boju, w której się zapomina o życiu, o sobie, staje się dzikim zwierzęciem.

Ze schrypłych piersi buchało tylko ciszej coraz: niech żyje komuna! na urągowisko żołnierzom, których bagnety do piersi jego wymierzone były...

Z drugiego rzędu nagle grad litościwych kul posypał się na niego, szalenciec podskoczył w górę, zakreślił się jakby śmiertelnym tańcem i miał paść na ziemię, obłany krwią z ran kilku, gdy bagnety wbiły się w piersi i boki i drgającego trupa zatrzymały w powietrzu.

Widać było strumień krwi, który z ostatnim wykrzykiem buchnął mu z ust i potoczył się na piersi obnażone. On i chorągiew padli razem na ziemię, a jeden z żołnierzy porwał zdarte знамя, poszarpał je w kawałki i wrzasnął:

— Precz z tym zbloconym łachmanem!

W jednej chwili garstka komunardów zmieniła się w stos trupów. Z wściekłością od tych szaleńców niemniejszą wersalczyki dobijali bezbronnych. Co jeszcze stało przy murze, to rozmiążdżone kolbami runąć musiało na ziemię. Dopóki jęki i tchnienia słyhać było zwycięzcy bili i dobijali, pastwiąc się nad trupami jeszcze. Szał mordu ich ogarniał, zdało się im za mało tych poległych, szukali oczyma ofiar nowych...

W oknie domostwa, którego żaluzje były pospuszczane, ukazała się głowa kobiety obwinęta chustą; żołnierz jeden na cel ją wziął ze śmiechem, świsnęła kula i trup zawisł głową i rękami z okna.

Śmiech się dał słyszeć w szeregach zwycięzców, pijani byli krwią obrońcy porządku.

Dowodzący nimi podporucznik, niedawno z Niemiec wrócony jako jeńiec spod Sedanu, zawołał na żołnierzy, aby szli za nim szukać ofiar nowych.

W kupie trupów nie poruszało się już nic, nie było życia, nie było nawet można rozeznąć ciał zlepionych w jedną masę nieforemną, polaną krwią czarną, zbitych kolbami w olbrzymie gnojowisko...

Mur, przy którym się odegrała ta scena sturamiennego dramatu, pomalowany był bryzgami krwi, poznaczony odciskami dłoni i palców krwawych, które przyległy do niego...

Jak na urągowisko tej tragedii rozlewu krwi bratniej, spod plam świeżych wyglądały napisy i rysunki stare, brzmiące wesołością i rozpustą. Krew zamazywała ślady bezbożności i swawoli...

Kupka żołnierzy, dysząc jeszcze mordem, upojona łatwym zwycięstwem, biegła po nowe laury, szukając na kim by je zbierać mogła...

Kątek, który niedawno był teatrem zażartej walki, już w mroku nocy zalegała cisza śmierci.

Odblaskiem łuny tylko oświecone były trupy, pobojowisko, mur, droga i suche gałęzie drzew, zwieszane nad oszarpaną zagrodą.

W dali słychać było, czego ucho ludzkie drugi raz już nie usłyszy razem, krzyki i strzały, i śpiewy przedśmiertne, i wołanie ginących, i trzask płonących budowli, i grzmot walących się murów. W głębi głucho odzywały się działa, jak dzwony żałobne...

Walka rozpaczliwa dogorywała... Ulice zajmowały patrole wojskowe, na placach obozowały regimenty; pod palącymi się gmachami rozstawiały się szeregi nadbiegających zwycięzców. Tu i ówdzie za uciekającą gromadką goniły strzały i ludzie; gdzieś tam rozpaczliwa ręka rzucała ogień i lała pokarm płomieniom...

Domy stały zamknięte jak trumny...

W jednej z uliczek wiodących ku murom krwawym, w mroku nocnym, na progu lichego domostwa pokazała się kobieta. Z ubioru, na pierwszy rzut oka, wziąć ją było można za proste dziecko ludu, twarz zdawała się mówić o innej przeszłości.

Na krótko uciętych włosach czarnych miała zawiązaną chustkę jedwabną, niedbale, zapewne nie dnia tego, bo ją ruch poskręcał i zsunął, na sobie suknię czarną, zszarzaną, na piersiach chustkę, której węzeł niedbale splątany zwieszał się na plecach. Zbłocone pończochy, wykrzywione obuwie nie jeden już dzień okrywały jej drobne nogi. Ręce miała obnażone do pół, chude i zwiędłe, ale na twarzy oświeconej łuną pożaru dziwny wyraz energii, szału, niepokoju, dzikości...

Twarz ta, piękna niegdyś, dziś jeszcze była zastanawiającą siłą, która z niej tryskała oczami ognistymi, zmarszczoną brwią, czołem pofałdowanym, ustami zaciętymi dumnie. Jakby wypchnięta rzucała się do drzwi domostwa, stanęła w progu, obejrzała się dokoła, przyłożyła rękę do serca, nastawiła ucho na szum i gwar daleki.

Spojrzała ku niebu, na którym jak olbrzymia zasłona wahała się luna krwawa...

I widać było przebiegającą po jej licu grozę tego widowiska, jakby mściwą z niego radość. Niepewna czy ma iść dalej, wysunęła się do pół ulicy, noga jej ośliznęła się na bruku, spojrzała nań i dostrzegła kałużę. Cofnęła się...

W mroku tuż widać było bielejące ciała... Legły one tak jak je położyły kule, jedno na drugich, zastygłe w ostatnich życia drganiach.

Z ciekawością pochyliła się kobieta nad zwłokami -rozstrzelanych... Jeden z nich twarz miał obwisłą włosami, odgarnęła je, popatrzyła i cofnęła się...

Dalej w uliczce cicho było... Na chodniku leżał zabity pies, którego nie oszczędziły kule.

Nieśmiałym krokiem, przesunawszy się od murów znowu, kobieta szła, jakby przekradając się dalej, szła wzdłuż domów zamkniętych, pustych, w których najmniejszego śladu życia nie było...

W miarę jak się posuwała dalej, krok jej stawał się żywszym, niepokój większym, szukała oczyma tego kąta, w którym przed małą chwilą wrzała walka...

Róg ulicy jeszcze go jej zakrywał, a słaby odbłask łuny ledwie się dozwalał kierować wśród zawad różnych, kałuż i gruzów, które chodnik i ulicę zawałowały...

Stanąwszy w roku kobieta rzuciła oczyma w prawo i lewo... W lewo biegła uliczka pusta i wymarła, w prawo mur wysoki kończył się owym pobojuwiskiem.

Z dala rozeznąć go nie było łatwo... Na ciemnym tle poszarpanej odzieży i zaschłej krwi, kawałkami gdzieniegdzie bieleły już żółtkie trupie piersi, ręce, nogi i twarze. Jakiś instynkt wskazał jej ten kąt czarny...

Opierając się o mury sunąc się zaczęła ku niemu. Szła, to gorączkowo przyśpieszając kroku, to zdając się wahać i lękać. Niekiedy na sercu machinalnie kładła rękę, aby mu nie dać bić zbyt gwałtownie i głośno.

Długi czas wlokła się tak do rogu murów, aż przed trupami stanęła. Zacisnęła rękę na piersiach i patrzyła w nie okiem oślepiłym.

Schyliła się potem zwolna... drgnęła i padła. Na wierzchu zaświeciła jej twarz znana...

Zdawała się nie wierzyć widzeniu i snuła się po niej oczyma, aż drżące ręce wyciągnęła ku zwłokom i głowę zabitego podniosła.

W tej chwili buchnęły gdzieś z dala płomienie pożarne i blask ich powiał po trupach.

Kobieta krzyknęła, w świetle tym poznała twarz, której szukała. Była okropną, kula jedna przedziurawiła jej czoło, druga na wylot przeszyła policzki. Usta w ostatnim krzyku, krwi zgęstłej pełne, otwarte, zastygły...

Zwolna położyła kobieta podniesioną tu głowę i zapatrzyła się w nią.

Z oczów jej żadna łza nie pociekła, usta skrzywiły się ironicznym uśmiechem, jakby znalazła tu miejsce dla siebie przeznaczone, usadowiła się u nóg trupa, na drugim trupie.

Ze wzrokiem wlepionym w zbroszoną głowę, martwą, została tak nieruchoma. Co myślała i czy myślała co? można było zwątpić, że żyła nawet, gdyby nie drgania jej ciała i spadanie na piersi głowy...

Trwało to, nie wiedziała jak długo. Schyliła się raz jeszcze do zwłok i oburącz dźwignąć je chciała, lecz ciężar ich ją obalił. Zerwała się i siadła znowu.

Noc tymczasem płynęła.

Mród przeszedł po ciele skostniałym kobiety, wstała i zaczęła iść żywo, oglądając się za siebie.

Nie wiedziała, gdzie szła, lecz zdawała się wiedzieć po co. Wyraz energii powrócił na twarz.

Ulicą wprost, mijając tę, z której wyszła, skierowała się ku miastu, nasłuchując krzykom i jakby ich szukając. Parę razy zwróciła się ciasnymi przejściami tam skąd one pochodziły...

Szła coraz żywiej, bo los zdawał się jej sprzeciwić, głosy, które goniła, uciekały przed nią. Szła jakby pustynią wymarłą, wszędzie widok ten sam, zamknięte domy, trupy u ścian, kałuże krwi, kupy nieopgrzebionych zwłok, gdzieniegdzie barykada rozwalona, strzaskane działo... Cisza w pobliżu, gwar dziki w dali...

Chód jej zmienił się w bieg, ale tchu brakło do prędszego ścigania, oprzeć się musiała o ścianę i spoczywać. Potem zaledwie cokolwiek odzyskawszy siłę, biegła znów dalej.

U zbiegu ulic doścignęła placyku. W pośrodku jego palił się ogień, żołnierze na ziemi leżąc obozowali.

Spostrzegłszy to widmo, wychylające się z nocnych mroków jeden z żołnierzy krzyknął:

— Petroleza!

Nie wstrzymało to jej w pochodzie. Wtem oficer, który na ziemi spoczywał, wstał i zbliżył się ku niej.

Był to młody człowiek, na którego twarzy rzadki tego dnia malował się smutek i groza. Widać w niej było litość, jakby wstydzając się siebie.

— Po co tu idziesz? — cichym głosem odezwał się do wprost ku niemu zmierzającej.

Kobieta stanęła, ręce zakładając na piersi i śmiało w oczy patrząc pytającemu.

— Po co tu idziesz! — powtórzył niecierpliwie młody oficer, nogą uderzając o bruk.

Żołnierze jego z dziką żądzą krwi popodnosili głowy, czekali odpowiedzi. Kobieta zwlekała z nią, bo usta jej zeschłe, spalone, głosu wydać nie mogły.

Oficer miał się czas jej przypatrzeć, zdawało się, że wyraz twarzy, postawa, rozpacz jaka się w niej malowała, poruszyły mu serce, wskazał jej uliczkę sąsiednią, aby uchodziła.

Kobieta stała uparcie.

— Czego chcesz? — powtórzył oficer, widząc, że niektórzy z żołnierzy wstawali już, radzi nową pochwycić ofiarę.

— Czego chcę? Przychodzę prosić was, abyście mnie rozstrzelali! — odezwała się przybyła.

W akcencie jej mowy paryżanin poznał cudzoziemkę.

Zbliżył się ku niej z tym żywszą ciekawością.

Waćpani nie jesteś Francuzką? — zawołał.

— Nie, alem poślubiła sprawę Francji i komuny... Powinniście mnie rozstrzelać.

Żołnierze zaśmiali się śmiechem dzikim i niektórzy z nich powstawali; oficer nakazał im spoczywać. Nie bardzo go słuchano. Pragnął ocalić tę ofiarę, która mu się narzucała sama.

— Kuli mi żałujecie? — odezwała się kobieta — starczy wam ich przecie, z Niemcami już się bić nie potrzebujecie, a z naszego obozu zostało niewiele...

Szydersko wybuchnęła śmiechem.

— O! jak przeciw komunie byliście dzielni, wy, coście Niemcom tysiącami zabierać się dali!

Oficer, z obawy aby nie rozdrażniła żołnierzy, nakazał jej milczenie gwałtownie, chwycił za rękę i odrzucił ją opodal nieco na stronę.

— Milcz i idź! — krzyknął wściekły.

— Czemu mnie nie rozstrzelacie? nie macie litości.

— Boś szalona, kobieto! — wołał oficer, a wariatów na serio francuski żołnierz nie bierze...

— Przecie cała komuna była domem wariatów jak ja! — zaśmiała się kobieta — a nie mieliście litości nad nią, nie miejcież jej nade mną.

— Precz! — wołał uparty oficer.

— Pójdę więc do Sekwany! — odezwała się szukająca śmierci.

Na młodym oficerze twarz sympatyczna i głos ten boleści a rozpaczny pełen coraz większe zdawały się czynić wrażenie.

Dał znak jednemu z kapralów i poszeptał mu coś na ucho.

Kapral groźnie przystąpiwszy do oczekującej chwycił ją za rękę i powiódł za sobą.

Szła za nim posłuszna, spodziewając się może śmierci, gdy kapral zastukał do bramy na rogu uliczki stojącego hoteliku, uderzył potem pałaszem we drzwi, zaklął po żołniersku i gdy się te otworzyły wreszcie, wepchnął w nie kobietę.

Gospodarz zbladły stał w proggu.

— Odpowiesz mi za nią głową twoją — zawołał kapral — zdaję ci ją, to jedna z naczelnic petrolez; porucznik kazał mi ci ją pod

straż oddać. Naznaczysz jej pokój taki, aby ani oknem skoczyć ani uciec nie mogła; daj jej co trzeba do jedzenia.

I powtórzył znowu:

— Odpowiadasz za nią głową.

Oberżysta z obawą spojrzawszy na kobietę ze wstrętem jakimś, natychmias ją wprowadził do dolnej izby, która miała u okna kraty.

Stało w niej łóżko, stół i parę krzeseł.

Uwięziona obejrzała się obojętnie, instynkt ludzki rzucił ją na łoże, a nim gospodarz wyszedłszy wrócił z butelką wina i chlebem, kobieta spała jak kamień.

Sen ten mógł być śmiertcią, tak był cichy i głęboki.

Gospodarz z przerażeniem przyłożył ucho do jej ust, oddech zaledwie czuć było... Żył jednak...

Nim dzień się zrobił, z placyka przed oberżą wywołano wojsko, które gdzie indziej wyciągnąć miało. Oficer wstąpił po drodze szepcząc coś gospodarzowi, któremu na rękę wrzucił parę dwudziestofrankówek. Stary Francuz głową tylko potrząsł, zrozumiał.

Gdy około południa podniosła się przebudzona kobieta i z podziwem znalazła żywą jeszcze, chciała natychmias wyjść, lecz drzwi były zamknięte. Na stukanie do nich zjawił się otyły oberżysta, klnąc, że mu spokój przerywano.

Surowo i groźno obchodził się z uwięzioną.

— Siedzieć mi spokojnie! — zawołał — mam wydane rozkazy, aby was nie wypuszczać.

Zburczawszy ją tak, zamknął, a po chwili przyniósł śniadanie, które łażąc na stole postawił i odszedł.

Długo na nie patrzyła kobieta z jakimś wstrętem i osłupieniem; instynkt pokierował jej ręką, zaczęła jeść. Chciała umrzeć, lecz głodu znieść nie mogła.

Tak samo gderząc dał jej obiad oberżysta, trzymając ciągle na kluczu zamkniętą.

Dni kilka upłynęło. Po Paryżu zdobytym czyniono poszukiwania najtroskliwsze resztek komunardów, które pędzono na sąd, na rozstrzelanie, na wygnanie zabójcze.

Zemsta była straszliwą.

Gospodarz co godzina się musiał spodziewać, że mu tę kobietę zabiorą, nikt nie przychodził po nią. Milcząca ta, groźna, ponura, dumna winowajczyni, samym nieustraszonym męstwem zjednała sobie sympatię Francuza. Starał się z niej wyleczyć przypominając, że była petrolezą wściekłą, nie pomagało to, czuł litość nad nieszczęśliwą.

Zmusiły ją prawie sługi, aby poszarpane zmieniała suknie, a gospodyni przysłała jej swoje. Biernie posłuszna kobieta dawała z sobą robić co chcieli. Siedziała po całych dniach u okna, patrząc oczami wygorzałymi w ulicę, zawsze niema.

Lecz zwolna w tym więzieniu ostygła gorączka, serce chłódło a może i chęć do życia wracała.

Jędnego wieczora zjawił się oficer, który ją sobie przypomniał. Miała twarz, którą zapomnieć trudno..

Zapytał gospodarza co się z nią działo.

— Siedzi milcząca i jak trup blada — odparł ramionami dźwięgając oberżysta — trzech słów nie odezwała się do mnie.

Otworzono izdebkę, młody porucznik wszedł, nie wstała zobaczywszy go. Siadł przy niej na krzeselku, długo w milczeniu wpatrując się w jej twarz jeszcze piękną, a teraz rozpaczą i zwątpieniem dziwnie upoetyzowaną.

— Przyszedłem pani dopomóc, abyś się ocailla — rzekł oficer. — Miałaś czas ochłonać, musiałaś kogoś utracić w tej nieszczęsnej walce... Teraz, gdy pierwszy ból przeminał, gdy wróciła ochota do życia, powiedz pani, co dla niej uczynić mogę.

— Wy? dla mnie? — odparła kobieta. — Ja nie żądam nic, nawet życia. Sądzicie, że darowując mi je zrobiliście łaskę? Nie, tylko przeznaczeniem moim, ażeby umrzeć nie mogła nigdy, gdy tego najwięcej pragnę. Ale cóż zrobię z tym waszym darem? — dodała boleśnie i szydersko. — Ja już nie wierzę w nic, na świecie nie mam nikogo!

— Możecie wrócić do waszego kraju?

— Ja! — rozśmiała się — nigdy! Prawda, odjęliście mi ochotę śmierci, ale nie dali pragnienia życia. Cóż dalej?

Oficer, którego wyrazy jej coraz więcej poruszały, przekonywując się, że kobieta do innego musiała należeć świata, niż sądził w początku, tym się stał litościwszym.

— Powiedz mi pani co dla niej uczynić mogę?

— Ja nie wiem sama — odpowiedziała obojętnie.

— Kogoś przecie mieć musisz tu w mieście?

— Żywej duszy; jedyny człowiek, który mi nie był obcy, poszedł do komuny i dał się zabić za nią. Tam, w rogu uliczki... widziałam trupa jego...

Spojrzała w okno.

— Nie mógł szczęśliwiej skończyć — dodała — ale ja?

Porucznik był zakłopotany; kobieta bystro nań spojrzała.

— Oddaj mnie do Wersalu, tam ja sobie kulę uproszę..

— Nie, to nie może być — zawołał wojskowy. — Okryj się pani czym i idź ze mną, znajdę dla niej schronienie. Potrzeba żyć.

Posłuszna z obojętnością jakąś dała się przyodziać kobieta, z pomocą oberżystki, która dość chętnie usłużyła jej kapeluszem i okryciem. Oficer podał jej rękę, wyszli.

Wieczorem nasza nieznajoma, w której czytelnik łatwo się domyślił Zoni, znalazła się w małym kółku kobiecym, któremu poleconą została przez porucznika.

Z pewną trwogą, ale litością razem patrzyły na nią te panie i dzieci. Siedziała ciągle martwa i milcząca, posłuszna i obojętna, dając z sobą robić co chciano.

Trzeciego dnia oswoiły się z nią pierwsze dziewczątka domowe. Chodziły one koło niej długo nim się przystąpić ośmieliły, jedna z nich sparła na kolanach, patrząc w oczy, druga z boku przyglądała. Od cichego szczebiotania zaczęła się znajomość, przez te dzieci pojednała się z życiem znowu. Wieczorem na kolanach trzymała dziewczynkę i szeptały coś z sobą poufale. Nazajutrz zawiązała się przyjaźń wielka a Adolfinka bez swej pani kroku zrobić nie chciała.

Matka odciągała ją z początku, zostawiła potem jako pociechę biednej smutnej cudzoziemce.

Ta tylko z dziećmi obcowała, ale tak pilno chodziła koło nich, że się im domowi stała potrzebną. W małym ogródku zastał ją porucznik biegającą z Adolfiną.

Kilka lat upłynęło i poszukiwania Komunardów powoli ustawały, nie było szczęściem komu denuncjować biednej Zoni. Przy dzieciach nie chciała zostać, choć je kochała.

Głos wewnętrzny mówił jej czasem: któż wie czy tą trucizną, którą w sobie noszę, nie zatrujęm ich młodych serc i główek...

Za pośrednictwem porucznika, który się do ocalonej przywiązywał co dzień więcej, znalazła Zonia pomieszczenie, które dla siebie najstosowniejszym uznała, przy redakcji jakiegoś dziennika.

Wielki przyznawano jej talent, bo we Francji odwaga pisarza często zań starczy, a Zonia miała jej więcej niż drudzy. Pisała z ogniem, choć mówiła, że nie wierzyła już w nic, nawet w niewiarę, zapal ją porywał i unosił do dawnych marzeń, stawała w ich obronie gorąco...

W tym życiu spokojniejszym, zwolna piękność i trochę świeżości wróciło. Porucznik, który często u niej spędzał wieczory, coraz więcej się nią zachwycał. Jednego wieczora oświadczył się jej z gotowością ożenienia.

Zonia popatrzała nań zdumiona i potrząsała głową.

— Allonc donc! — zawołała — ot to bym się wam odwdzięczyła za ocalone życie, zatruwając wasze?

Podawała mu rękę. Przyjaciółką waszą do śmierci, ale żoną? — Co za myśl, poruczniku! Chciałbyś mnie poprowadzić przed księdza, do ołtarza, kazać przysięgać! To się moim zasadom sprzeciwia... a potem! zobaczylibyście jak bym się wam prędko sprzykrzyła. Dziękuję, zostanmy jak jesteśmy!

O dalszych jej losach nie wiemy, ale z pewnością pisze jeszcze gorące artykuły do republikańskiego dziennika..., a po obiedzie mówią, pije czasem trochę absyntu z wodą, który bardzo lubi.

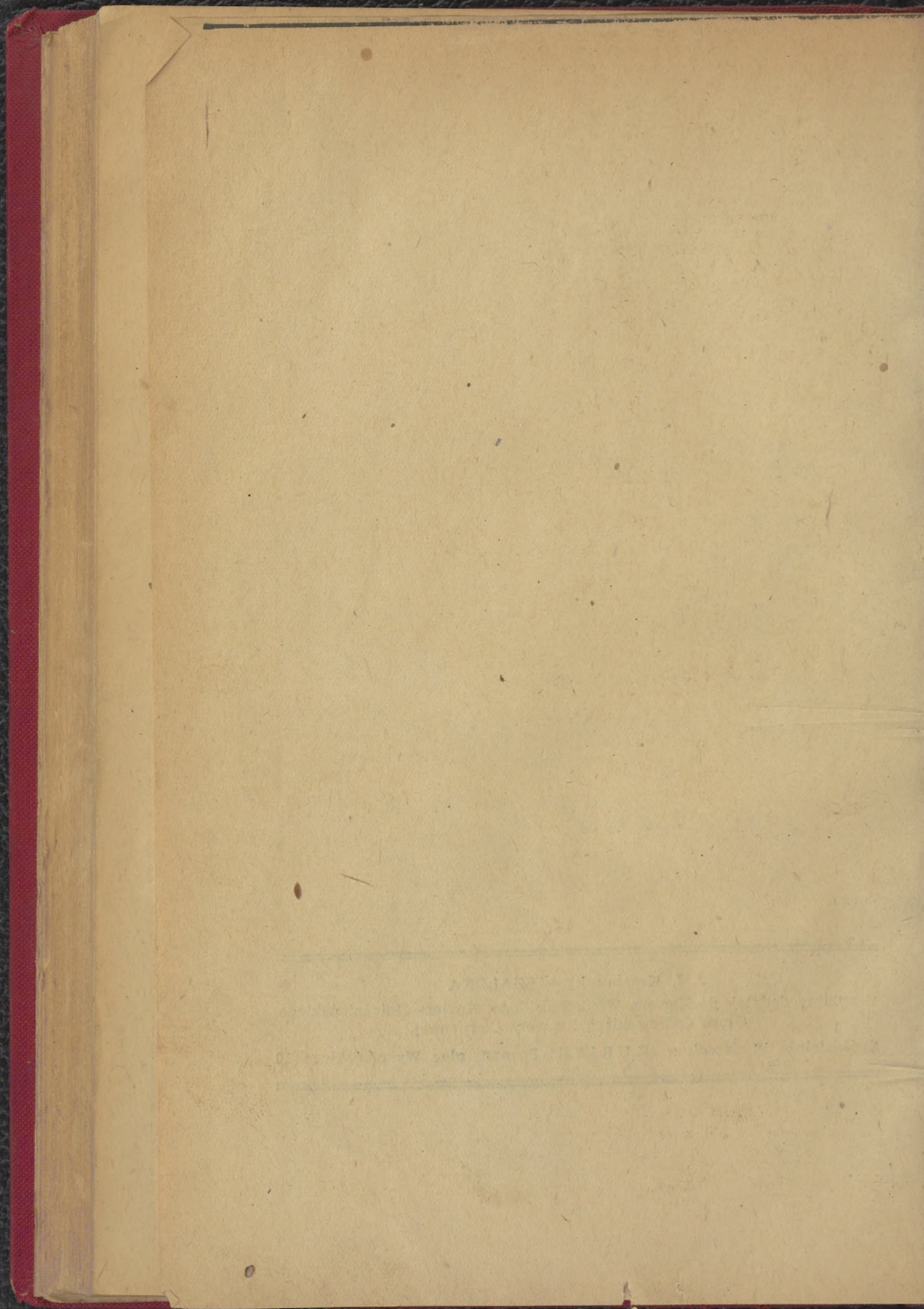
KONIEC

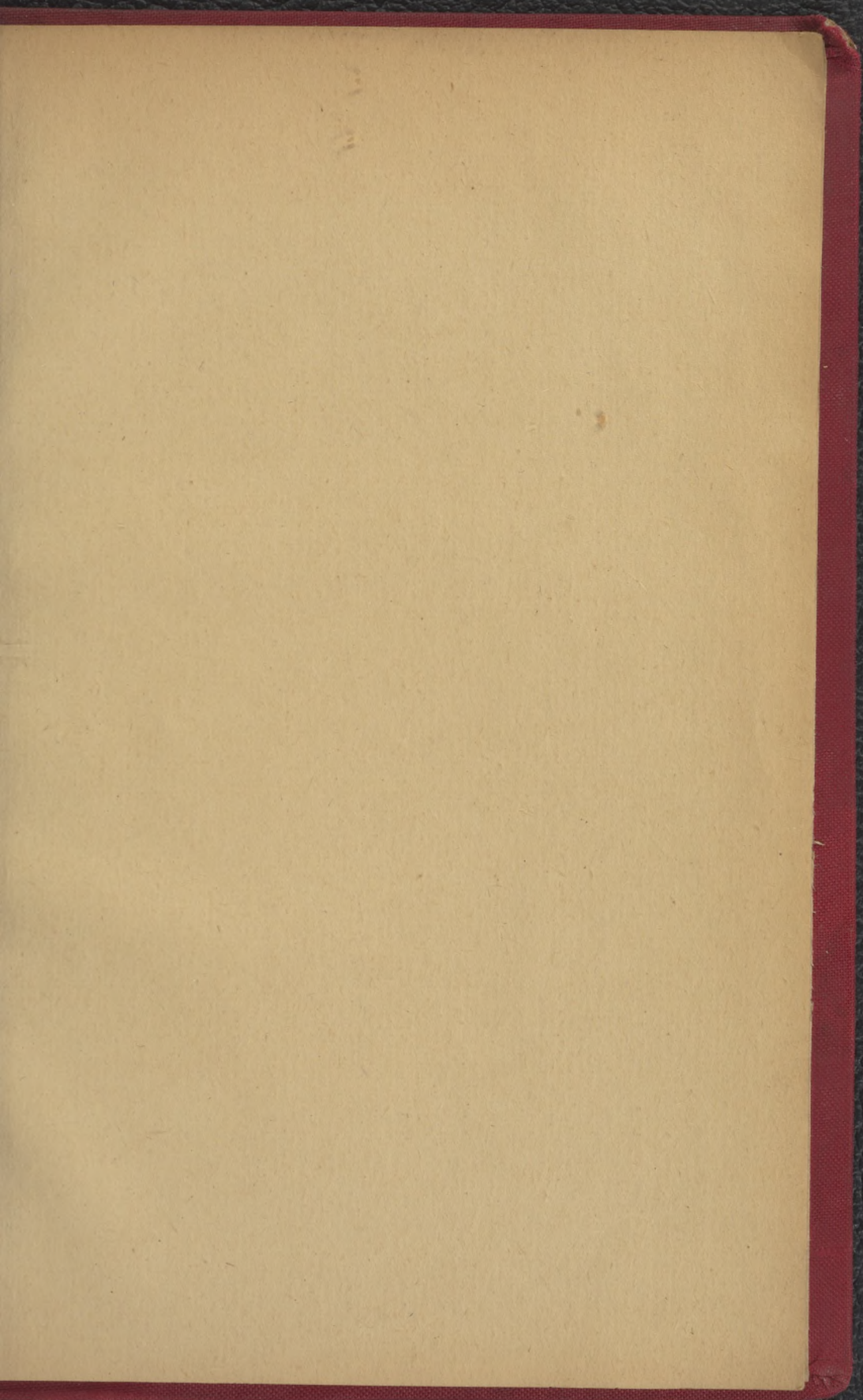


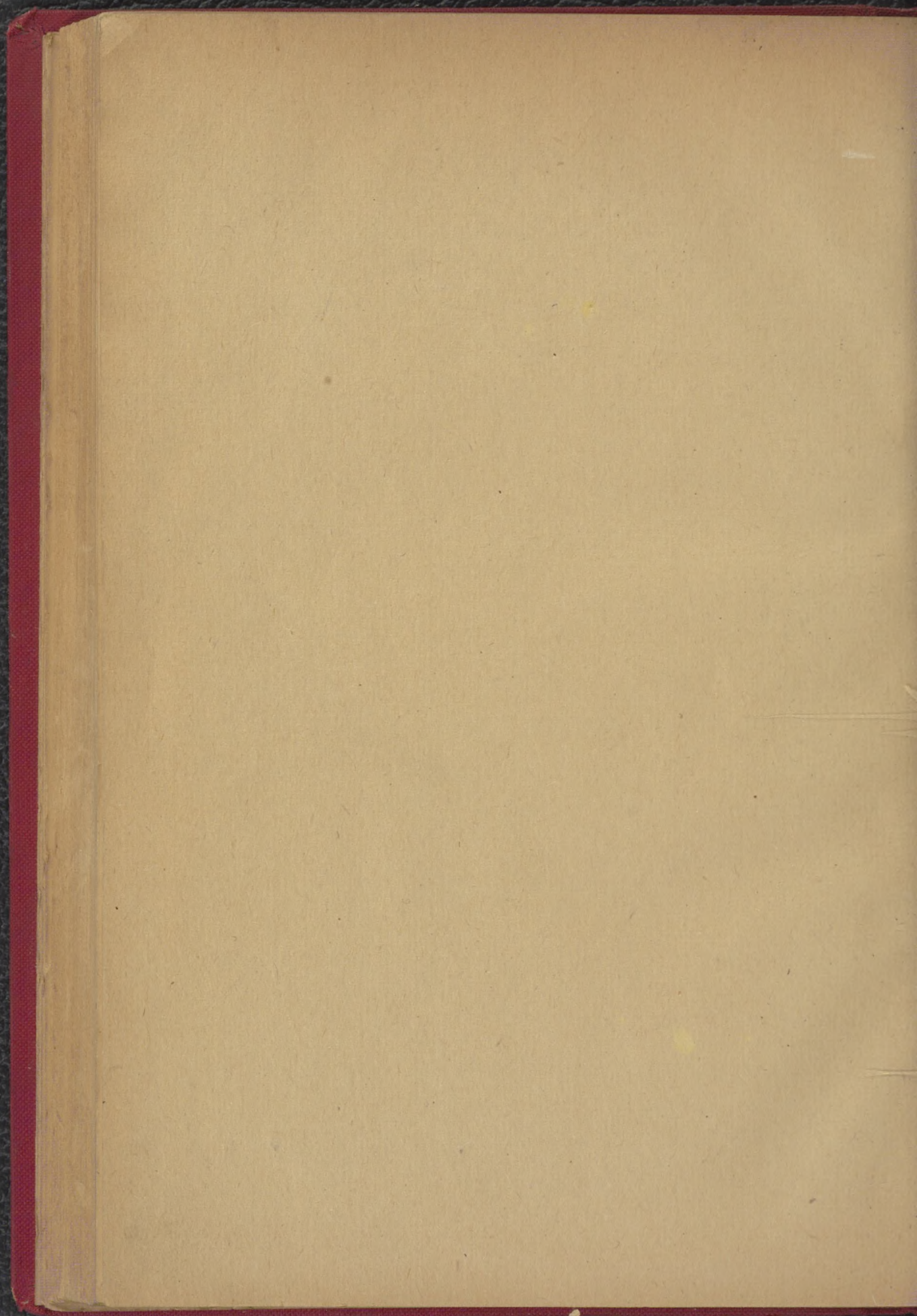
J. I. Kraszewski — SZALONA

Bezpłatny dodatek do Kuriera Wielkopolskiego, Kuriera Gnieźnieńskiego,
Głosu Ostrowskiego i Gazety Codziennej.

Spółdzielnia Wydawnicza „KURIER” Poznań, plac Wyspiańskiego 10







107.074/66

M 30

DK Antykw. Poz.

20.9.67

302 I

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001027267491



386940